

**BEZ
DEKRETU**

KRAKÓW NR 20

ED - Osięguje Helena 225 500

OLA - dziękuje KONIAKOWI za przekazany
sprzet komputerowy

BEZ DEKRETU jest pismem dotowanym przez FWS

Cena 330 zł

BEZ DEKRETU

PISMO CZŁONKÓW I SYMPATYKÓW
SOLIDARNOŚCI

NR 20

KRAKÓW 1988

SPIS TREŚCI

NASZA SŁOZMOWA

1. Nie jesteŝmy znormalizowani - rozmowa z instruktorką harcerską
Izą Skautowską 3

TEMATY

2. Piotr Legutko - Beżant w rejonie 8
3. Janusz Okrzeŝik - Służyć inaczej 12
4. Lucyna Frackiewicz - Zagrożeńa ekologiczne na Śląsku 17
5. Gaiñon Radwan - Jek się troszczyć o nędzę ŝwiata? 23
6. Adam Bartkowski - Rewolucja krasnali 26
7. Maciej Hlowiecki - W cieniu na wulkanie 32

KLASYCY

8. Jan Andrzej Krocowski - Koñakowski - marksista 39

PZPR - 1961

9. Między nami /ex/partyjnymi - rozmowa z Michałem Jagiełłą
i Maciejem Szumowskim 45

OMÓWIENIA

10. A.S. - Koñakowski o diable i polityce 59
11. D.L. - Kolegia do spraw wykroczeń 62
12. Kuba Silbersztajn - Majówka 63

NASI ULUBIEŃCY

13. Jędrzej Giertych - Czy narodzenie się nowej hurezji? 65

DOKUMENTY

14. Propozycje katolików w sprawie uregulowania sytuacji wierzących
obywateli CSRS 69
15. Liŝt kard. Tomáška 71

Wszystkie materiały publikujemy bez wiedzy i zgody Autorów

© Copyright by "Bez Dekretu"

Przedstawiciel "Bez Dekretu": Maria de Hernandez-Paluch
Paryż, Francja

Nie jesteśmy znormalizowani

ROZMOWA Z INSTRUKTORKĄ
HARCERSKĄ Izą Skautowska

BEZ DEKRETU: *Czy ruch odnowy harcerstwa w 1980 r. miał powszechny zasięg?*

IZA SKAUTOWSKA: W 1980 r. ruch objął tę część harcerstwa, która już wcześniej jakoszła w tym kierunku. Dotyczyło to przede wszystkim środowisk harcerskich w dużych miastach, z tradycjami, gdzie też zaznaczył się wpływ żyjących jeszcze starych, przedwojennych instruktorów i ludzi przez nich ukształtowanych - a więc środowisk z liczną kadrą ciężająca mniej lub bardziej świadomie w stronę tradycji skautowych, choć działającą w ramach oficjalnego ZHP. Do tych ośrodków zaliczylibym Warszawę, Kraków, Poznań, Wrocław, Gdańsk, a spośród mniejszych - Jasło, Gorzów Wielkopolski, na Śląsku: Gliwice, Bytom i Katowice. To była czołówka. Natomiast dla wielu drużyn, głównie z małych ośrodków, pozostających przez pierwszy rok działania Solidarności na marginesie ruchu, przełomowym momentem był dopiero ogólnopolski zlot we wrześniu 1981 r., gdzie mogły one wreszcie zobaczyć, jak wygląda dobre harcerstwo. I wiele z nich zaczęło odtąd pracować w nowy sposób. Na tym zlocie, odbytym na krakowskich Błoniach, prowadzono rywalizację zastępów w tradycyjnych harcerskich konkurencjach takich jak pionierka czy terenoznawstwo oraz w zakresie wiedzy historycznej - w formie biegu terenowego.

ED: *Jak wygląda dobrze przygotowany bieg terenowy?*

I.S.: Bieg na być sprawdzianem zaradności i samodzielności harcerza. Udział w biegu /nazwa może być myląca dla osób niezorientowanych - nie chodzi o to, żeby dosłownie biec/ bierze się samodzielnie, dwójkami albo całym zastępem. W drugim i trzecim przypadku ważne jest także wykazanie współdziałania między harcerzami. O ile to możliwe bieg powinien odbywać się w terenie przyrodniczo urozmaicoym /las, góry, jaskinie itp./, w którym w odpowiednich miejscach ustawione są tzw. punkty /przeszkody/, to znaczy stanowiska, na których instruktorzy sprawdzają, na ile harcerze potrafią wykazać się rozmaitymi umiejętnościami, takimi jak pierwsza pomoc, sygnalizacja czy pionierka. W biegu schematycznym, złym, na tych punktach instruktorzy po prostu pytają harcerza, a ten ma udzielić odpowiedzi nie tylko w zakresie wiedzy z natury swej teoretycznej, ale i praktycznej: jak rozbić namiot, jak postawić maszt itp. Natomiast dobry bieg sprawdza wiedzę teoretyczną w praktyce; zamiast pytać harcerza, jak się rozbija namiot, każe mu się ten namiot rozbić. Bywają także takie stanowiska, na których harcerz jest obserwowany i oceniany, choć o tym nie wie. Pozwala to na sprawdzenie, czy pewne zachowania weszły już harcerzowi w nawyk, czy robi to tylko na pokaz. Przykładowo: sposób zlikwidowania obozowiska; można to zrobić tak, że ocali nie zostawia się śladów, a można pozostawić po sobie górę śmieci. Dobry bieg musi być trochę trudniejszy, niż realne możliwości jego uczestników - wtedy muszą się oni zmobilizować, żeby sprostać zadaniu.

ED: *Wróćmy do ruchu odnowy z lat 1980-81. Z tego, co mówisz, wynika, że prowincja w zasadzie pozostała nietknięta nowym nurtem.*

I.S.: W zasadzie tak. Typowy model prowincjonalnej drużyny to była pani nauczycielka wytypowana przez dyrektora szkoły do prowadzenia drużyny, pani nie mająca o harcerstwie zielonego pojęcia. Ponadto nie było wtedy dobrych podręczników, które pozwalałyby takiej nauczycielce "przyuczyć się", co to jest harcerstwo.

BD: Co konkretnie zmieniono się w Twojej drużynie po sierpniu?

I.S.: Przede wszystkim położono większy niż do tej pory nacisk na zdobywanie stopni i sprawności, zaczęto się zastanawiać nad ich sensem i wymaganiami - ułożono nowe regulaminy, KIHAM czyli Kręgi Instruktorów Harcerskich im. Andrzeja Malikowskiego wydały wtedy regulamin stopni harcerskich, a później - o ile dobrze pamiętam, tuż przed stanem wojennym - regulamin sprawności. Te nowe regulaminy były wówczas szeroko i chętnie wykorzystywane. W tym miejscu należałoby powiedzieć parę słów o strukturze KIHAM-u. Otóż nie był to jeden ogólnopolski krąg, lecz poszczególne kręgi im. Andrzeja Malikowskiego działające w różnych miastach. Miały one jedynie wspólną instancję koordynującą pod nazwą Rada Porozumienia KIHAM - kierował nią Staszek Czopowicz, który potem siedział za Solidarność. Kręgi zatem koordynowały reformę stopni i sprawności oraz wydawały wznowienia dawnej wartościowej literatury harcerskiej, oficjalnie od lat nie wydawanej, na przykład "Jak prowadzić zastęp harcerski" Szczygła czy "Harcerka na zwładach" Łopińskiej. Działało też Niezależne Wydawnictwo Harcerskie. Początkowo wzorowano się dosyć ściśle na doświadczeniach przedwojennych, potem zaczęto poddawać je jakiemś uaktualnieniu. Widać to wyraźnie na przykładzie dwóch kibikowskich wydań regulaminu stopni harcerskich - wydanie pierwsze, tzw. krakowskie, jest w zasadzie przedrukiem przedwojennego regulaminu, wydanie drugie, "warszawskie", jest już krytycznie przemyślane. Strukturę stopni dopasowano w nim do wieku harcerza. Trzy pierwsze stopnie są przewidziane dla harcerzy młodszych /szkoła podstawowa/, dwa dalsze dla starszych, przy czym w stopniach młodszych położono nacisk na umiejętności praktyczne, zaś starsze mają charakter samokształceniowy. U chłopców trzy młodsze stopnie to młodzik, wywiadowca i ćwik, a starsze - harcerz orli i harcerz Rzeczypospolitej. U dziewcząt odpowiednio - ochotniczka, tropicielka i pionierka oraz wędrowniczka i harcerka Rzeczypospolitej. Poszczególne stopnie odpowiadają oczywiście poziomowi wiedzy i umiejętności, ale także pewnym etapom życia harcerskiego.

BD: Powiedzmy teraz o wymogach poszczególnych stopni.

I.S.: Jak mówiłam, stopnie młodsze mają uczyć przede wszystkim umiejętności praktycznych, a w mniejszym stopniu wiedzy teoretycznej. Odcięciem tej hierarchii są regulaminy stopni. Otóż młody harcerz winien zostać - że tak powiem - wypróbowany w następujących dziedzinach: wiedza obywatelska, wiedza harcerska, umiejętności organizatorskie, tzw. praca rąk, sprawność fizyczna, przyrodoznawstwo, wycieczkowanie i krajoznawstwo, terenoznawstwo, pionierka, samarytanka. Na dziesięć działań siedem polega na praktycznej znajomości rzeczy. Chodzi po prostu o to, by młody człowiek umiał poradzić sobie i pomóc innym w trudnych sytuacjach życiowych. Jeśli natomiast chodzi o dwa stopnie dla starszych harcerzy, to w pierwszym z nich podane są propozycje działań w kilku dziedzinach, a sam harcerz wybiera, co chciałby robić w każdej z nich. W stopniu drugim /harcerz Rzeczypospolitej/ podane są już tylko dziedziny, a zadania każdy wymyśla sobie sam, należy tylko przedstawić je do akceptacji.

BD: A jak to wygląda konkretnie?

I.S.: Podać ci przykład mojego kolegi, który zdobywał stopień harcerza Rzeczypospolitej. Pierwszy dział w tym stopniu to doskonalenie siebie. W ramach tego ogólnego kanonu on postanowił doskonalić swoje umiejętności w zakresie języka angielskiego. Zadanie, które sobie postawił, brzmiało: przeczytać dwie, a przetłumaczyć jedną książkę z języka angielskiego na polski. Drugi dział to lektura wielkiego dzieła - on postanowił opanować historię doktryn politycznych i potłumaczyć jej znajomością ponadobowiązkowym egzaminem na uniwersytecie. Dział trzeci to braterstwo - miał się spotkać z założycielami jego drużyny, przeprowadzić z nimi wywiady i napisać historię drużyny. Dział czwarty nazywa się służba - potraktował jako służbę zorganizowanie i przeprowadzenie obozu popularno-naukowego na temat "powieść". Wybrał to, bo na tym się akurat znał. Idea tej próby jest dzielenie się z innymi - w tym wypadku było to dzielenie się wiedzą. Dodatkowo w ramach służby zobowiązał się na do ożywienia zainteresowań kulturalnych własnej rodziny. Dział piąty to trwały ślad. Jego trwałym śladem miało być napisanie harcerskiego podręcznika, terenoznawstwa - wspólnie z kilkoma innymi instruktorami.

BD: Czy razem z reformą stopni drużyny przeszły też masowo na przedwojenną wersję przyrzeczenia i prawa harcerskiego?

I.S.: Powiedziałabym: nie do końca. To znaczy - w ośrodkach, gdzie silne były tradycje

skautowskie, stało się to regułą. Ale spotkałam też instruktorów, którzy stosując do-
brze całą kihamowską metodę harcerską i czując, o co w niej chodzi, pozostali jednak
przy oficjalnej wersji przyrzeczenia, ponieważ uważali się za socjalistów. Chodziło tu
w istocie o jedno słowo, o "socjalizm". Wersja oficjalna brzmi bowiem: "Przyrzekam cał-
ym życiem służyć Tobie Ojczyźnie, być wiernym sprawie socjalizmu, walczyć o pokój i
szczęście ludzi, być posłusznym prawu harcerskiemu". Większość środowisk przeszła wte-
dy na formułę: "Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę /Bogu i/ Polsce, nieść
chętną pomoc bliźnim...". Zróznicowanie tej formuły wynikało ze świadomości istnienia
pluralizmu światopoglądowego, stał zaś zainteresowanemu pozostawiano do wyboru wersję
dłuższą i krótszą. Trzeba też odnotować wyłonienie się mniejszościowego nurtu w Ionie
KIHAM-u, który z czasem uniezależnił się i opuścił Związek, przybierając nazwę Niezależ-
nego Ruchu Harcerskiego. Ci ludzie, działający głównie w środowisku lubelskim, uznali,
że ZHP nawet z dominującym opiniotwórczym KIHAM-em, ale z pozostawieniem całej
starej władzy, to jednak za daleko idący kompromis z komunistami. Uważali, że wierność
przekazaniu wymaga odrzucenia modelu wychowawczego organizacji, w której statut wpisana
jest przewodnia rola partii. Jako jedyni odrzucili alternatywność przyrzeczenia
ustaloną w r. 1981 przez Zjazd ZHP, mimo że alternatywność w żaden sposób nie krępowa-
ła instruktorów, którzy chcieli wybrać formułę przedwojenną. Wreszcie przywrócili
rygorystyczny podział na chłopców i dziewczęta do szczebla hufca włącznie. NRH działał
w oparciu o Solidarność, ale żadnych deklaracji politycznych nie ogłaszał. Uważał
jedynie, że kompromis w ramach ZHP idzie za daleko.

BD: *Jak odnosili się ludzie z NRH do ludzi z KIHAM-u?*

I.S.: Współpracowali z KIHAM-em, niemniej uważali się za tych moralnie lepszych, bo
nie idących na kompromis. Tymczasem taktyka KIHAM-u, która wtedy mogła się wydawać
asekuracyjna, okazała się skuteczna, bo mimo oficjalnego rozwiązania KIHAM-u, ich wpływ
jest dziś w Związku w dalszym ciągu bardzo wyraźny. Co zaś się tyczy ludzi z NRH, to
pozostali w większości poza Związkiem po rozwiązaniu Ruchu, ale wielu kontynuuje har-
cerskie formy wychowania w innych środowiskach np. w ramach służby liturgicznej, w
oazach - czyli ogólnie mówiąc w ramach duszpasterstwa młodzieży.

BD: *Po stanie wojennym, dopóki władze sądziły, iż mają poważniejsze niż harcerstwo kło-
poty polityczne, dopóty dawały harcerzom żyć. Kiedy zaczęło się ograniczanie tej swo-
body?*

I.S.: W moim hufcu poważniejsze naciski zaczęły się w 1983 r. Do tej pory rządził u
nas komendant, którego myśmy wybrali za czasów Solidarności i który potem zręcznie
lawirował pomiędzy wymaganiami komendy chorągwi, a naszymi, to znaczy drużynowych i
szczebowych. W sumie oddawaliśmy chorągwi coś w rodzaju trybutu w postaci udziału w
niektórych oficjalnych imprezach /na zmianę kolejne szczerpy/ i robiliśmy dalej swą
robotę właściwie poza kontrolą góry. Afera powstała, kiedy jeden z kolegów zorgani-
zował grę terenową na 11 Listopada i chyba nie przewidział, że harcerze będą w niej
uczestniczyć z takim przejęciem. Było w tej grze m.in. malowanie pewnych symboli, jak
symbol Polski Walczącej, których harcerze nie umieli czy nie chcieli namalować dys-
kretnie - przeciwnie, zrobili to z ostentacją. Zwróciło to uwagę Służby Bezpieczeństwa,
i wywołało następujące jedna po drugiej wizytacje władz harcerskich w naszym hufcu,
a ponieważ sporo instruktorów działało według programu KIHAM-u, to pewne zewnętrzne
symptomy tego programu nie uszły uwadze wizytatorów. Wykryto prace według prawa har-
cerskiego i przyrzeczenia starego rytu, inne stopnie. Mój szczebowy został zawieszony
w prawach instruktora na trzy lata, ponieważ wykryto na podstawie książeczki harcer-
skiej jednego z harcerzy, że pewien chłopiec zdobył stopień młodzika, a nie - jak po-
wino być z powrotem od jakiegoś czasu - ochotnika. W szczebie, który organizował tę
rocznicową grę terenową, wyrzucono ze Związku szczebowy i jednego czy dwóch druży-
nowych.

BD: *Czy po tych redukcjach szczeb był już sformalizowany?*

I.S.: Na dobrą sprawę ten wyrzucony szczebowy rządził dalej, tylko nie pokazywał się
publicznie w tym charakterze. Zasadniczo szczeb pozostał taki, jaki był do tej pory.
Nawet paru instruktorów w naszym hufcu musiało stanąć przed komisją instruktorską,
gdzie odpowiadali na rozmaite zarzuty. Tymczasem kilku, o których wspominałam, nie udało
się wybronić, ale reszta wyszła obronną ręką.

BD: *W jakiej mierze władze są w stanie kontrolować te komisje?*

I.S.: Nie bardzo, bo są one wybierane, no ale czasem się zdarza, że nie ma spośród ko-
go wybierać i w komisji zasiadają wtedy ludzie mniej lub bardziej przychylni władzy.

BD: *Jak postępowała "normalizacja" w innych ośrodkach?*

I.S.: Rozmaicie. Najdłużej dawno spokój tym największym, najsilniejszym. Na przykład

w krakowskim hufcu Krowodrza dopiero w jesieni 1985 r. przeprowadzono wizytacje chorych. W Poznaniu w wyniku takiej wizytacji po prostu rozwiązano cały hufiec, ale to była sankcja wyjątkowa. U nas były te zmiany personalne w szczeplach, a na szczeblu hufca wymuszono na wybranym przez nas komendantcie podanie się do dymisji. Jego stanowisko objął zaufany człowiek władzy - dokładnie ten sam, którego myśmy wyłali po Sierpniu. Faki był etap pierwszy pacyfikacji. Etap drugi to były konferencje wyborcze przed zjazdem w r. 1986. Na przykład w naszym hufcu udało się nowej komendzie tak pokierować wyborami, że wybrano ludzi skłonnych poprzeć nową linię.

BD: *Chodzi tu o mechanizm personalnych nacisków, czy też sama ordynacja wyborcza była niedemokratyczna?*

I.S.: Mechanizm był prosty. Uczestnicy zebrań wyborczych przeważnie chcieli jak najszybciej wyjść, byli zmęczeni, zebrania odbywały się wieczorem. Wszyscy uczestnicy mieli prawo głosowania i wysuwania kandydatów, ale wielu młodych ludzi nie wiedziało, jakie prawo daje ordynacja. Listę kandydatów przeczytano na wstępie zebrania, a była to - jak łatwo się domyślić - lista ludzi przychylnych nowej komendzie hufca. Zarazim ludzi siedzący na sali zdołali się zastanowić, co i jak, wstał jakiś gość, który złożył wniosek, żeby tę listę uznać za kompletną /co było równoznaczne z uniemożliwieniem proponowania kandydatów z sali, a więc potencjalnie opczykijnych wobec nowej ekipy/ i wniosek natychmiast przegłosowano znaczną większością.

BD: *Dlaczego w takim razie nie głosowaliście przeciw?*

I.S.: Przeciw głosowało 5 czy 6 osób, reszta nie zorientowała się, co jest grane, albo było jej to obojętne...

BD: *Wykoleczyli was w dość łatwy sposób.*

I.S.: Podejrzewam, że tak było we wszystkich małych i średnich ośrodkach. Na dobrą sprawę tylko Kraków i Warszawa potrafiły przeforsować pewną ilość niezależnych kandydatów. Stąd też zjazd miał taki przebieg, jak wiadomo - potwierdził nową odgórną linię.

BD: *Powróćmy do przedsięwziętej formy prawa i przyrzeczenia harcerskiego. A co ze stopniami?*

I.S.: Tutaj nastąpił pewien kompromis. Można robić stopnie jak dotychczas, ale się z tym nie afiszować. Czasami trzeba przyjąć oficjalne nazwy, ale treść pozostawić można własną.

BD: *A co nowego w sprawie mundurów?*

I.S.: Władze na razie nie wracają do gierkowskich pomysłów z mundurami typu pionierskiego dla starszych harcerzy.

BD: *W szóstym roku widziałem w Krakowie sporo harcerzy w Katedrze na uroczystości z okazji 11 Listopada i byli to harcerze z różnych krakowskich szczeplów. Czy spadły na nich jakies sankcje za udział w tej uroczystości?*

I.S.: Nie słyszałam o żadnych. Ale Kraków jest pod tym względem specyficzny, tu wolno więcej niż gdzie indziej.

BD: *Jakie są obecnie możliwości samodzielnego organizowania obozów przez szczeple czy drużyny?*

I.S.: W praktyce nie ma tu rozwiązań modelowych, czystych. W okresie Solidarności były takie możliwości. W moim przypadku były to pierwsze od wielu lat samodzielne obozy szczeplu, bo do tej pory jeździliśmy na zgrupowania całego hufca. Zgrupowanie to taki kolos organizacyjny z masą sprzętu, tłumem uczestników /np. 500 osób/, no i z jakimś nadzorem ze strony komendy hufca, która mniej więcej na bieżąco może się przyglądać naszej /tj. instruktorów/ pracy. Dziś, w sytuacji, kiedy komendy hufców są już z powrotem opiewane przez ludzi władzy, zgrupowanie jest oczywiście czymś szalenie krepującym. Przykłady: w czasach Solidarności było normalne, że cały obóz szedł w niedzielę do kościoła /naturalnie za wyjątkiem tych, którzy nie chcieli/, zajęcia obozowe dostosowywało się wtedy do tego wyjścia. W tym roku, jak nasi harcerze poszli w pierwszą niedzielę w mundurach do kościoła, wywołało to wściekłą awanturę, a w następną niedzielę poszli już w cywilu, zaś komendant ostentacyjnie przyglądał się tym wracającym z kościoła. Ponadto kto poszedł, ten tracił posiłek, bo pracy kuchni nie dostosowano do tego prywatnego /ale przecież masowego/ wyjścia na mszę. Otóż gdybyśmy mogli zorganizować własny, samodzielny obóz, tych i podobnych problemów by nie było.

BD: *Czy można dziś na serio mówić o istnieniu podziemia harcerskiego w ZHP lub poza nim?*

I.S.: To są rzeczy płynne, a częściowo ze względów zrozumiałych nie powinny być reklamowane. W każdym razie niektórzy ludzie wyrzuceni ze Związku działają dalej, bądź jako faktyczni drużynowi czy szczeplowi, bądź jako doradcy, bądź prowadzą działalność

paraharcerską przy Kościele czy w PTHK. Z kolei Kościół w różnym stopniu i w różny sposób wspiera ludzi i całe drużyny pozostające oficjalnie w Związku. Te rzeczy się zazębiają i trudno byłoby tu nakreślić jakiś jednoznaczny podział. Na tak zróżnicowanym tle rodzą się różne inicjatywy, które można określić jako niezależne czy podziemne, na przykład nieoficjalne wydawnictwa harcerskie. Literatura ta ma całkiem spore nakłady, ale trudność leży w kolportażu, tak że w sumie nie ma ona powszechnego zastosowania.

ED: *W jakiej zatem mierze dzisiejsze harcerstwo jest znormalizowane?*

l.S.: Były zmiany personalne, faktyczny kompromis w sprawie stopni, przywrócenie oficjalnej formuły prawa i przyrzeczenia - co dość łatwo jest w praktyce omijać, wreszcie narzuca się ogólnie rozmaite akcje, w zasadzie obowiązkowe. Mamy do wyboru: albo te akcje zignorować i narazić się na poważne kłopoty, nieraz do wyrzucenia ze Związku włącznie, albo brać w nich udział. Jeśli wybieramy to drugie, to cała sztuka polega na tym, by umieć wprowadzić w ogólnie narzucające formy prawdziwie harcerską treść. Wreszcie, obok istniejących jeszcze możliwości rzetelnej i jawnej pracy w Związku, można - pozostając oficjalnie w ZHP - prowadzić działalność półlegalną czy zgoła nielegalną. Oprócz tego mamy jeszcze trochę harcerzy czynnych wyłącznie poza Związkiem. W sumie więc Związek Harcerstwa Polskiego nie został znormalizowany - tym bardziej harcerstwo.

Rozmawiał: MATEUSZ ZAWIEJA

list do redakcji

W interesującym artykule Piotra Wiślickiego pt. "Droga do władzy" /Bez Dekretu nr 17 z 1987 r./ dwie rzeczy wymagają sprostowania.

1/ Pisze Piotr Wiślicki: "Kluby poselskie PPR i PPS zgłosiły wniosek, by do roty przysięgi prezydenta dodać >tak mi dopomóż Bóg<". Otóż pierwsza poprawka do proponowanego tekstu ślubowania wniesiona została przez posła Witolda Bierkowskiego z Poselskiego Klubu Katolicko-Spółecznego. W rezultacie tego wniosku przedstawiciel klubów SL i PPR wyraził zgodę na zmianę roty, ale w skróconej w stosunku do proponowanej przez posła Bierkowskiego wersji. Przedstawiciel PPS wystąpił p r z e c i w tym zmianom zapowiadając, iż w wypadku głosowania PPS wstrzyma się od głosu. W rezultacie za rotą z tekstem: "Tak mi dopomóż Bóg" głosowało 210 posłów, 4 było przeciw i 122 wstrzymało się od głosu.

2/ Szefem ministerstwa bezpieczeństwa nie był Jakub Berman, lecz Stanisław Radkiewicz.

ANNA DZIELSKA

TEMATY

PIOTR LÉGUTKO

BAŻANT W REJONIE

Jak jest w wojsku, wie prawie każdy obywatel PRL posiadający odpowiednią pleć, wiek i kategorię zdrowia - to znaczy zgodność liczby organów własnych z anatomicznym inwentarzem. Spełniający powyższe warunki statystyczny Polak zwykle dzieli się swoją wiedzą z najbliższymi. Jesteśmy więc - ogólnie rzecz biorąc - "doinformowani" w powyższej kwestii. Możemy zatem spokojnie brać do ręki jakikolwiek gazetę wojskowego pionu wydawniczego /lub oglądać owoce fachowej działalności wytwórni "Czołówka" / i nic nam nie grozi. Swoje już wiemy, pozostaje tylko delektować się pomysłowością i wyobraźnią autorów w kreowaniu obrazu wielkiej przygody twardych ludzi z czołgiem w tle. Cóż, słowo pisane ma różne funkcje - propagandowo-wychowawcza należy do najbardziej zachcianych. Trochę papieru i farby zostaje na szczęście na inne cele. Warto to wykorzystać dla dywagacji na bardziej przyziemne tematy związane ze służbą wojskową.

Temat to gorący i na czasie, a pojawiające się gdzieś w oficjalnej prasie /choćby, panie, w "Polityce"/ próby świadomego sparzenia się nim napawają optymizmem. Spróbujmy zatem głębiej podkopać nienaruszalne dotąd tabu - oczywiście z poszanowaniem specyfiki materii, której delikatność pozostaje w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do ciężaru gatunkowego /i własnego/.

Najbardziej interesujące ze społecznego punktu widzenia zdają się wzajemne relacje pomiędzy rzeczywistością wojskową a cywilną. Jakie są efekty ich wzajemnego oddziaływania? Jaki ślad pozostawia mundur na wewnętrznej biografii młodych Polaków? Wreszcie dlaczego ruchy pacyfistyczne zyskują coraz więcej zwolenników?

LINQUA MILITARI

Socjologiczny rekonesans koszarowej społeczności zacznijmy nietypowo - wprowadzeniem filologicznym. Nie sposób bowiem wnikać w tak hermetyczne środowisko nie poznawszy jego języka.

Rzeczą naturalną jest, że poszczególne warstwy społeczne, profesje, grupy nieformalne wytworzą z czasem własne gwary, slangi, narzecza. W wojsku to zjawisko jest szczególnie widoczne ze względu na gettowy charakter tej społeczności. W dodatku cele i zadania stawiane "wcielonym" nie zawsze zgadzają się z normami etycznymi i pra-

*Tekst skonfiskowany przez cenzurę w "Tygodniku Powszechnym".

wami, jakimi kierowali się w cywilu. Stwarza się więc jakby nową rzeczywistość - nazywając ją inaczej. Wymaga tego konieczność bezwzględnego podporządkowania się rozkazom przełożonych oraz potrzeba szybkiej adaptacji poborowych do nowych warunków.

Słowo zmilitaryzowane musi być zarazem proste i dosadna - osuwające wszelkie zagrożenie, a jednocześnie, gdy trzeba, przeszywające strachem. Taka swojska mieszanka eufemizmu, infantylizmu i wulgaryzmu. Jak to wygląda w praktyce? Na pewno najbardziej rzuca się "w uszy" dosadność słownika koszarowego. Nawet biorąc pod uwagę średnią krajową nasycenia potocznej języka wulgaryzmami /która jest zastraszająca/, koszarzy stancją w tej dziedzinie zwangardę, są prawdziwą kuźnią rodzinnej łaciny. Wulgarny słownik, nawyk stosowania w formie przerywnika słowa o chyba największej w potocznej polszczyźnie frekwencji /dawniej: "sprzedajna niewiasta"/ pozostaje w spadku na długie lata.

Oprócz sztucznego wzmacniania ekspresji wypowiedzi, najbardziej jaskrawą cechą owego stylu jest grypsera. Grypsować znaczy coś więcej niż być "równym facetem". Nie grypsować znaczy nie rozumieć w ogóle, o co tu chodzi. Coś wie o wojsku ktoś, kto nie odróżnia "kota" od "kompota", albo "trepa" od "bażanta". Po prostu "nie kuma" i przy byle okazji "daje ciała" lub jak kto woli "moczy" i później już do końca "na ciepło". Grypsera spaja swoich użytkowników niewiedzialnymi więzami. Mają oni wrazenie swojskości, bo oswoił język /wymyślił go jakby na nowo/ to oswoił rzeczywistość. Służby temu właśnie zasada wszechobecnego eufemizmu, umiejętnego dobierania słów tak, by spraw i rzeczy przykrych nie nazywał wprost. Za jej to sprawą tak niewinnie brzmiące słowa jak: "rejory" czy "działka" /większa działka/ podnoszą włosy na plecach /z braku ich na głowie/ niejednemu rekrutowi. Jeżeli regulamin wymaga jednoznacznej formy /np. w przypadku kar/ stosuje się skróty - z.o.m.z., p.p.k., itd.

Upodobanie do skrótów bierze się też z ogólnowojskowej skłonności do zamykania języka w gotowe formuły i schematy. Wszak każda czynność ma tutaj dokładnie określony model przebiegu, każda pora dnia swój ściśły scenariusz, każdy sort mundurowy własne miejsce w plecak. Nic dziwnego, że i mowa wiązana bywa w podobny sposób, bo też wojskowy dryl nie tylko wchodzi w krew, lecz i obrasta w słowo. Szczególnie jest to słyszalne w kontaktach służbowych między zwierzchnikami a podwładnymi. Tu zestaw możliwych wariantów, kalek językowych, gotowych konstrukcji gramatycznych jest bardzo wąski. Proza dnia powszedniego ubrana w tak sztywny garnitur językowy musi wyglądać komicznie, nie dziwnego, że stanowi wdzięczny temat anegdot i dowcipów.

Wulgaryzm, geps i schemat niewątpliwie stępią wrażliwość językową młodych ludzi. Język przestaje być prawdziwym środkiem porozumienia między nimi, bywa raczej traktowany jako gra uników, środek kamuflowania prawdziwych myśli i uczuć. Jest to oczywiście zjawisko szersze, w wojsku występuje jednak w najczystszej postaci.

UCIECZKA OD WOLNOŚCI

Podobno w każdym człowieku drzemie instykt ucieczki od wolności, potrzeba znalezienia autorytetu, który uolni go od konieczności decydowania o sobie. Nie ma drugiej instytucji, która w takim stopniu i na taką skalę odpowiadałaby na tego typu zapotrzebowanie społeczne - jak wojsko. Już po przekroczeniu bramy jednostki poborowy pozostawia za sobą wszystkie cywilne problemy, obowiązki, kłopoty. Trzaska o byt, dzień jutrzejszy, zdobywanie dóbr przywstaje go interesować. Armia o wszystko dba, o wszystkim decyduje i jest to - co by nie powiedzieć - ogromny komfort psychiczny.

Tu znają odpowiedzi na wszystkie pytania i nawet wydali je drukiem /pod tytułem "Regulamin"/. Bo też i w wojsku - jak głosi stara mądrość koszarowa - nie myśli się, lecz wykonuje polecenia. A mnogość paragrafów i punktów przewidujących wszelkie możliwe pułapki losu zwalnia od myślenia, dając na każdą ewentualność gotową receptę postępowania. Stosowanie się w codziennej praktyce do regulaminów niewątpliwie ułatwia egzekwowanie wydawanych podwładnym poleceń. Jest podstawą dyscypliny i karności żołnierzy. Ma jednak swoje działanie uboczne. Oto ludzie o zróżnicowanych upodobaniach, temperamentach, przyzwoyczajeniach w bardzo krótkim czasie stają się jednolitą szarą masą funkcjonującą i reagującą po myśli dra Pawłowa. Owszem, specyfika i zadania armii tego wymagają, ale...

Ujednolicenie wyglądu zewnętrznego i sposobu reagowania - a więc wyblumienie cech indywidualnych - nie pozostają bez wpływu na formującą się dopiero osobowość. Można zaryzykować twierdzenie, że przez okres służby wojskowej rozwój cech indywidualnych zostaje w ogóle zahamowany. Wytwarza się w to miejsce mechanizm reakcji

stadnych typu: jeden bodziec - jedna reakcja. Dopóki dotyczy to działania na ewentualnym polu walki, czy w celu zadośćuczynienia ceremoniałowi wojskowemu - wszystko jasne. Ale uniformizacja zachowań rozciąga się na wszystkie formy aktywności. W wojsku bowiem wszystko wykonuje się zbiorowo, a każde działanie musi być poprowadzone komendą /"jedna komenda - jedno wykonanie"/. Na komendę się nie tylko wstaje, je, marszeruje i strzela, lecz także myje ręce, czyści buty, pali papierosy i pisze listy. Owszem, stwarza to wrażenie ładu i porządku, lecz jednocześnie pozbawia indywidualnych przywiczajeń, potrzeb, impulsów, wreszcie tłumy inicjatywę. Psychika zostaje zdeterminowana przez swoisty imperatyw bierności, niewychylania się, oczekiwania na sygnał do konkretnego działania. Bez niego ani rusz. Na przestrzeni dwudziestu paru miesięcy pobytu w koszarach można zaobserwować kolejne fazy "porażenia biernością". Skutek jest już wyraźnie widoczny w końcowym okresie służby, gdy żołnierzy ogarnia zbiorowa apatia. Komendy nie mają już wtedy tej siły przebicia co na początku, za to dopływ własnej energii napędzającej działanie nadal pozostaje zamknięty. Żrny jest powszechnie szok adaptacyjny rezerwistów po powrocie na swoje dawne miejsce w społeczeństwie. Niestety, apatia i niechęć do samodzielności, często pozostają trwałym rysem charakteru.

Oprócz regulaminów pisanych istnieją również niepisane prawa rządzące życiem koszarowym. Jak kaže tradycja, są one przekazywane z rocznika na rocznik w sposób zapewniający ciągłość. Chodzi oczywiście o psychiczne i fizyczne znęcanie się "starszych" nad "młodszymi" żołnierzami. Wyrafinowanie i pomysłowość kolejnych stopni wajemniczenia zależy od miejscowych tradycji i stopnia zainteresowania nimi przełożonych. Dobrze, jeżeli "weterani" ograniczą się do dostojnego egzekwowania litery regulaminu. Gorzej, gdy zaczynają się bawić, dając upust swej plastycznej wyobraźni /z wykorzystaniem całego sprzętu etatowego/. A już tragicznie, gdy przeszczipiają na grunt wojskowy sadystyczne praktyki więźniów. Oczywiście wszystkie te "egzorcyzmy" odbywają się w czasie teoretycznie przeznaczonym na wypoczynek żołnierzy, zaś szczególnie wdzięczną formą represji preferowaną przez "starszych" jest odpowiednio przemysłnie zadana praca. W tym wypadku mówienie o jej wychowawczym charakterze i uszlachetniających skutkach mija się z celem. Poszczególne "fale" /tj. żołnierze tego samego poboru/ trzymają się razem, lecz między falami, między "wikciem", "działkiem" i "rezerwa" istnieją granice znacznie przewyższające swą sztywnością i przywilejami oficjalne starszeństwo stopni.

Jeśli ktoś chciałby się wytłamać, dochodzić swych praw - bo przecież i takowe istnieją - szybko zrozumie, że w każdym wojsku obowiązuje ów słynny paragraf "22" - opisany w znakomitej książce Josefa Hellera pod tym samym tytułem. U nas brzmi on: "o ile inaczej nie zarządzi dowódca...". Wolno ci żołnierzu to, nikt cię nie może zmusić do tamtego... o ile inaczej nie zarządzi dowódca. Rób więc co do ciebie należy, o resztę się nie martw. Czekać, na ciebie też przyjdzie kolej...

KUŹNIA CHARAKTERÓW

Głównym zadaniem wojska jest psychiczne i fizyczne przygotowanie żołnierza do działania na /hipotetycznym/ współczesnym polu walki. Temu celowi podporządkowany jest odpowiedni program szkolenia oraz przewidziane w scenariuszu liczne niespodzianki. Żołnierz musi być przygotowany na wszystko. Na dobę bez snu, mycie bez wody, pracę bez narzędzi. O ile wiadomo, że w naszej armii - jak i w innych dziedzinach - "baza" nie nadąża, o tyle w kształtowaniu odporności psychicznej i fizycznej jesteśmy na pewno w światowej awangardzie. Z założenia bowiem w okresie tzw. "unitarym" wojsko nie ma czasu wolnego. Tak zwane "przedsięwzięcia" /kolejny eufemizm/ wypełniają czas od 6⁰⁰ do 22⁰⁰, a jeśli nie są wykonane należyście, również czas pozostały. Zmęczenie szybko nawarstwia się przechodząc kolejne fazy: oporu, przemęczenia, apatii, aż do mechanicznego, bezrefleksyjnego wykonywania czynności. Jest to w zasadzie efekt finalny, który podlega dalszemu "doskonaleniu", aż do przysięgi, po której dopiero rekrut przetrada się w świadomego żołnierza. Ale wcześniej nie uda mu się prawdopodobnie uniknąć poniżej związanych z rolą "kota", które do zmęczenia fizycznego dodadzą stały kac psychiczny, świadomość bycia tym najniższym w hierarchii, którym wszyscy pomiatają. Po przysiędze dochodzi stres związany z rozlicznymi służbami /peńcionymi także za starszych stażem kolegów/, podczas których niezwykle łatwo podpaść. Dodają do tego alarmy i poligony, nietrudno uświadomić sobie ogrom obciążeń hartujących przeciętnego żołnierza.

Efekt? Bariera przemęczenia, oporu, rezygnacji przesuwają się tak daleko, że - fakty-

czanie - po wojsku zyskuje się spory dystans wobec wszelkich plag i dopustów /niekonięcznie bożych/. Wojsko uczy respektu i pokory, pokazuje co może znaczyć jednostka z jej ambicjami i potrzebami wobec siły perswazji, jaką dysponuje państwo /a zwłaszcza jego zbrojne ramię/. Zyskując perspektywę tego, jak ciężko może być, o ileż bardziej docenia się dawkiwane po trochu /w drugim roku służby/ przywiłaje - nie mówiąc już o upojeniu rezerwą, którego dosłowny konterfekt można oglądać parę razy do roku na wszystkich dworcach Polski.

Niewątpliwym udogodnieniem w stworzeniu szkolonym ekstremalnych warunków bytowania jest aktualnie nam panujący kryzys. Nie ominą on i tego fragmentu naszej rzeczywistości - z tym, że w wojsku cud gospodarczy jest kwestią wykonania rozkazu. Tu, pod bronią skupiono w końcu cały społeczny potencjał intelektualno-manualny, specjalistów wszystkich dziedzin, a że Polak potrafi, przekonaliśmy się już nie raz /zwłaszcza, gdy ma do wyboru kij lub marchewkę/. Kto był w wojsku wie, ile jest w stanie zrobić żołnierz za prawo do dwóch dni urlopu. Wolność, nawet w bardzo małych dawkach, jest w jego sytuacji bezcenna. Oczywiście wolność o smaku zakazanego owocu, bo niestety - prawem naturalnego odreagowania - urlop czy przepustka, to czas ptawienia się we wszystkim, co w jednostce zabronione lub niedostępne. Przez szereg miesięcy spędzonych za bramą, podczas których jest okazja przekonać się, jak wytrzymałym stworzeniem jest człowiek, pragnienie korzystania z uciech tego świata osiąga poziom krytyczny.

Pozostanmy więc lepiej za bramą. Warto przywrócić się bliżej mechanizmowi gwarantującemu tu sprawne wykonanie każdego zadania. Tajemnica sukcesu tkwi w odpowiedniej eksploatacji tzw. drogi służbowej. Oto na terenie jednostki rośnie drzewo, które trzeba usunąć. Polecenie wydaje - powiedzmy - pułkownik, ściśle określając czas jego wykonania /zasada!/, dajmy na to - dwa dni. Zadanie spływa w dół drogą służbową, nabierając na każdym szczeblu prędkości. I tak na najniższym kapral stawia je grupie szeregowych. Termin - dwie godziny. Wykonanie warunkiem pójścia całej kompanii na seans video /oczywiście "Rambo"/. Za niewykonanie zadania odpowiedzialiby wszyscy - zgodnie z zasadą lawiny. Presja jest więc oddolna i ogólna. - wyrnik narowiany.

Sam sposób wykonania zadania określają dwa zgrabne eufemizmy funkcjonujące także w gospodarce cywilnej: "zabezpieczyć" i "zorganizować". Używa się ich zazwyczaj jako drugiego członu wydanego polecenia. Cel - taki i taki, środki do wykonania - "zorganizować". Co tu ukrywać, czujność jest jedną z najintensywniej trenowanych cech żołnierza.

Nie sposób więc zaprzeczyć twierdzeniu, że wojsko jest prawdziwą kuznią charakterów. Kształtuje bowiem ludzi oswojonych z wszelkimi niewygodami, świadomych tego, że ich własna pozycja społeczna, osiągnięcia i ambicje są rzeczą względną wobec nadrzędnego interesu państwa, nauczonych "organizowania" i "zabezpieczania" wszelkich dóbr w sposób niekonwencjonalny. Ukończysz tę swoistą szkołę przetrwania młody człowiek wie także, że - jak głosi stare wojskowe przysłowie - "nadgorliwość jest gorsza od faszystwa". Wie, że nie należy się zbytino wychylać, robi tylko to, co musi, tak by roboty starczyło dla wszystkich.

Aha, warto nadmienić, że rezerwista umie już także prać skarpetki, prasować koszulę, obierać ziemniaki, czyścić buty i jeszcze wiele, wiele innych cennych rzeczy, dla których - jak mawiają w kolejce - do wojska warto iść.

Zwykle nie należy do owocnych dyskusje o przyszłości służby wojskowej. Po prostu była, jest i będzie. Dziś tematem numer jeden jest sprawa służby zastępczej dla tych, nielicznych, którzy naprawdę nie chcą lub nie mogą. Bez względu na to, jaki obrót przybiorą dyskusje na najwyższych szczeblach, jakie konwencje i traktaty będą w najbliższych latach podpisane, większości polskich noworodków pici męskiej już rosną głowy pod hełmy. I nawet w warunkach największego kryzysu trzeba będzie ponieść koszty społeczne utrzymywania takiej armii, jakiej będzie wymagał interes układu, do którego należymy. Fakt faktem, że już dziś gros ludzi i sprzętu będącego w gestii wojska wykorzystuje się do prac na rzecz gospodarki narodowej /np. kolei/, oszczędza się i reorganizuje, co się da, by koszty te zmniejszyć. I prawdopodobnie właśnie w tym kierunku będzie ewoluować rola sił zbrojnych w naszym państwie.

Natomiast żadne układy nie obligują nas do trwonięcia największego majątku narodowego, jakim nadal w Polsce jest ... człowiek. Dwa lata skoszarowania to ogrom czasu przypadającego na formowanie się osobowości młodych Polaków. Tu właśnie nabierają oni

wielu nawyków, tu także kształtuje się ich stosunek do pracy, własności społecznej, innych ludzi. To prawdziwa szkoła życia. Jej absolwenci decydować będą wkrótce o powodzeniu przemian, bez których trudno marzyć o wyjściu z Gołki. Zmiana mentalności jest tu czynnikiem równie ważnym jak reformy strukturalne. W tej kwestii nie można wojska traktować jako enklawy, strefy zastrzeżonej, wyłączonej spod społecznej kontroli. Pompatyczne hasła o zbawiennym wpływie munduru na rogacie dusze czas włożyć między bajki i zacząć poważnie traktować naprawdę skomplikowane dylematy natury ludzkiej przechodzącej tego typu kurację wstrząsową.

Osobny rozdział stanowi służba wojskowa absolwentów wyższych uczelni, ludzi już ukształtowanych, często obciążonych rodzinami, specjalistów wysokiej klasy wszystkich dziedzin. Modne jest ostatnio biadolenie nad trwoniem ich talentów, retoryczne pytania, kiedy ta inwestycja państwa zacznie procentować, pchnie naprzód polską gospodarkę, naukę, kulturę. Na pewno nie prędko, choćby dlatego, że aktualnie obowiązujący system szkolenia wojskowego znacznie opóźnia ich wejście w życie. A jeszcze parę lat temu problem rozwiązywano w trakcie studiów - wakacyjnymi poligonami. Dziś szkolenie jest za krótkie, by zrobić z magistrów - inżynierów wojskowości /zresztą nie istnieje taka potrzeba, skoro zmieniono Szkoły Oficerów Rezerwy na Szkoły Podchorążych Rezerwy/, za długą zaś, by nie tracili oni kontaktu z własną specjalnością. To kolejne "martwe pole", na którym interes wojska nie współbrzmi z interesami społecznym.

"Armia w służbie narodu" - głosi jeden z miliona podobnych sloganów. Traktując go poważnie warto otworzyć dyskusję nad likwidacją "martwych pól" - szkodliwych skutków ubocznych "zaszczytnego obowiązku". Z pewnością nie osłabi to obronności kraju.

PIOTR LEGUTKO

- 1/ kot - żołnierz służby zasadniczej, który nie złożył jeszcze przysięgi wojskowej
kompot /lub bukiet/ - żołnierz uczący się w Wyższej Szkole Oficerskiej
trep - żołnierz zawodowy
bażant - żołnierz odbywający roczne przeszkolenie w SPR
nie kumać - nie rozumieć
zmoczyć, dać ciała - nie wywiązać się ze swoich obowiązków
mieć ciepło - być ukaranym
- 2/ rejon - obszar, miejsce, które doprowadzić należy do wojskowego /nie mylić z cywilnym/ porządku
działa - konkretny rodzaj pracy przydzielony żołnierzowi do wykonania
- 3/ z.o.m.z. - zakaz opuszczania miejsca zakwaterowania
p.p.k. - praca poza kolejnością

JANUSZ OKRZESIŁ

Służyć inaczej

W 1983 roku Komisja Praw Człowieka ONZ opublikowała "Raport Eide'a i Mubanga-Chipoya", poświęcony problemom sprzeciwu sumienia wobec służby wojskowej. * Dokument ten zwraca uwagę na podstawowe dylematy współczesnego świata, do których zalicza konie-

* Tekst skonfiskowany przez cenzurę w Tygodniku Powszechnym.

czność pogodzenia ochrony społeczności narodowej z dążeniem do pokojowego stworzenia społeczności ogólnoswiatowej, oraz likwidację sprzeczności między uznaniem władzy rządowej a poszanowaniem indywidualnych poglądów ludzi kierujących się swym sumieniem. Próby rozwiązania tych dylematów często prowadzą młodych ludzi do podjęcia decyzji o odmowie służby wojskowej. Motywy tych decyzji jest przekonanie, że przemoc nie jest środkiem właściwym do realizacji celów społecznych. Te wartości, ku którym oscyluje wyraźnie współczesny świat /np. wolność sumienia, swobodny rozwój kultury, godność ludzka, solidarność, ratowanie ginącej przyrody/ nie mogą być osiągnięte poprzez stosowanie przemocy. Przeciwnie, wymagają wyrzeczenia się agresji.

Owe indywidualne decyzje są sankcjonowane i wzmacniane przez przebiegające w skali międzynarodowej procesy uzbrojenia militarnego i politycznego. Głównym celem tych działań jest stworzenie takiej sytuacji, w której agresja stanie się militarnie; politycznie i psychologicznie niemożliwa /a nie, jak do tej pory, jedynie "nieopłacalna"/. Bardzo ważnym warunkiem rozbrojenia politycznego jest maksymalne zbliżenie przepisów regulujących stosunek obywateli poszczególnych państw do wojska i służby wojskowej. Intencją takiego zbliżenia jest nadanie niektórym procesom pokojowym /np. odmowie służby ze względu na sprzeciw sumienia, połączonej ze służbą zastępczą/ możliwie równorzędnych ram czasowych i ilościowych, co uniemożliwi wykorzystanie ich do realizacji przez poszczególne państwa doraźnych celów politycznych.

Report Komisji Praw Człowieka ONZ wskazuje na trzy grupy państw, które różnią się stanowiskami w sprawie obowiązkowości służby z bronią w ręku. Pierwsza obejmuje państwa, które prowadzą obowiązkowy pobór i nie uznają prawa do odmowy służby wojskowej ze względu na światopoglądowych. Sytuacja taka istnieje w 39 krajach świata /m.in. w Albanii, Jugosławii, w obu państwach koreańskich, Turcji, Rumunii, na Filipinach i w ZSRR/. Druga grupa to państwa, które narzucają obowiązek służby wojskowej i nie uznają prawa do odmowy, jednakże zezwalają c.o. /conscientious objectors - zwyczajowa nazwa przeciwnika służby wojskowej ze względu na sprzeciw sumienia/ na objęcie w armii stanowisk administracyjnych nie związanych z użyciem broni. Ta grupa obejmuje kilkanaście państw.

Najliczniejsza, bo obejmująca aż 85 państw, jest grupa trzecia. Skupia ona te kraje, które pozostawiają poszczególnym ludziom swobodę decyzji co do odbycia lub odmowy służby wojskowej. Tego typu uregulowania prawne dominują w współczesnym świecie, a liczba państw stosujących się do tej zasady systematycznie się zwiększa /wkrótce spodziewane jest przyłączenie się Grecji/. Nie jest to grupa jednorodna, obejmuje bowiem zarówno państwa nie prowadzące poboru /w których służba jest dobrowolna/, jak i te, w których pobór jest prowadzony, które jednak uznają prawo do odmowy, umożliwiając służbę zastępczą. Ta ostatnia forma rozwiązania prawnych, istniejąca w 15 państwach, jest szczególnie warta uwagi polskiego czytelnika, gdyż stosowana jest w krajach europejskich, zajmujących w międzynarodowym systemie politycznym i militarnym miejsce analogiczne do Polski.

Dotychczasowe polskie ustawodawstwo zna pojęcie służby zastępczej, jednakże jej przyznanie dotychczas uzależniało od stanu zdrowia. Praktyczna interpretacja prawa, prócz osób z kat. zdrowia A1 i A2, z grona mogących ubiegać się o służbę zastępczą wyklucza również absolwentów wyższych uczelni. Jednakże w styczniu br. rzecznik pracy rządu poinformował o skierowaniu do konsultacji projektu nowych rozwiązań prawnych regulujących tę sferę życia. Opinia publiczna nie została do tej pory poinformowana o szczegółach owego projektu, wydaje się jednak oczywiste, że jakiegokolwiek nowe rozwiązanie prawne wymaga dokonania przez Sejm nowelizacji Ustawy o powszechnym obowiązku obrony PRL /szczególnie jej działu V/ oraz zmiany przepisów wykonawczych, w tym rozporządzenia Rady Ministrów w sprawie zastępczej służby poborowych. W jakim kierunku powinny pójść te zmiany?

Główną ideą, leżącą u podstaw instytucji służby zastępczej w krajach europejskich, jest idea służenia pokojowi. Służba zastępcza odbywa się tam w instytucjach, których zadaniem jest budowa pokojowego ładu na ziemi, np. w agendach ONZ, służbie zdrowia, instytucjach charytatywnych, szkolnictwie, organizacjach ekologicznych itp. We Francji można odbyć służbę zastępczą m.in. na misjach, pracujących wśród najuboższych, np. na Madagaskarze. W Danii służba może polegać na pracy w... społecznych ruchach pokojowych. W NRD Kościół ewangelicki zgłosił w 1981 roku propozycję powołania nieumundurowanej "Służby Wspólnoty Pokojowej". Rozwiązania podobne do duńskiego, choć pożądane, wydają się w najbliższej przyszłości w Polsce z wielu względów nierealne. Należy się zatem skupić na tych możliwościach, które dają już istniejące w Polsce instytucje użyteczności publicznej, służące dobru ogólnemu.

Drugą z zasad, które winny przyswiecać ustawodawcy, jest uniemożliwienie nadania służbie zastępczej charakteru represyjnego. Służba ta nie może być formą kary za odmowę służby wojskowej, nie może też być przedmiotem ataków propagandy państwowej. Oczywiście, kierowanie do niej i jej przebieg powinny być oparte na takich zasadach, które wykluczą nadużywanie możliwości odmowy służby z bronią w ręką przez ludzi nie powodowanych sprzeciwem sumienia, ale zwykłym rachunkiem prywatnych strat i zysków. Znany z praktyki dwa rozwiązania tego problemu. W jednym z nich sitem "oddzielającym ziarno od plew" są komisje weryfikacyjne, złożone z przedstawicieli instytucji państwowych, organizacji pokojowych i Kościołów, które rozpatrują podania o służbę zastępczą. Mają one prawo odrzucać podania, jeśli deklaruwane motywy uznają za fałszywe. Postępowanie takie jest wieloinstancyjne, co na zmniejszyć możliwości nadużyć. Przy przyjęciu podobnych mechanizmów czas trwania służby zastępczej jest zblizony do okresu służby wojskowej, przedłużony jedynie o czas trwania ćwiczeń rezerwy, na które mogą być powoływani rezerwiści po odbyciu służby wojskowej. Tak jest np. w RFN, gdzie służba zastępcza trwa 20 miesięcy wobec 16 miesięcy służby zasadniczej, i gdzie komisje weryfikacyjne odrzucają corocznie kilkaset, a nawet kilka tysięcy podań.

Z wielu względów stwarzanie podobnych komisji weryfikacyjnych, obdarzonych odpowiednią dozłą społecznego zaufania, byłoby w PRL bardzo trudne. Przyczyna takiego stanu rzeczy jest nie tylko kryzys zaufania do instytucji państwowych, potwierdzany przez liczne badania socjologiczne, ale i np. fakt nieuznawania przez państwo związku wyznaniowego Świadków Jehowy, spośród których wywodzi się liczna grupa odmawiających. Warto więc w tym miejscu opisać drugie z rozwiązań, zabezpieczających przed nadużyciami. Od 1983 roku we Francji przyjmuje się praktycznie każde podanie o służbę zastępczą /złożone zgodnie z dość ostrymi wymogami formalnymi/, jednocześnie jednak przedłużono czas jej trwania do 24 miesięcy /wobec 12 m-cy służby zasadniczej/. Tutaj więc czas trwania na stanowić barierę dla ewentualnych nadużyć. Powszechne jest bowiem przekonanie, że odmawiający służby wojskowej musi kierować się rzeczywiście silnymi motywami natury wyższej, jeśli decyduje się na dwukrotne przedłużenie czasu służby.

Jeżeli za czas trwania służby przyjmie się więc podwojony czas trwania służby wojskowej /a takie rozwiązanie sugerował rzecznik rządu/, to należałoby zrezygnować z postępowania weryfikacyjnego, które zawsze stwarza ciążące do urzędniczej nieuczciwości czy politycznych nadużyć. O skierowaniu do takiej służby zastępczej decydowałoby zatem złożenie przez zainteresowanego stosownego oświadczenia przed organami administracyjnymi powołanymi do rejestracji poborowych /ewentualnie innymi organami wojskowymi/. Skoro zaś nie będzie przeprowadzana procedura weryfikacyjna, to logicznym tego następstwem jest rezygnacja z wymogu uzasadnienia swojej decyzji. Nie powinny być także wyznaczone terminy składania oświadczenia, gdyż sprawy sumienia z samej swej natury wymykają się wszelkim ograniczeniom proceduralnym. Prawo do cywilnej służby zastępczej powinno przysługiwać również żołnierzowi przebywającemu już w jednostce, jeżeli dopiero tam wykryją się jego przekonania. W takich wypadkach czas odbywania służby wojskowej może nie być wliczany do służby cywilnej, by nie stwarzać okazji do korzystania z takiej możliwości żołnierzom, którzy popadli w konflikty nie związane ze sprzeciwem sumienia.

Przyjmując podwojony czas trwania służby zastępczej, nie należy zapominać, że służba zasadnicza w silitach zbrojnych PRL jest wyjątkowo długa i trwa 24 miesiące. /w Austrii - 9 miesięcy, w Hiszpanii - 12, Jugosławii - 16 do 18, NRD - 18, w Szwecji - 7,5 do 15, w Szwajcarii - 4, na Węgrzech - 18, we Włoszech - 12, w Finlandii od 8 do 11, w Belgii - 12, Brazylii - 12, Argentynie - 14/. Cywilna służba zastępcza musiałaby trwać zatem aż 4 lata, co nie wydaje się pożyteczne, ani ze względów ekonomicznych, ani tym bardziej humanitarnych. Rysuje się więc alternatywa: albo zrezygnować z podwojonego wymiaru służby cywilnej, albo skrócić okres służby wojskowej. Z przywołanych już wcześniej względów pierwsze rozwiązanie nie jawi się również korzystnie jak drugie. Skrócenie zasadniczej służby wojskowej wydaje się też zbieżne z opiniami miarodajnych kół wojskowych /vide: emanujacje w "Żołnierzu Wolności"/. Obecny wymiar służby nie jest, zdaniem wielu, usprawiedliwiony względami szkoleniowymi. Można go skrócić bez uszczerbku dla siły obronnej państwa, gdyż o niej w dużo większym stopniu decyduje wysoka technika, broń masowego rażenia i system sojuszy militarnych. Świadczą o tym choćby przykłady najludniejszych krajów świata, które wcale nie wykorzystują w 100% swojego potencjału ludnościowego. USA i Indie nie prowadzą w ogóle poboru w warunkach pokoju, armia chińska powołuje w swe szeregi jedynie 10% poborowych, w Brazylii natomiast prowadzi się pobór drogą ... losowania.

Poważne skrócenie czasu służby można osiągnąć poprzez sprowadzenie do minimum zajęć politycznych. Obawy, iż osłabi to morale żołnierzy, nie są uzasadnione. Wprowadzenie służby zastępczej sprzyjałoby powstaniu refleksji wśród poborowych na temat celu i wagi ich służby, a nikt chyba nie zaprzeczy, że żołnierz myślący jest bardziej wartościowy od żołnierza reagującego na zasadzie odruchów Pawłowa. Przy odpowiednim skróceniu służby zasadniczej możliwy do przyjęcia byłby więc podwojony wymiar czasu trwania służby zastępczej.

Następnym problemem, z którym spotykają się prawodawcy, jest kwestia zasad, według których organizowana jest sam przebieg służby cywilnej. Pierwszym krokiem do wypracowania takich zasad będzie niewątpliwie zniesienie rocznych limitów osób przeznaczonych do odbywania służby zastępczej. Obecnie kontyngenty takie są ustalane przez Wojewódzkie Sztaby Wojskowe. Instytucja limitów nie wytrzymuje krytyki, gdyż - co oczywiście - nie można obliczyć metodami administracyjnymi stanu ludzkiego sumienia.

Wielu radykalnych pacyfistów, a także niektóre ruchy religijne, nie korzystają ze służby zastępczej, jeżeli skierowania do niej dokonują organy wojskowe. Sprzeciwiają się w ten sposób prawu do dysponowania swoją osobą przez wojsko. W wielu krajach ludzie ci, sprzeciwiający się ze względów światopoglądowych wszelkim formom współpracy z wojskiem, pociągani są do odpowiedzialności karnej. Istnieje jednak proste wyjście z tej sytuacji: poborowy z złożenia stosownego oświadczenia podlega wyłącznie władzom cywilnym. Skierowanie do odbywania zastępczej służby cywilnej ma charakter decyzji administracyjnej, wydawanej przez organ administracji państwowej. Nadzór nad odbywaniem służby zastępczej sprawowałby - w przypadku PRL - Minister Pracy, Płac i Spraw Socjalnych. Wszelkie spory wynikłe na tle wykonywania służby zastępczej podlegałyby rozstrzygnięciu sądów cywilnych.

Jeszcze jednym powodem, by służbę zastępczą pozostawić w wyłącznej gestii władz cywilnych, jest lepsze rozpoznanie owych władz w potrzebach społecznych. Ze względów ekonomicznych /mniejsze koszty utrzymania/ i rodzinnych pożądany jest, by miejsce odbywania służby zastępczej było ściśle związane z miejscem zamieszkania poborowego. To z kolei sugeruje potrzebę przeniesienia kompetencji ministra /czy też jedynie ich części/ na terenowe organy administracji państwowej.

Jeżeli trzymać się zasady, że służba cywilna na byle służbą dla pokoju, to służba taka może obejmować tylko te instytucje społeczne, które spełniają ten warunek. Oczywiście nie chodzi tu o pokój pojmowany jako brak wojny między państwami, lecz raczej w rozumieniu nadanym temu pojęciu przez Jana Pawła II - jako pożądany stan społeczny oparty na miłości. We współczesnej Polsce warunki takie spełniają szpitale i domy opieki społecznej /gdzie drastycznie występuje brak rąk do pracy/, instytucje charytatywne np. kościelne komitety pomocy, Towarzystwo im. Brata Alberta, Polski Komitet Pomocy Społecznej, Polskie Czerwone Krzyż, szkolnictwo /tu pomocą mogłoby służyć absolwenci wyższych uczelni/, deficytowe zawody o charakterze służby społecznej /np. listonosz, śmieciarz/. Można też utworzyć specjalne służby odnory środowiska czy też formacje, niosące pomoc w razie katastrof i klęsk żywiołowych. Rozwiązań jest wiele, obowiązywać tu musi jednakże jasna zasada: służba zastępcza odbywa się tylko w instytucjach użyteczności publicznej, a nie w przemyśle lub instytucjach obsługujących wojsko. Praca w przemyśle nie jest bowiem służbą społeczną, lecz zaspokajaniem potrzeb ekonomicznych, natomiast obsługa wojska w sposób istotny jest niezgodna z samą ideą służby cywilnej.

Koniecznym wydają się też ustawowe gwarancje, że środki, zaoszczędzone przez państwo w wyniku pracy poborowych w służbie cywilnej, nie będą wycofane np. ze szkolnictwa czy opieki zdrowotnej i przeznaczone na inne cele, np. na zbrojenia. Służba zastępcza musi bowiem polepszyć sytuację w niewralgicznych sferach naszego życia, a nie służyć utrwalaniu status quo.

Praca w służbie cywilnej nie może być formą pracy przymusowej, toteż poborowym powinny przysługiwać prawa wynikające z kodeksu pracy, spory winny być rozstrzygane przez sądy pracy, a stosunek pracy powinna regulować umowa o pracę, podpisywana na czas trwania służby zastępczej. W umowie należy zagwarantować prawo do: urlopu wypoczynkowego /przysługującego wszak również żołnierzom/, dni ustawowo wolnych od pracy, ubezpieczeń społecznych, swobodnego poruszania się po kraju, uzupełniania wykształcenia, bezpieczeństwa i higieny pracy, zrzeszania się w związki zawodowe itp. Poborowi odbywający służbę zastępczą nie powinni podlegać skoszarowaniu, nosić mundurów i składać przysięgi lub ślubowania, a okres trwania służby zastępczej winien być równorzędny z okresem zatrudnienia /podobne prawo przysługuje żołnierzom służby czynnej/. Ideą takich rozwiązań jest zblizenie warunków odbywania służby zastępczej do warunków nor-

malnego, cywilnego stosunku pracy.

Imnych rozważań wymaga natomiast kwestia wynagrodzenia. Obecnie poborowi odbywający służbę zastępczą otrzymują żołd oraz ewentualnie ekwiwalent za wyżywienie i ubranie robocze, co łącznie daje sumę 7-8 tys. zł. Oczywiście nie wystarcza to nawet na skromne wyżywienie, a przecież odbywający służbę zastępczą nie pozostają na utrzymaniu armii, tak jak żołnierze. By zapewnić minimum warunków egzystencji, należy zatem przyznać w służbie zastępczej wynagrodzenie za pracę nie niższe od płacy minimalnej, mogące jednak ulegać podwyższeniu przy dobrych wynikach w pracy. Wielu poborowych skierowanych do służby cywilnej będzie zapewne posiadało rodziny, toteż i rodzinom trzeba zapewnić minimum egzystencji. Dotychczas, regulując sprawy zasiłków, przysługujących członkom rodzin żołnierzy i osób pełniących zastępczy obowiązek służby wojskowej, uchwała Rady Ministrów nr 102/86 /wraz ze zmianami dokonanyimi uchwałą nr 24/88/ faktycznie nie zapewnia wystarczających środków do życia. Potrzebne są zatem takie decyzje, które każdej osobie pozostającej na utrzymaniu poborowego /zarówno odbywającego służbę zastępczą, jak i żołnierza służby zasadniczej/ zapewnią zasiłek pieniężny w wysokości co najmniej minimum socjalnego.

Odrębnego uregulowania wymaga problem służby wojskowej studentów i absolwentów wyższych uczelni. Obecnie ich służba polega na rocznym szkoleniu wojskowym studentów z kat. A podczas studiów oraz rocznej służbie absolwentów, najpierw w Szkole Podchorążych Rezerwy, a potem w jednostce. I tutaj możliwe są dwa rozwiązania: albo całość służby wojskowej przenieść poza czas studiów i uczelnie /stosując te same zasady co wobec "normalnej" służby zastępczej/, albo - i to rozwiązanie wydaje się łatwiejsze do realizacji - wprowadzić podczas studiów alternatywne szkolenie sanitarne, organizowane przez władze uczelni /a nie - jak dotychczas dla dziewcząt i chłopców z kat. zdrowia E i B - przez władze wojskowe/. Skierowanie do służby zastępczej po studiach odbywałoby się na ogólnych zasadach, przy zachowaniu podwojonego czasu trwania w stosunku do służby wojskowej absolwentów uczelni. Należałoby rozpatrzyć możliwość odbywania służby zastępczej również na uczelniach i w innych instytucjach naukowych. Utrata kontaktu z wyuczonym i wykonywanym zawodem w przypadku ludzi z wyższym wykształceniem może okazać się stratą nie do nadrobienia, a niewątpliwie przeciw magister lepiej przysłużyć się społeczeństwu mając możliwości twórczej pracy umysłowej, niż będąc ich pozbawionym. Oczywiście, propozycja ta dotyczy tylko najzdolniejszych.

Głównymi celami przedstawionych powyżej rozwiązań są:

- 1/ równouprawnienie młodych mężczyzn odmawiających służby wojskowej ze względu na sprzeciw sumienia;
- 2/ organizowanie służby zastępczej na zasadzie służby społeczeństwu;
- 3/ zbliżenie warunków odbywania służby zastępczej do warunków cywilnego stosunku pracy.

Można oczekiwać, że realizacja tych celów przyniesie wymierne korzyści wychowawcze i ekonomiczne, a co za tym idzie, spotka się ze społeczną aprobatą. Jedynie wątpliwości mogą dotyczyć większej dolegliwości służby z bronią w rękę. Ale czy są to wątpliwości uzasadnione? Przecież odbywający służbę zastępczą, również narażony jest na szereg niedogodności, np. przywiązanie do miejsca pracy, niskie uposażenie /a co za tym idzie, niski poziom życia/, zamknięte możliwości awansu. Również porównanie wysiłku, jakiego wymaga praca sanitariusza, piekarza czy ładowacza w przedsiębiorstwie komunalnym z wysiłkiem żołnierza w dobrze zorganizowanej służbie, nie zawsze wypadnie na korzyść tego pierwszego. Podwojony czas służby jest też argumentem o niebagatelnym znaczeniu. Nie ulega również wątpliwości, że wiele uciążliwości żołnierskiego życia wynika z zachowań patologicznych /np. konflikty między "starymi" i "kotami"/, błędów wychowawczych, złej organizacji życia w koczarach - którym to zjawiskom władze wojskowe usiłują wydać zdecydowaną walkę. Zamiast więc poświęcać się pseudogalitarnej wyszukiwaniu metod "równego podziału uciążliwości" warto zastanowić się, jak owe uciążliwości zminimalizować. A przecież szanse na zwalczanie zjawisk patologicznych powinny wzrosnąć, gdy służba wojskowa będzie musiała zwiększyć swą atrakcyjność w obliczu alternatywnej służby cywilnej.

Wprowadzenie cywilnej służby zastępczej nie powinno w najmniejszym stopniu wpłynąć na polityczną i obronną siłę państwa. Nie ma potrzeby udwadniania rzeczy oczywistej, że o sile militarnej państwa decyduje nie ilość poborowych /a już szczególnie poborowych zmuszonych do odbycia służby wbrew ich sumieniu/, lecz nasycenie najnowszą technologią środków walki. Natomiast środki uzyskane dzięki służbie zastępczej mogą być wykorzystane do rozwiązywania problemów, z którymi boryka się społeczeństwo, co niewątpliwie przyczyni się do złagodzenia napięć społecznych. Wzrosnie również

autorytet państwa, które potrafi uszanować sumienia swych obywateli.

Dodatkowym argumentem przeciwko obawom o osłabienie siły państwa są doświadczenia tych państw, które już od wielu lat uznają prawo do odmowy służby wojskowej. Ilość odmawiających z pobudek moralnych jest stosunkowo niewielka /Holandia-9%, Szwecja-8,5%, Belgia-5%, Francja-zaledwie 0,5%, RFN-najwięcej, bo aż ok.20%, nigdzie też nie spowodowała rozkładu armii czy jej demoralizacji. Obawy takie są więc bezpodstawne.

Przytoczone argumenty przemawiają jednoznacznie za przyznaniem prawa do służby zastępczej osobom odmawiającym służby wojskowej ze względu na sprzeciw sumienia. Prawo to - prócz pilnych regulacji ustawowych - powinno znaleźć swoje odzwierciedlenie również w procesach legislacyjnych, zmierzających do zmian w Konstytucji PRL. Konstytucyjna gwarancja prawa do odmowy byłaby świadectwem ewolucji systemu prawnego w kierunku uznania fundamentalnej zasady europejskiej cywilizacji - prymatu osoby ludzkiej nad instytucjami życia politycznego. Miałoby to też istotne znaczenie w szeregu działań podjętych przez ONZ i społeczność międzynarodową na rzecz "przygotowania społeczeństw do życia w pokoju", które to działania zostały przecież zainicjowane przez Polskę.

JANUSZ OKRZESIK

LUCYMA FRACKIEWICZ

Zagrożenie ekologiczne na Śląsku

Postępująca degradacja środowiska naturalnego i wynikające stąd zagrożenia społeczne pozostają w ścisłym związku z istniejącymi na tym terenie zasobami mineralnymi oraz zainwestowanymi przez stuleci środkami trwałymi. Eksploatowanie starych urzędzeń za pomocą przestarzałych technologii przy równoczesnej lokalizacji dalszych nowych zakładów i kombinatów o coraz większej mocy przerobowej przesądziło o tym, że GOP w obecnych granicach stanów wyjątkowo trudny społecznie i gospodarczo obszar kraju. Szybkie tempo urbanizacji i industrializacji spowodowało wiele nieodwracalnych skutków, wśród których szczególnie drastycznie przedstawia się stan środowiska naturalnego.

Obecny stan środowiska naturalnego może być uznany za katastrofę ekologiczną. Nie jest więc przypadkiem, że od kilkunastu lat prowadzone są na tym właśnie terenie badania modelowe finansowane przez Światową Organizację Zdrowia/WHO/. Na obszarze tym bowiem istnieje niespotykane w Europie zagrożenie zdrowia i życia człowieka. Zespół ekspertów, przygotowujących raport o stanie środowiska naturalnego województwa katowickiego, zakończył ten dokument następującym stwierdzeniem: *"Lokowanie dalszej zabudowy mieszkaniowej w obrębie niemal wszystkich miast województwa, o ile nie wyeliminuje się skażeń środowiska, wymagał będzie społecznej akceptacji krótszego życia, częstszego leczenia się oraz podjęcia ryzyka co do stopnia rozwoju przyszłej populacji"*.

Te dramatyczne stwierdzenia udokumentowane zostały materiałami statystycznymi, które wskazują, że ludność na obszarze miast województwa katowickiego żyje o ponad

* Tekst ten pochodzi z V tomu serii "Położenie klasy robotniczej w Polsce" /red. Przemysław Wójcik/ pt. "Zagrożenie ekologiczne". Wyd. KC PZPR.

2 lata krócej od przeciętnego dla kraju trwania życia ludzkiego, że występuje tu wyższa umieralność dorosłych, zwłaszcza w grupach wiełu produkcyjnego, wyższa umieralność niemowląt, częściej występuje wcześniactwo, wyższa defektywność dzieci, wyższa wypadkowość, zachorowalność /zwłaszcza na choroby zawodowe i cywilizacyjne/ i chorowitość ludności. Wszystkie te niekorzystne zjawiska wykazują zdecydowaną tendencję wzrostową: intensyfikują się szczególnie w centralnej części GOP. Jeszcze bardziej wielostronny obraz w tym względzie dostarcza artykuł Z. Gorczycy³⁾ oraz raport Instytutu Kształtowania Środowiska, którego fragment przytaczamy poniżej:

"Ponadnormatywne stężenie zanieczyszczeń w różnych elementach środowiska na terenie województwa katowickiego, występują w stopniu niespotykanym w skali kraju, stwarzając bezpośrednie zagrożenia dla zdrowia i życia ludności. Działanie trucizn i substancji szkodliwych, występujących w środowisku, wywołuje skutki w postaci zatrud o przebiegu ostrym lub przewlekłym. Ocenę stopnia zagrożenia pogłębia fakt, że skutki działania trucizn i substancji szkodliwych w szereg przypadków ujawniają się dopiero po dłuższym czasie, wywołując choroby układu oddechowego, krążenia, a także wywierające działanie rakotwórcze, mutagenne i teratogenne.

Przeważny narażania organizmów żywych na ujemne wpływy substancji toksycznych są różne. Przypadkowo mogą one być wywołane wdychaniem substancji toksycznych znajdujących się w powietrzu w postaci stałej, aerozoli lub postaci gazowej.

Znaczne przestrzenne pokrywanie się układów osadniczych z rejonami przemysłowymi powoduje, że 74% populacji województwa miesza w strefach szczególnego zagrożenia dla zdrowia, w tym 1 mln w strefie oddziaływania wysoce toksycznych substancji, jak: ołów, kadm, a także substancji rakotwórczych w postaci benzopirenu i perylen. Wynikają stąd określone skutki zdrowotne. Między innymi stwierdzono, że u co 4 kobiety ciężarne występują różnorodne zaburzenia pod postacią anemii, zatrud ciążowych, chorzeń układu krążenia i nerek. Wynikiem tego jest także wyższa aniżeli w innych regionach kraju wczesna umieralność noworodków oraz wyższy odsetek urodzeń martwych i toddu. Obserwuje się również narastanie wcześniactwa, które z 9% w 1980 roku zwiększyło się do ponad 11% w 1983 roku. Szczególnie wysoki jest odsetek dzieci i młodzieży wymagającej specjalnej opieki zdrowotnej w wyniku nabytych wad postawy, wzroku, zaburzeń rozwoju somatycznego.

W miastach położonych w centrum GOP, gdzie dopuszczalne normy stężenia pyłów przekraczane są nawet 10-krotnie, wady postawy występują u ponad 15% dzieci w wieku 3 - 6 lat i ponad 14% u dzieci w wieku 7 - 14 lat.

Stan zanieczyszczenia środowiska metalami ciężkimi w Katowicach-Szopienicach, Miasteczku Śląskim, Bukowniu, powoduje konieczność stałego monitorowania biologicznego dzieci i matek. Corocznie badaniami obejmuje się kilka tysięcy osób stwierdzając w dalszym ciągu, mimo prowadzonych działań zapobiegawczych, przypadki nadmiernego wdychania ołowiu przez miejscową ludność.

Dodatkowym obciążeniem populacji dorosłej w województwie jest praca na stanowiskach uciążliwych i szkodliwych dla zdrowia. Co roku wykrywa się od 1.700 do 2.000 nowych przypadków chorób zawodowych, co stanowi 25 - 30% wszystkich zachorowań w kraju w tej grupie.⁴⁾

Przyczyn tej sytuacji są bardzo różnorodne. Jedną z nich jest to, że na obszarze 2% powierzchni kraju, zamieszkałym przez 10% ludności Polski koncentruje się eksploatacja i przerob ogromnej ilości bogactw naturalnych. Wystarczy podać, że eksploatuje się tu 98% węgla, 100% rud cynku i ołowiu, produkuje 31% koksu, 32% energii elektrycznej i 52% stali. Przerob i produkcja tak znaczących zasobów za pomocą mało nowoczesnych technologii przesądza o znacznych ilościach zanieczyszczeń pyłowych i gazowych, poważnej wodochłonności oraz powstawaniu znacznych ilości opadów przemysłowych. W województwie katowickim emisja pyłów stanowi czwartą część wielkości ogólnokrajowej, emisja gazów trzecią część⁴⁾, przy czym sytuacja z roku na rok ulega pogorszeniu /ilustruje to tabl. 1/.

Zahamował ją jedynie okres wydarzeń sierpniowych wskutek częstych przestoju zakładów przemysłowych. Obecnie jednak nadal widoczna jest tendencja rosnąca. Składowanych jest tu także 60% łącznej ilości odpadów wytwarzanych w kraju.

Szczególnie niebezpieczna jest dla zdrowia i życia mieszkańców emisja zanieczyszczeń powodujących ponadnormatywne skażenie powietrza atmosferycznego. Na obszarze województwa katowickiego, w tym głównie GOP, zlokalizowanych jest 192 z 900 zakładów w skali całego kraju, które zaliczone są do kategorii A ze względu na skalę i charakter oddziaływań szkodliwych dla ustroju ludzkiego. Raport o stanie środowiska podkreśla nie tylko wzrastające rozmiary zanieczyszczeń /w 1980 r. emisje zanieczysz-

czeń gazowych były czterokrotnie wyższe niż w 1970 r./,ale przede wszystkim ich ogromną toksyczność.Spowodowana jest ona m.in. istnieniem w zanieczyszczeniach gazowych środków chemicznych o szczególnie ciężkich konsekwencjach zdrowotnych.

TABLICA 1

Emisja przemysłowych* zanieczyszczeń pyłowych i gazowych według rodzajów /w tys. ton/

wyszczeg.	1975	1976	1977	1978	1979	1980	1981	1982
Zanieczyszczenia pyłowe	611,7	609,8	630,9	633,3	682,6	637,5	481,4	480,6
w tym:								
- popioł lotny	352,6	357,7	389,3	388,6	454,0	428,4	327,7	331,1
- pyły metalurgiczne	63,3	61,5	78,0	81,6	84,9	71,5	53,9	58,4
- pyły z cementowni	139,2	133,5	112,7	107,5	87,9	69,8	44,5	44,9
Zanieczyszczenia gazowe	795,7	896,0	970,9	1270,0	1639,1	1776,2	1602,0	1662,5
w tym:								
- dwutlenek siarki	630,1	709,2	718,5	856,0	892,6	935,3	777,0	781,5
- tlenek węgla	83,0	96,6	158,4	363,9	683,7	745,4	597,6	588,5

*Łącznie z zakładami gospodarki ciepłej.

Źródło: Rocznik Statystyczny Województwa Katowickiego, Katowice 1980, s. 43 oraz Rocznik Statystyczny Województwa Katowickiego, Katowice 1983, s. 182

Zanieczyszczenie środowiska naturalnego w warunkach aglomeracji śląskiej wywiera ujemny wpływ nie tylko na człowieka, lecz i szeroko rozumiane środowisko przyrodnicze. Substancje toksyczne powodują wydatne obniżenie jakości produktów spożywczych - jarzyn, owoców, zbóż uprawianych na obszarze aglomeracji bądź w jej najbliższym sąsiedztwie. W wyniku wstępnych analiz ustalono, że na skutek postępującego skażenia terenów rolnych i leśnych zaledwie 51% powierzchni użytków rolnych województwa katowickiego nadaje się do produkcji środków spożywczych dla ludności, na 32% powierzchni można uprawiać tylko niektóre rośliny, a 17% należy bezwzględnie wyłączyć z obszaru uprawy roślin do celów spożywczych. Substancje toksyczne przenikające do roślin stanowią bowiem poważne zagrożenie dla zdrowia ludności, zwłaszcza dzieci i młodzieży.

Badania Instytutu Kształtowania Środowiska w kompleksach ogródków działkowych leżących na terenie aglomeracji Górnośląska udokumentowały wysoki stan zagrożenia metalami ciężkimi. Normalna zawartość Pb wynosi do 20 mg na kg gleby, tymczasem w województwie katowickim są znaczne odstępstwa od tej wielkości /Tychy 42 mg, Rudziniec 78 mg, Mikołów 55 mg, Katowice 530 mg, Bytom 562 mg, Wojkowice Kościelne 89 mg/. Podobnie stwierdzano kilkunastokrotne przekroczenie zawartości kadmu w wielu miastach GOP. Badania laboratoryjne zawartości ołowiu i kadmu w roślinach przyniosły bardzo niepokojące wyniki /kilka dziesiątkokrotna przekroczenie dopuszczalnej normy/, które świadczą o konieczności bezwzględnego ograniczenia strefy życielskiej aglomeracji. Zjawiskiem szczególnie niepokojącym jest bardzo szybkie kurczenie się terenów, które można uznać za nieskażone oddziaływaniem przemysłu. Ze względu na ochronę mieszkańców przed działaniami toksycznymi podjęto badania nad lokalizacją ogródków działkowych, które w obecnej sytuacji stały się obszarem dodatkowych zagrożeń ludności. Z uwagi na duże rozmiary ogródków działkowych /ponad 400 kompleksów/ i tradycje ich intensywnego wykorzystywania przez ludność aglomeracji śląskiej problem ten ma duże znaczenie.

Warto również podkreślić poważne zagrożenie terenów rekreacyjnych, znajdujących się w najbliższym sąsiedztwie GOP. Wysoka lesistość województwa katowickiego, a zwłaszcza zlokalizowane w Lesnym Pasie Ochrony urządzenia rekreacyjne, stanowią dotychczas łatwo dostępne obszary licznie uczęszczane w okresie wypoczynku sobotnio-niedzielnego. Przeprowadzone w 1978 r. badania udokumentowały, że 82% ogółu powierzchni leśnej województwa znajduje się w strefach uszkodzeń pyłowych i, co gorsza, obserwuje

się bardzo szybko tempo wzrostu ich zasięgu. Rozmiary dokonujących się przeobrażeń w okresie 1976-1978 ilustruje tabl. 2.

TABLICA 2

Tereny leśne objęte działaniem uszkodzeń przemysłowych

Strefy uszkodzeń przemysłowych	1976		1978	
	ha	%	ha	%
I /słabych uszkodzeń/	44.061	37,2	36.694	29,0
II /średnich uszkodzeń/	63.047	53,2	61.882	48,8
III /silnych uszkodzeń/	11.293	9,5	28.093	22,2
	118.401	100,0	126.669	100,0

Źródło: Raport o stanie środowiska województwa katowickiego, Katowice 1979, s. 27

Pomimo istnienia wielu przepisów prawnych, które winny gwarantować ochronę przyrody w najbardziej zagrożonym obszarze kraju, nie podejmuje się praktycznych działań wynikających z tych przepisów. Wprawdzie w latach 1975-1980 nastąpił przyrost 405 ha sadów i 614 ha zieleńców, lecz na skutek dalszego przyrostu liczby ludności w bardzo już zaludnionym obszarze ogólny wskaźnik zieleni na mieszkańca nie uległ zmianie i odbiega w znacznym stopniu od wielkości normatywnej. Wynosi on w województwie katowickim 12,9 m² wobec wielkości normatywnej - 17,2 m². Trudną sytuację środowiska przyrodniczego Górnego Śląska ilustruje m.in. fakt, że spośród 384 gatunków zwierząt chronionych w Polsce na obszarze województwa katowickiego występuje jedynie 80 i obserwuje się dalsze zanikanie tych gatunków.

Oddzielny problem stanowi gospodarka terenami. Na obszarze całego województwa istnieje około 16 tys. ha terenów nieużytków poprzemysłowych. Koncentrują się one na obszarze GOP, a stanowią je głównie wyrobiska po eksploatacji odkrywkowej, niekiedy bezodpływowe oraz nadpionomowe i podpionomowe składowiska odpadów 74,2 tys. ha. Powierzchnie nieużytków poprzemysłowych szybko rosną, a resorty odpowiedzialne za ich zagospodarowanie nie podejmują odpowiednich działań rekultywacyjnych.

Problem niewywiązywania się odpowiednich resortów z obowiązków ochrony środowiska jest znacznie szerszy. W latach 1976-1980 resorty zostały zobowiązane przez Urząd Wojewódzki w Katowicach do wykonania na rzecz ochrony środowiska prac wartości 28,2 mld zł. Prace te jednak w rzeczywistości nie zostały w pełni zrealizowane, mimo pełnego wykonania zadań produkcyjnych: na rzecz ochrony środowiska wykonano zadania w 58,4%, w tym na rzecz ochrony powietrza w 54,6%, na rzecz ochrony wód w 29,2%, a na rzecz budowy komunalnych oczyszczalni ścieków w 19,7%. To znikome wywiązywanie się resortów ze swych zobowiązań ma ogromne i niekorzystne skutki ekonomiczne i społeczne. Należy dodać, że niewykonywanie zadań związanych z ochroną środowiska dotyczy także wielu lat poprzednich, co powoduje kumulację potrzeb i rozmiary degradacji środowiska. Niefrasobliwość i nieodpowiedzialność resortów ujawnia np. realizacja uchwały Rady Ministrów nr 63 z 1975 r. W zakresie ochrony wód zrealizowano w latach 1976-1980 zaledwie 7% zaplanowanych nakładów, w zakresie ochrony powietrza 23,3% nakładów. Według raportu o stanie środowiska w województwie katowickim resort górnictwa wykonał w zakresie ochrony wód 21,6% ogólnych nałożonych nań zadań, resort hutnictwa 3,6%, a resorty chemii i leśnictwa nie podjęły w ogóle przewidzianych prac. W zakresie ochrony powietrza atmosferycznego resort górnictwa wykonał 73% zadań, resort hutnictwa 1%, resort chemii 2,2%, a resorty energetyki, budownictwa i leśnictwa nie podjęły żadnych prac. Decyzja Prezydium Rządu nr 128 z 1975 r. w sprawie ochrony przed zanieczyszczeniem wód rzeki Przemszy została z kolei wykonana w niewielkim stopniu: wydatkowano na ten cel tylko 17,2% przewidzianych nakładów. Te przykładowo tylko wymienione fakty ujawniają przyczyny, które powodują postępującą degradację środowiska naturalnego GOP, w szybkim tempie przekształcającą się w katastrofę ekologiczną. Istotnym źródłem tego stanu są rozmiary oraz sposób eksploatacji złóż węgla. Eksploatacja w coraz większym stopniu sięga po wydobywanie z filarów ochronnych /systemem z zawalaniem stropu/. W 1981 r. tym systemem uzyskano 64% ogólnego wydobywania węgla. Eksploatacja z filarów

ochronnych umożliwia wydużenie żywotności wielu kopalń, obniżając tym samym nakłady na budowę nowych kopalń, lecz równocześnie - wobec wieloletnich zaniedbań w działaniach profilaktycznych oraz naprawie wyrządzonych szkód - spowodowała nieodwracalne, katastrofalne skutki społeczno-ekonomiczne.

Jako przykład posłużyć może fakt, że w trzydziestopięcioletnim okresie obejmującym lata 1945-1980 wystąpiło na terenie województwa katowickiego wskutek szkód górniczych blisko 200 tys. awarii sieci wodociągowej, blisko 50 tys. awarii sieci kanalizacyjnej, a w 1980 r. zaistniała potrzeba wymiary 660 km sieci wodociągowej i 140 km sieci kanalizacyjnej. Ponad czwarta część rzek województwa katowickiego uległa nieodwracalnym procesom degradacyjnym. Poważne szkody występują w urządzeniach kolejowych, wywołując m.in. konieczność ograniczenia prędkości pojazdów, stosowania podwójnej trakcji itd. Znaczne są szkody w stanie istniejącej substancji mieszkaniowej. W latach 1945-1980 zakwalifikowano do odtworzenia z powodu całkowitego zniszczenia 32,8 tys. mieszkań, nie licząc 320 tys. mieszkań wymagających napraw i remontów na skutek ujemnego wpływu eksploatacji górniczej. W wielu miastach GOP /Bytom, Chorzów, Siemianowice/ tzw. tapnięcia powodują zapadanie się domów, co wpływa na brak poczucia bezpieczeństwa mieszkańców niektórych dzielnic, żyjących w nieustannym zagrożeniu. Chroniczny od wielu lat brak mocy przerobowych powodował podejmowanie działań remontowych ze znacznym opóźnieniem, pogarszając stan substancji mieszkaniowej. Warto przy tym zwrócić uwagę na fakt coraz wyżej sięgającej eksploatacji filarów pod zabudowę miejską, co powoduje coraz większe zagrożenie mieszkańców GOP. Ilustruje to tabl. 3.

TABLICA 3

Wydobycie węgla według rodzajów filarów.

Rodzaje filarów	Wydobycie w mln ton			
	do 1975 roku	w latach 1975 - 1980	Razem	%
Szybowe	32,1	18,5	50,6	3,7
Zakładów przemysłowych	47,8	34,0	81,8	6,5
Miast i osiedli	619,2	192,5	811,7	58,0
Innych obiektów /drogi, koleje itp./	333,7	112,0	445,7	31,8
Ogółem	1032,8	357,0	1389,8	100,0

Źródło: Raport o katastrofalnym stanie majątku narodowego, Urząd Wojewódzki w Katowicach 1979, s.4

Charakterystyczną cechą gospodarki przestrzennej GOP jest jej nieplanowość oraz brak rozwiązań perspektywicznych. Na koniec 1981 r. szacowano, że zakres zaległych, nie usuniętych szkód górniczych przekraczał wartość 10 mld zł; w tych warunkach praktycznie niemożliwe było podejmowanie działań rekompensujących eksploatację węgla.

Analiza napraw szkód górniczych wskazuje, że w większości przypadków nie były one w pełni wykonywane, a w wielu dziedzinach zamiast postępu obserwowano regres. Odnosi się to np. do rekultywacji nieużytków, których powierzchnia rekultywowana przez resort górnictwa wynosiła w 1977 r. 456 ha, a w 1980 zaledwie 76 ha. Staje się sprawą zupełnie oczywistą, że tego rodzaju gospodarka, prowadzona na obszarze Górnego Śląska od wielu lat, stwarza szkody coraz trudniejsze do usunięcia. Obowiązujące przy tym prawo górnicze /zwłaszcza po nowelizacji w 1977 r./ stwarza wprawdzie możliwość naprawienia szkody przez państwową jednostkę organizacyjną poprzez wypłatę odszkodowania. Jednak przy stałym niedostatkowi tzw. mocy przerobowych stwarza jedynie formalne, a nie materialne warunki naprawienia szkody. Wydaje się, że przy znacznie wzrastającym od 1982 r. wydobywaniu węgla kamiennego poruszane problemy nabierają szczególnie dużej ostrości i wymagają szybkich i skutecznych metod przeciwdziałania katastrofie ekologicznej Górnego Śląska.

W omówionych warunkach środowiska naturalnego i przy prowadzonej gospodarce eks-

- 4/ Rocznik Statystyczny GUS, Warszawa 1981, s. 23
 5/ Raport o katastrofalnym stanie majątku narodowego, Urząd Wojewódzki w Katowicach, Katowice 1979
 6/ A. Klasik, Elementarne problemy rozwoju aglomeracji katowickiej, Katowice 1981

GWIDON RADWAN

ENCYKLIKA „SOLLICITUDO REI SOCIALIS”

Jak się troszczyć o nędzę świata?

Ogłoszona w lutym tego roku kolejna encyklika Jana Pawła II, a druga traktująca o zagadnieniach społecznych - "Sollicitudo Rei Socialis", została w Polsce gruntownie zaprezentowana, streszczona, a następnie ukazał się jej integralny tekst po polsku^{1/}. Encyklikę zauważono, oddano jej honory, biskupi jak zwykle publicznie podziękowali za nią papieżowi, ale tak naprawdę nie potraktowano jej poważnie. Nie można bowiem mówić o poważnej recepcji tekstu, z którym nie prowadzi się żadnej dyskusji. Otóż takiej dyskusji nie było, podobnie jak nie było w zeszłym roku rzetelnego podsumowania trzeciej pielgrzymki Jana Pawła II do kraju. Nie ma w ogóle w Polsce poważnej dyskusji z przesłaniem papieskim - zastępują ją wzniosłe ogólniki i drobne złośliwości ze strony jedrych, a zachwyty bez podejmowania problemów ze strony drugich. To o czymś świadczy.

"Sollicitudo Rei Socialis" wpisuje się w tradycję katolickiej doktryny społecznej, takiej jak ona się kształtuje od "Rerum Novarum" Leona XIII. Wtedy to Kościół na serio zauważył kwestię robotniczą i zadeklarował swoją solidarność z ubogimi. Opcji tej pozostaje wierny do dziś. Leon XIII przerwał milczenie Kościoła o wiele za późno. Zbyt wiele nieufności i wrogości do Kościoła ze strony warstw pracujących narodziło do tego czasu. Pojawia się przepaść, której na Zachodzie nie udało się zasypać do końca do dzisiaj. Watykan pamięta tę lekcję.

Dlatego jest zrozumiałe, że Kościół zabiega dziś o to, by nie stracić kontaktu z rzeczywistością, z problemami, którymi żyje świat - i w konsekwencji - z ludźmi, którzy te problemy dotyczą. Gdy mowa o sprawach społecznych, chodzi o miliony ludzi żyjących w nędzy. Kościół wie, że z uwagi na dynamikę demograficzną świata, jego przyszłość leży w Azji, Afryce i - szczególnie - w Ameryce Łacińskiej. To jest взгляд praktyczny. Nie ma wszelako powodu, by wątpić w głębsze motywacje zaangażowania Kościoła na rzecz III Świata: w poczucie chrześcijańskiego obowiązku pomocy bliźniemu. Jan Paweł II, ale i jego poprzednicy, dawał wielokrotnie tego dowody. Kościół rzeczywiście jest dziś z ubogimi. Oto stosowny fragment z "Sollicitudo Rei Socialis": "Tak więc w całym naukowaniu i w najdawniejszej praktyce Kościoła zawiera się przekonanie, że z racji swego powołania, jest on sam, jego snafarze i każdy z jego członków, zobowiązany do niesienia ulgi cierpiącym nędzę, bliskim czy dalekim, nie tylko z tego co zbywa, ale i z tego, co jest konieczne do życia. W obliczu istniejących potrzeb nie wolno przedkładać ponad nie bogatego wystroju świątyni i drogocennych paramentów przeznaczonych do kultu Bożego; przeciwnie, mogłoby się okazać konieczne sprzedanie tych

1. Encyklika Sollicitudo Rei Socialis Ojca Świętego Jana Pawła II skierowana do biskupów, kapłanów, rodzin zakonnych, synów i córek Kościoła oraz wszystkich ludzi dobrej woli z okazji dwudziestej rocznicy ogłoszenia Populorum Progressio, Libreria Editrice Vaticana

dóbr, aby dać chleba, napój, odzież i dom temu, kto jest ich pozbawiony".

Wskazywania ostatniej encykliki płyną właśnie z tej troski o człowieka cierpiącego nędzę, a także o człowieka zniewolonego przez tyrańską władzę, z przekonania, że gdy brakowi chleba czy wolności, zagrożona jest godność człowieka, a zatem i jego rozwój. Zresztą dla papieża rozwój mierzy się "parametrem wewnętrznym człowieka" i należy go widzieć w perspektywie transcendentnej. Egzystencja w warunkach nędzy utrudnia człowiekowi spełnienie się, wyzyskanie własnych talentów, a poprzez to utrudnia mu osiągnięcie celu ostatecznego, jakim jest zbawienie.

Świat zachodni, na który spada główny ciężar walki z nędzą, nie stawia sobie programów tak ambitnych zadań. Niezależnie od motywów polityków troska o rozwój jest dziś koniecznością życiową. Po prostu zbyt duże dysproporcje między rozwiniętą i nierozwiniętą częścią świata grożą zalaniem się gospodarki światowej i polityczną destabilizacją. Jak się wydaje, w tym tzw. I Świecie istnieje też ogólna zgoda co do tego, że czysty liberalizm nie wystarczy do rozwiązania czy choćby złagodzenia palących problemów III Świata. Ale czy ratunek leży w realizacji stawianego przez Jana Pawła II postulatu równego podziału dóbr?

"Współzależność powinna przekształcić się w solidarność opartą o zasadę, że dobra stworzone są przeznaczone dla wszystkich. To, co wytwarza przegrani, przerabiacją euro-wce nakładem pracy, winno w równy sposób służyć dobru wszystkich." - pisze papież i zachęca także napotykaną co krok w encyklice. W tym miejscu leży chyba istota sprawy. Naturalnie tak z chrześcijańskiego, jak i po prostu z ludzkiego punktu widzenia należy wysoko ocenić postawę hojności, dzielenia się z potrzebującymi. Nasuwają się tu jednak dwie wątpliwości. Po pierwsze: czym innym jest dać ze swojego, a czym innym z cudzego. Po drugie: to co siuszne w wymiarze indywidualnym, nie zawsze jest takim w wymiarze społecznym. Nędza III Świata przybrała takie rozmiary i tak przerażające formy, że konieczne jest kierowanie do niektórych rejonów natychmiastowej pomocy humanitarnej. Uratowanie od śmierci głodowej setek tysięcy ludzi jest rzeczą wielkiej wagi, ale trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że na dłuższą metę nie zafatwi się problemu niedorozwoju metodą rozdawnictwa dóbr. Z różnych powodów I Świat nie może po prostu utrzymywać III Świata. Warunki dla prawdziwego rozwoju człowieka - takiego rozwoju, o jakim myśli papież - zostaną stworzone dopiero wtedy, gdy kraje ubogie staną się zdolne /owszem, dzięki wydatnej pomocy krajów zasobnych/ do gospodarczej samodzielności. Na dłuższą metę krajom tym potrzebna jest więc raczej wędka niż ryba.

Podobnie zasadnicze wątpliwości wywołuje analiza przyczyn niedorozwoju. Na pierwszym miejscu wśród nich stawia papież istnienie dwóch przeciwstawnych bloków polityczno-militarnych: Wschodu i Zachodu. Pominiemy już i określenie ich obu mianem systemów ideologicznych i pewną symetryczność zachodzącą pomiędzy nimi. Dla tej rozważań ważne są skutki, jakie wynikają z istniejącego podziału, dla III Świata. Pisze Jan Paweł II: *"Owociana przeciwstawność zostaje przeniesiona do tych krajów, pracujących się do powiększenia przedziału, który już istnieje na płaszczyźnie ekonomicznej między Północą a Południem /.../".* Trudno zaprzeczyć, że konflikt Wschód-Zachód znajduje swoje przedłużenie w III Świecie, co samo w sobie jest złem. Jednakże trudno nie zauważyć, że lokalne konflikty są dla Związku Radzieckiego okazją do rozszerzania swoich wpływów i to on prowadzi bezpośrednio agresję ideologiczną, pośrednio zaś agresję militarną. Oczywiście obraz tych konfliktów nie jest czarno-biały, nie jest to walka radzieckiego diabła z amerykańskim aniołem. Upraszczać nieco, sprawy mają się tak: USA i ich sojusznicy są często na tych terenach gwarantem starych porządków, popierają anachroniczny kapitalizm, w którym nieliczna elita bogaczy przeciwstawiła się rewindykacjom zrewolwontowanych mas nędzarzy, przy czym w interesie owej elity sprawowane są często rządy dyktatorskie, nierazdo w wyrafinowanej, okrutnej formie. To wszystko prawda, tylko że rozszerzanie się radzieckich wpływów w tych regionach, manipulowanie nurtami radykalnie opozycyjnymi wobec tej istic XIX-wiecznej rzeczywistości kapitalistycznej doprowadza jak dotąd zawsze - pod skrajnymi hasłami równości i władzy uciśnionych - do kompletnego zainfamacji gospodarczego, a więc do, tym razem już powszechnej, nędzy oraz do zainfamacji systemu władzy totalitarnej, a więc nie hamowanej już przez żadne klasy średnie. Mamy więc z jednej strony porządek wielce niesprawiedliwy: niedożywienie, analfabetyzm itp., a z drugiej - totalitaryzm, który w niesprzyjających warunkach klimatycznych oznacza po prostu śmierć głodową. Inaczej mówiąc jest to wybór między złem a piekłem. Zauważmy, że w zachodniej orbicie wpływów są takie kraje, które z poziomu zacofania weszły na poziom gospodarek rozwiniętych, a nawet pod pewnymi względami /Tajwan, Singapur, Korea Południowa/ oraz

że są w niej i takie kraje, którym udało się przejść od rządów dyktatorskich do demokracji. W orbicie wpływów radzieckich przykładów spektakularnych przemian gospodarczych dostarczają Egipt, Mozambik i Angola, a przemian politycznych - Kambodża. Czyż można wobec tego utrzymywać - jak czyni się to w encyklice - że oba systemy po równi ponoszą winę za niedorozwój krajów III Świata?

Analiza obecnego stanu świata prowadzi papieża do wskazania głębszej jego przyczyny. Jest nią grzech, a głównie dwa rodzaje grzesznych zachowań ludzi: *".../ wśród działań i postaw przeciętnych woli Bożej, dobru bliźniego i wśród struktur, które z nich powstają, najbardziej charakterystyczne zdają się działać być dwie: z jednej strony wyłącza się żądza zysku, a z drugiej pragnienie władzy z zamiarem narzucenia innej własnej woli"*.

Byłoby idealnie, gdyby ludzie podejmujący działalność gospodarczą nie kierowali się "wyłączną żądzą zysku". Tylko że nie sposób ich do tego zmusić, a historycznie znane próby wyłączenia indywidualnego zysku z ekonomicznej kalkulacji zakończyły się wszystkie całkowitym niepowodzeniem. Po prostu nie ma nigdzie na świecie wydajnej gospodarki nie opartej na żądzy zysku. Teoretycznie rysują się dwie możliwości: albo przerobienie ludzi w aniołów, albo narzucenie im siłą odpowiednich zachowań. W praktyce wykonalne jest tylko to drugie, ale przynosi to opłakane skutki. Nie można zaprzeczyć, że nędza milionów jest wyzwaniem dla cywilizowanego świata. Wątpię jednak, by ratunkiem mogło być zahłokanie motora gospodarczego wydajności Zachodu, tym bardziej że znakomita większość tak pomocy humanitarnej, jak i długoterminnych programów pomocy czerpie z tego, a nie Wschodu, zasobności.

Podobnie rzecz się ma z cywym "pragnieniem władzy z zamiarem narzucenia innej własnej woli". I w polityce bowiem nie ma - niestety - aniołów, rozsałek nakazuje zatem takie ustawienie reguł gry, by te przyziemne instynkty ludzi wykorzystywać z jak największym pożytkiem dla ogółu. Zachodnia demokracja zakłada, że rządzący mogą być potencjalnymi złodziejami, a zatem że należy patrzeć im na ręce - stąd system rozlicznych rodzajów kontroli. Komunizm opiera się na założeniu bezinteresowności ludzi sprawujących władzę - efekty znamy.

Z pewnością byłoby lepiej, gdyby politycy oddawali się swojej pracy z takim zaangażowaniem, z jakim to czynią, nie z powodu pragnienia władzy i dominacji, ale - powiedzmy - z poczucia służby publicznej. Tak jednak nie jest i należy wątpić, czy byłiby oni skłonni do takich poświęceń, do praktycznej rezygnacji z życia prywatnego, gdyby wśród innych rekompensat nie figurowała jeszcze i ta: zaspokojenie własnej próżności.

Człowiek jest grzeszny - zgoda. Problem świata współczesnego polega jednak nie na tym, jak zmienić naturę człowieka, tylko jak ją wykorzystywać dla dobrych celów, podobnie jak wykorzystuje się dla pożytku człowieka żywioły wiatru czy wody, same w sobie przecież groźne. Jak pogodzić konieczny zysk przedsiębiorcy i zapobieganie nędzy? Jak pogodzić pragnienie władzy i dominacji rządzących z wolnością rządzonych? Czy świat może zakwestionować same podstawy funkcjonowania polityki i gospodarki? Obawiam się, że jest to po części niemożliwe, a po części groźne dla ludzkości, w tym także dla krajów najuboższych.

W tym miejscu godzi się dodać jedno zastrzeżenie, by widzieć sprawę we właściwych proporcjach. Kościół zabiega - w ostatecznym rachunku - o zbawienie człowieka i nawet wtedy, gdy mówi o sprawach doczesnych, widzi je w perspektywie tego celu nadrzędnego. Równocześnie chrześcijaństwo głosi, że zbawienie osiąga się na drodze zaangażowania w sprawy ziemskie; zaangażowanie to nie jest wystarczające - potrzebna jest łaska - ale jest konieczne. Człowiek jest powołany do wypełniania tych zadań, przed jakimi go Bóg postawił do naprawiania świata, w którym żyje. Jest zatem zrozumiałe, że papież jako zwierzchnik Kościoła zabiera głos na temat tej drogi mającej prowadzić człowieka do zbawienia. Jest też zrozumiałe, że w tej papieskiej analizie ostatecznym kryterium musi być kryterium moralne. Istniejące wątpliwości dotyczą więc z jednej strony diagnozy politycznej, a z drugiej - pewnego rodzaju utopii zawartych w encyklice. Cywilizacja potrzebuje utopii jako pewnych punktów odniesienia, ale równocześnie nie powinna ulegać złudzeniu, że możliwe i wskazane jest ich zrealizowanie *à la lettre*. W tym wypadku chodzi o umiejętność rozróżnienia pomiędzy prawdą o grzeszności człowieka a złudzeniem, iż można i należy szukać rozwiązania problemów świata w oparciu o nagłą przemianę człowieka.

Niedostatek, w jakim żyją dziś miliony ludzi jest wielkim problemem współczesności. Ale nie istnieje cudowna recepta na jego rozwiązanie.

Kościół nie może nie nazywać zła złem. W domenie spraw społecznych powinien on

jednak albo pozostać na poziomie krytyki z pozycji moralnych, albo - zabierając głos na temat sposobów rozwiązywania problemów - głębiej zdawać sobie sprawę ze stopnia skomplikowania problemów.

GWIDON RADWAN

ADAM BARTKOWSKI

Rewolucja Krasnali

*"Ostatnią fazą każdej forma-
cji dziejowej jest komedia"*

Karol Marks

"W PRL krasnoludki nie są czymś odosobnionym, pojawiają się często i będą widzia-
ne we Wrocławiu na ulicy Świdnickiej k. zegara o godz. 15 1 czerwca. Krasnoludek może
okazać się wielkim mecenasem i przyjacielem drugiego etapu reformy gospodarczej. Niekt-
órzy twierdzą, że krasnoludek może być konsekwencją tej reformy. Będą się spisywać.
Przyjdź. Nie jesteś gorszy od Sierotki czy Królowej. Polska ma przyszłość. Niech żyje
surrealizm! Niech rozkwitają światowe siły pokoju w cieniu sztuki wojennej!

Miłość wszystko wybaczy.

TYLKO KRASNOLUDKI!

Ubieraj się na pomarańczowo!!!"

1 czerwca 1987 roku Świdnicka rzeczywiście stała się miejscem nieoczekiwanego
wyjścia krasnali "na powierzchnię". Istnieją na to dowody w kartotekach odpowiednich
urzędów. Jak się później okazało, nie było to wyjście jednorazowe. Z pojawieniem się
krasnali na ulicach Wrocławia wiąże się w powszechnej świadomości narodziny niezaleź-
nego ruchu społeczno-artystycznego określającego siebie mianem "Pomarańczowej Alter-
natywy". Potem nastąpiła cała seria przezabawnych /i burzliwych/ happeningów, które
rozślawiły w kraju /i za granicą/ pomysłowość Majora /Waldemara Fydrycha/ i jego
przyjaciół z "PA".

W okolicy rocznicy tego wydarzenia kolejny happening krasnali zamienił się w ra-
dosne święto całego miasta. Przy aprobacie /i/ sił porządkowych bawiono się przez
długie godziny. Coś się więc przez ten rok zmieniło. Choćby dlatego warto zwrócić uwa-
gę na ten najmłodszy ruch kontrkulturowy i poszukać źródeł ogromnego rezonansu spo-

iecznego, z jakim się w ciągu tego roku spotkał.

Wszystko zaczęło się jeszcze w roku 1980. Wtedy to w środowisku studenckim Wrocławia pojawił się Ruch Nowej Kultury. Celem ruchu było "pogłębianie wrażliwości estetycznej i etycznej swoich członków, budowanie humanistycznych więzi międzyludzkich". To właśnie Waldemar Fydrych i jego przyjaciele z RNK zorganizowali jesienią 1980 pierwsze działania uliczne, podczas których niesiono transparenty: "Precz z symetrią. Niech żyje wolna wyobraźnia". Wrocław był chyba jedynym w Polsce ośrodkiem uniwersyteckim, gdzie w 1981 roku obok NZS i ZSP istniała "trzecia siła" - właśnie RNK. Apogium działań wrocławskiej kontrkultury przypadło na okres listopadowych strajków studenckich. RNK potraktował strajk jako "nową formę kontaktu międzyludzkiego". Przeprowadził wówczas całą serię niekonwencjonalnych działań zgodnych z ideą "stwarzaj życie tak jak sztukę". Happeningi, codzienna gazeta, "PA", akcje malarskie - wywierały duży wpływ na uczestników strajku, łagodząc ekstremalne postawy, uwalniając od strachu i nienawiści. Wszystkie /także późniejsze/ działania "Pomarańczowej Alternatywy" oparte były na założeniach ogłoszonego w 1980 roku "Manifestu surrealizmu socjalistycznego" autorstwa Waldemara Fydrycha /mjr/.

"/.../ Nie czytajcie Dostojewskiego.

Świat bardziej jest reprezentatywny z wycinków gazet; jest to praca dla każdego początkującego surrealisty. Gazety mogą w nas rozbudzić macierzyństwo istnienia w świecie. Szczególnie korzystne dla rozwoju sztuki są czasy socjalizmu. Ważne, że z dnia na dzień przeciętny człowiek dowiaduje się więcej, czuje lepiej, rzeczywistość urasta. A jego ranga istnienia polega na ciągłych przeobrażeniach surrealistycznych. Najlepiej widać w historii. Były wielkie manifesty. Obecnie korzystność sytuacji jest niezaprzeczalnie widoczna. Życie społeczne wyprzedziło swym rozmachem najśmielsze marzenia surrealistów międzywojennych.

Nie bójmy się być szczerzy do końca. Jedynym rozwiązaniem na przyszłość i dzisiaj to surrealizm. Świat wtedy nie będzie mówił o kryzysie. Nie wycofujemy się, jeśli zaszliśmy tak daleko. Przecież cały świat jest dziełem. Już pojedynczy milicjant na ulicy to dzieło sztuki. Bómy się, los nie jest krzyżem. Jaki sens cierpieć, skoro można się cieszyć. Los życia jest fantem loteryjnym. /.../"

13 grudnia 1981 zamknął rozdział pod nazwą RNK w dziejach wrocławskiej kontrkultury. Aż do 1987 działalność Majora ograniczała się do ulicznej grafiki uprawianej /jednocześnie/ w różnych miastach Polski. Praludium do "Krasnali" stanowił "Korowód garnków" /TV 87/. Po sukcesie bajkowego pomysłu "Pomarańczowa" poszła za ciosem:

1987
lipiec - sierpień: "Precz z u-pałam"
wrzesień: "Manifest antywojenny"
październik: "Kto się boi papieru toaletowego"
"Dzień milicjanta", "Akcja bezpośrednia"
"Dzień wojska - manewry smelon w majorozie"
"Papier toaletowy - drugie rozdanie"
listopad: "Wigilia rewolucji"
"Referendum - wiec papercia"
grudzień: "Św. Mikołaj", "Wieczór Trzech Króli"
"Toast pomarańczowo-niebieski"
1988
luty: "Karmawał RIO-botniczy"
marzec: "Dzień tajemnika"
"8-oce Marta"
"Włocna na Świdnickiej"
"Rozprawa rewizyjna /Majora/"
czerwiec: "Powrót krasnali"

Oprócz wyżej wymienionych happeningów działalność "PA" znacząca się grafika uliczna, wystawa /maj - Galeria "Na Ostrowie"/ oraz zainicjowaniem nowej formy artystycznej, jaką jest "happening ciągły w czasie". Pierwszym tego typu przedsięwzięciem stało się reaktywowanie PPR. Pracą koncepcyjną w "PA" zajmuje się nie więcej niż sześciu ludzi, choć trudno tu o ścisłe dane. Ruch - jak sama nazwa wskazuje - ma charakter płynny i żadnych ram organizacyjnych. Większość pomysłów pochodzi od Majora, stroną graficzną działalności "PA" zajmuje się Krzysztof Albin pełniący jednocześnie - z konieczności - funkcję rzecznika prasowego albo jak kto woli Komisarza ds. Propagandy. Za to baza społeczna ruchu jest bardzo szeroka. W większości tworzy ją wrocławska młodzież, choć na happeningach spotkać można cały przekrój społeczny, także ludzi

starszych.

Waldemar Fydrych: "Wrocław jest miastem z przedziwnym rodowodem. Z jednej strony Lwów, żywe miasto, które nie miało tak zakonserwowanego mieszczaństwa jak Kraków. I to tu przeszło, jest więc tradycja. Z drugiej strony Grotowski. Z trzeciej otwarcie na świat. /Przeglądy Teatru Obywatelskiego/. Młodzi chcą żyć inaczej. Mnóstwo elementów współistniejących w czasie nawiązaństwo się teraz. A poza tym miasto urbanistycznie jest wprost stworzone do happeningów. Przejście podziemne, pomorona z tramwaj i autobusów, sklepy, pierzeja rynku, którą może zapełnić kilka tysięcy ludzi. Mnóstwo dojeść. Nie ma w Polsce drugiej ulicy, która tak idealnie spełniałaby warunki dla happeningów jak Świdnicka."

Krzysztof Albin: "Struktura happeningu jest pozornie bardzo prosta. Najpierw pojawia się ulotka sygnalizująca ideę zdarzenia, podająca jego miejsce i czas. Następnie w wyznaczonym miejscu i o wyznaczonej godzinie pojawia się grupa ludzi z PA i inicjuje happening. Po chwili dobijają do niej ludzie z ulicy. Od tego momentu kończy się wszelkie planowe działanie. Reszta dzieje się spontanicznie. Nie ma żadnych schematów. Każdy z dotychczasowych happeningów był zupełnie inny, mimo że wszystkie sygnalizujące je ulotki oparte były na surrealistycznym spojrzeniu na te elementy rzeczywistości, które organizatorzy uważali za najbardziej reprezentatywne dla socjalistycznej formy tej rzeczywistości."

Fydrych: "Artysta w danym momencie zawsze - jeżeli będzie chciał coś oddać - będzie szukał takich środków, przy pomocy których będzie mógł to oddać. Dzisiejsze czasy charakteryzują się tym, że zaniknięte formy klasycznej sztuki służą pojedynczym osobom. Dla przykładu: Picasso i Dali, wielkie osobowości w sztuce, mogli egzystować - moim zdaniem - dlatego że zaczęli na początku XX wieku, kiedy sztuka, malarstwo, było jeszcze rewolucją. W dzisiejszych czasach ono jest tylko dopełnieniem, sztafetem do pewnych wydarzeń, do rewolucji. Dzisiaj np. ogromne znaczenie mają videokasety, one demokratyzują obraz ruchomy. Następuje wielki proces egalitarny, tworzywa artystycznego i ono coraz bardziej sprowadza się do rzeczywistości."

"/.../ Socjalizm z jego ekstrawaganckim podziałem dóbr konsumpcyjnych, a także ekscentryczną postawą społeczną, wysunął papier toaletowy na czoło marzeń. /.../ Aby zadośćuczynić światowej wyślij postępowej przydatny i października na ul. Świdnicką o godz. 16, przynieśmy ze sobą papier i działajmy. Twórzmy z jego użyciem niezależne kompozycje społeczne, psychiczne, fizjologiczne, kosmiczne i transportowe. Aby zadośćuczynić również kremowi do golenia niech światło dzienne ujrzą podpaski higieniczne. Podpaski higieniczne są gondolami na wzburzonych falach szalejącej rzeczywistości. Panowie cywile i niecywile - ujmijcie się za podpaskami. O 16.00 wyjmujemy powoli papier i rozdajemy go po skrawku ludziom. Dzielmy się sprawiedliwie. Niech sprawiedliwość zacznie się od papieru!"

Albin: "Różne rzeczywistości mają różne punkty sensotwórcze. Sensom socjalizmu jest brak pewnych rzeczy. Dla człowieka z ulicy nie są istotne problemy ideologiczne, tylko istotne jest to, że nie ma papieru toaletowego, podpasek; że się zmusza do obchodzenia rocznie, których się nie chce obchodzić itd. Najbardziej odczuwalnymi wyznacznikami socjalizmu są właśnie tego typu historie, a nie pewne deklaracje. Jeżeli sztuka czy jakikolwiek działanie trafi w to, co jest rzeczywiste problemem danej subkultury, to wtedy ma rezonans. To widać po "Pomarenczowej". Prawdopodobnie zostały trafione rzeczy, które naprawdę są dla ludzi istotne."

Fydrych: "Każdy człowiek jest artystą, tylko każdy uprawia inną sztukę. Ale to zapewnił im dopiero ustrój, w którym żyjemy. Uważam, że np. na Zachodzie jest więcej dzieł sztuki niż artystów, a socjalizm, jego wyższość polega właśnie na tej formie artystycznej."

6 listopada 1987, Świdnicka. Wigilia Rewolucji Październikowej. Ulotki nawoływały: "Towarzyszu, ubierz się odświętnie, na czerwono. Załóż czerwone buty, czerwoną czapkę, szalik. Jeżeli nie dysponujesz nawet czerwoną opaską, pożycz od sąsiadki czerwoną torbę. W ostateczności z braku czerwonej flagi pomaluj na czerwono końce palców. Jeżeli nie masz nic czerwonego, możesz kupić bagietkę z czerwonym keczupem." Godzina 16.00. Zegar historii gwałtownie się cofa, po czym jeszcze gwałtowniej przyspiesza, ukazując w paroksyzmie blyskawicznych ekspozycji dzieło Wielkiego Października. Najpierw z

księgarni, wypływa Pancernik Potiomkin o tekturowych burtach. Stoperdowanie go o moment wyprzedza wypłynięcie z Domu Mody "Merkury" /vis-à-vis/ krawcownika "Aurora". Lud krzyczy: "rewolucja!". Niestety, ani łączniczki floty bałtyckiej, ani matka chrześna krawcownika nie są w stanie zapobiec tragedii. Z odsieczą biega karabinierzy z piechoty morskiej, marynarze, towarzysze z garnizonu "Kronsztad". Zamyka ich blyskawiczna blokada w pobliżu poczty. Nagle obłe strony zamierają. Antrak, Z przejścia podziemnego wyciana się Murzyn w czerwonym berecie. Promenada przez Świdnicką. Zniknięcie. Walka wybucha ze zdwojoną siłą. Jakiś pan krzyczy, że nie będzie zdejmował z dziecka czerwonego kombinazonika. Z autobusu wybiega Proletariat. Na koszułkach napisy: "Będę więcej pracował", "Jutro będzie lepiej". W chwili później pojawiają się kolejnicy z czerwoną gwiazdą na kiju i wielkim transparentem: "Barszcz czerwony". W pobliżu kościoła św. Barbary ubrany na czerwono tłum domaga się bagietek. Sprzedaż wstrzymano. Anici! Rewolucji /z czerwonymi skrzydłami i taką aureolą/ wyciąga dłoń. Prosi o podwójny keczup... Ostatni atak kawalerii. Bar "Barbara". Kawalerzyści usmiechają się spod czerwonych budiorówek. Piją sok truskawkowy. Nie zdążą dopić do końca... Z przejeżdżającego tramwaju jeszcze przez moment zobaczyć można transparent: "Żądamy powrotu tow. Jelcyna"...

Fydrych: "Ten happening był ustawiony według pewnego scenariusza. Ja go nazwałem połączeniem materializmu historycznego z materializmem dialektycznym. Materializm historyczny był przewrotnie wjęty w formie pewnych ekspozycji, które zaszły w historii i które odpowiednio są interpretowane, zgodnie z doktryną filozofii marksistowskiej. Pancernik Potiomkin, Aurora, Kronsztad, kawaleria Budionego - to nagromadzenie następujących po sobie w czasie zjawisk. Tylko tam to następowało latami, a tu minutami. I nagle dialektyczny materializm - gość biesiadny z transparentem "Żądamy powrotu tow. Jelcyna". I to akurat było na czasie. Polityka? Elementy są ideologiczne. Ale taki happening nie buduje jakości politycznych, on może budować jakości świadomościowe, jakości artystyczne, paraartystyczne. Nie jest skierowany przeciwko nikomu /np. gremiom władzy/. Na siłę można się w nim doszukiwać rewizji nadętej ideologii, ale w każdym normalnym kraju byłoby traktowany po prostu jako dobra zabawa."

16 lutego 1988, godz. 16.00. Rozpoczyna się "Hokus-Pokus czyli śledzik nad Odrą", który przejdzie do historii jako Karnawał RIO-botniczy. Wokół zegara stanowiącego centralny punkt wszystkich happeningów równobazny, falujący tłum czeka na sygnał do ulicznej fiesty. Miał to być hejnał na trąbce w wykonaniu Majora. Ale lidera "FA" nie ma na Świdnickiej. Nie doszedł /nieobecny usprawnił / zostanie zwolniony po wszystkim. Pierwsze taktę podaje więc / na gitarze/ bard wrocławskiego undergroundu Jakub. Rozpoczyna się zabawa. W blisko tysięczny tłum pod barem "Barbara" wbiegają przebierający z ogromny transparentem: "Otwórzcie granice. Biegliśmy do Calgary". Aplauz. Tancerze wchodzi w tempo wybijane przez grupę grajków z wielkim bębniem. Wodzireje w maskarach kierują tanecznym korowodem. Wejście na rynek - odbijany. Wśród rozentuzjowanego tłumu widują się smurfy. Górnik pomalowany na czarno rozdaje węgiel. Odziani w worki pokutne rozrzucają ulotki - nalepki piwa "Płast". Starsze panie w eleganckich nakryciach głowy dmuchają ile sił w dziecięce gwiazdki. Fruną serpentynty. Nad głowami frywolnie powiewają koronkowe gacie - przepieczone zamiast słowa "reformy" na transparentie: "Karnawał II etap, Fopielec III etap". Powiew optymizmu wnosi kłaniająca się na wszystkie strony kładka z biało-czerwonym sercem: "VI etap reformy - kochajmy się!" Skandowanie: "milicja też się bawi". Nadjeżdżają więc posiłki. Tancerze rzucają uwielone hasło-zaklęcie: "hokus-pokus!", ale milicja nie znika...

Albin: "Wszyscy jesteście chorzy na grę. W kontakście zewnętrznym, w którym jesteście myślni egzystować, rodzaj się paranoidalne gry, jesteście zmuszeni na każdym kroku wybierać: tu tak, tu nie. W tym co chcemy robić, chcemy obciąć grę. Jeżeli my o coś gramy, to gramy o spontaniczność, życie społeczne w przeciwieństwie do życia prywatnego jest gra. Najlepszym dowodem dla mnie jest to, że jest ono skodyfikowane, a więc posiada przepisy gry. Natomiast w "Fomareziowej" chodzi o człowieka, a nie o społeczeństwo. Chodzi o coś, co można nazwać przestrzenią od człowieka do człowieka i o stworzenie tej przestrzeni. W taki sposób, że sadziła to ludzi, którzy ją tworzą. I nie na to charakteru kontraktu, tylko charakter więzi czy porozumienia. Nam chodzi ogólnie o spontaniczność i autentyczność, natomiast jak to ludzie robią, jest ich prywatną sprawą. My nie wykonujemy żadnych posunięć. Tworzymy środowiska dostępnymi /happening, śmieszna gazeta/ także sytuacje, które umożliwiają spontaniczne istnienie. To jest tak: widzisz, że

coś jest sensowne, ale sens nie wynika z deklaracji, które publikujesz, tylko z samej natury, świadomości tego co robisz. Jest to działanie świadomościowe, ale przez doświadczenie, przez robienie czegoś. Bo działanie świadomościowe bardzo często - przynajmniej w powszechnej konotacji tego słowa - sprowadza się do uświadaczania. Większość działań świadomościowych prowadzonych w sposób klasyczny - a więc przez informację, program, komunikat - nie osiągnę już celu. Ta kultura jest tym przesycona. Dodatkową barierą jest sprawa realizacji. Nasze ulotki są tekstami surrealistycznymi. My nie dajemy ludziom konkretnych propozycji, oni sami je znajdują. I to jest jeszcze lepiej. Prawda znaleziona, a prawda podana, to są dwie różne rzeczy. Jest szansa, że po przeczytaniu szablonu, które malujemy na mieście /rysunek+podpis, np. "Sprzedano mnie", "Sklep bastionem konformizmu", "Uwaga! Szkoła! Niszczy osobowość"/ facet zacznie myśleć. On się zacznie zastanawiać, a nie ty mu to podasz w formie wykładu. Są to pewne wtruki będące sygnałami konkretnej sprawy. W zasadzie każdy wie, że sklep jest bastionem konformizmu, tylko jeżeli sam do tego nie dojdzie..., przeleci."

"TOWARZYSZE!

Nadszedł dla nas czas próby. Sztuka rewolucyjna, jaką dotychczas uprawialiśmy pod Zegarem Historii, przenosi się na inne sceny. Towarzysz Budda uniósł niegdyś w górę kwiat Lotusu. Tak rozpoczął się Zen. Towarzysz Lenin uniósł w górę swą szynkę, czapkę. Tak rozpoczęła się rewolucja - Zen bolszewików. Towarzysz Major uniósł w górę swe sznurówki. Było to 8 marca w depozycie aresztu przy ulicy Łąkowej. Jego uczniowie, podobnie jak uczniowie towarzysza Buddy doznali olśnienia. Tak rozpoczął się polski Zen."

21 marca 1988 był dniem szczególnym w historii "PA". Pierwszy dzień wiosny witano happeningami nie tylko we Wrocławiu. W Krakowie zamiast narzany topiono w Wisłę... telewizor. Krasnale dokazywały także w Warszawie, Gdańsku i Poznaniu. Przyjeżdżo się. Na Świdnickiej miejsce Waldemara Fydrycha zajął inny major - rzecznik prasowy MSW Wojciech Garstka. Wywiad, który ukazał się później w wrocławskiej prasie już swym tytułem zapowiadał odwilż /"Wiosna, panie majorze"/.

".../ Byłem od początku do końca w samym środku tłumy młodych ludzi, między innymi wtedy, gdy kordon milicjantów opasując tłum ramięmi sypchał wszystkich w boczną ulicę. .../ Nie zauważyłem, by razili jakąś agresywnością. Wśród tłumy dominowali zupełnie młodzi ludzie, przebieierańcy /.../ Po obu stronach milicyjnego kordonu i tam, gdzie byli ludzie w stalowych mundurach, i tam, gdzie byli przebieierańcy, spotkali się prawie równoletkowie - to było to samo pokolenie. Z tym, że jedni spełniali na mocy prawa pewien obowiązek służbowy, a drudzy z okazji wiosny demonstrowali swą niezależność, spontaniczność i żywiołowość reakcji /.../ Młodzi chłopcy z ZOMO też się uśmiechali, ochłodzonym żartowali legitymując ładne dziewczyny, a w pewnym momencie dołączyli do tłumy i stojąc w kordonie klaskali, wołając: "smurfy, smurfy". Kpili z tych, którzy z nich chcieli kpić. Zdałem sobie sprawę, że tu - tak jak i w wielu jeszcze innych sprawach - musimy doprowadzić do społecznej normalności, w ramach której znajdują się dla wielu role przeciwstawne czy kontrowersyjne."

Rozprawa rewizyjna Majora. 6 godzin obrad. Spektakl zamknięty, cztery odsłony z trzema antraktami. Przed gnachem sądu widownia w pomarańczowych koszulkach z napisem "Vivat krasnale". 6 świadków obrony - 4 oskarżenia. Pierwszy świadek obrony - dama z utrefionymi na pomarańczowo włosami - ciągnie pomarańczowego lwa na kółkach. /w randze majora/. Mimo wielokrotnych upomnień sądu nie wyraża się o oskarżonym inaczej jak tylko "narzeczony". Na ulicy pojawia się tajemnicza grupa wyposażona w trzymetrową szubienicę z zawieszonym na drucie kołczastym dwurzędowym sztywnym tramwajarskim. To płaszcz Majora. Grupa głośno i napastliwie żąda dlań kary śmierci. Na sali kolejny świadek obrony. Białe kalessory w niebieskie kwiatki. Odpowiadając na pytania sądu dotyczące oskarżonego używa jedynie formuły "Waldus". Świadek z barwami wojennymi na twarzy nazywający Majora narzeczonym nie wzbudza już większej sensacji. Świadczenie oskarżenia w krzyżowym ogniu pytań sędziego. Oskarżyciel na widok kolejnego świadka ubranego na "pomarańczowo" "wychodzi z roli". Przechodzi ze świadkiem na ty. W przerwach jedna część widowni pozuje do zajęć drugiej. Jedynie wyrok nie jest surrealistyczny. Major - uniewinniony.

Albin: "Według moich prywatnych odczuć jedną z najważniejszych przemian, którą przyniosły działania "PA" jest olbrzymi wzrost tolerancji w naszym mieście na szeroko pojętą ironość. Mam wrażenie, że od momentu, w którym mieszkańcy miasta zaakceptowali

istnienie "PA" i niektóre z jej idei uznali za swoje własne, czasy, w których odrzucało ludzi tylko za to, że ubierali się lub zachowywali inaczej stały się przeszłością. Z kolei "PA" udało się uniknąć błędów popełnianego systematycznie niemal przez wszystkie ruchy kontrkulturowe. Błędem polegającym na żądaniu od społeczeństwa szacunku dla swych nowatorskich wartości przy jednoczesnym totalnym braku tolerancji dla ludzi przywiązanych do tradycyjnych norm kulturowych."

Fydrych: "Bezpośrednie działanie, emocje przeżywane razem osłabiają większe skutki w sensie świadomości niż to, co się przeczyta czy usłyszy. Nie mamy konkretnego programu, który mógłby oddziaływać przez jakieś symbole na świadomość wielu osób, ale to co robimy może być bardziej skuteczne niż działania sztabowych organizacji społecznych, które mają zaprogramowany rozwój świadomości. Nie może nie mieć wpływu na refleksję np. ostatnia akcja związana z krasnoludkami, w czasie której wielotysięczny tłum przeszedł ulicami miasta nie zastawiany przez milicję. Niewątpliwie największy skutek wywarło to na uczestnikach. Ale i ludzie, którzy w tym mieście zajmują się polityką, obojętnie w jakim obczle, mają szansę zastanowić się nad autentycznymi potrzebami ludzkimi. O ile będą umieli spojrzeć na to z dystansu, to zresztą pozostawię na boku wszystkie swoje uprzedzenia, dojdę do wniosków niezależnych od tego, kim są i jaką pozycję zajmują. Na ile potrafią wyjść poza swoje uwarunkowania, to ja nie wiem, ale niewątpliwie jest to szansa też dla takich ludzi."

1 czerwca 1988 roku po raz pierwszy // we Wrocławiu władze miasta zorganizowały oficjalne obchody Dnia Dziecka /wystrój rynku, stragany, pokazy, zabawy/. Niewątpliwie zadziałał tutaj mechanizm konkurencji wobec propozycji "PA" - co dla dzieci skończyło się bardzo dobrze. Miały wybór.

ADAM BARTKOWSKI

W cieniu na wulkanie

Poniżej postaram się przedstawić najmałżejsze dane, zebrane ostatnio przez polskich uczonych i ukazujące najogólniej stan naszego społeczeństwa. Dane te pokazują na podstawie tezy, iż w drugiej połowie lat osiemdziesiątych społeczeństwo polskie stoi u progu katastrofy biologicznej i poddane jest groźnej ewolucji moralnej. Nie sądzę, aby było to tezę przesadną; w tym wypadku zresztą nawet przedczesny i zbyt głośny alarm usprawiedliwiony byłby ogromem szkód, jakich doznaje dziś naród polski /.../

4. KILKA UWAG O ŚWIADOMOŚCI

Tak zwana potoczna świadomość narodowa Polaków ukształtowana jest przez *surowe połączenie pomyślnych wartości narzucanych w państwie "sojalizacji" z wartościami specyficznymi, polskiej tradycji*. Produkt tego "połączenia" - system wartości - jest z kolei przekształcony przez czterdziestoletnie już doświadczenie; zwłaszcza ogromne zmiany miały miejsce w latach 1956, 1968, 1970, 1976, 1980-81 i wreszcie kryzys ostatni. Tak więc najogólniej, Polacy dość powszechnie akceptują różność i sprawiedliwość społeczną, zasadę ubezpieczenia społecznych, odpowiedzialność państwa za zaspokojenie tak zwanych podstawowych potrzeb obywateli, prawo do pracy. W gospodarce akceptuje się nacjonalizację ciężkiego przemysłu, transportu, pewne zasady planowania. Jak wiada społeczeństwo nad Wisłą przejęło pewne zasady, głoszone przez teoretyków i prekursorów socjalizmu - w tym sensie społeczna świadomość Polaków została ukształtowana przez system, który jest dziś zarazem w praktyce odrzucony niemal przez wszystkich.

Z drugiej strony Polacy są za całkowitą prywatną własnością w rolnictwie i częściowo /w coraz większym stopniu/ w handlu i drobnym przemyśle oraz usługach i rzemiośle. Wszystko to połączone jest z rzeczywistym patriotyzmem, przywiązaniem do tradycji i dalszym przekonaniem o szczególnej sytuacji Polski - a także z wrogością /ostatnio łagodzoną przez nastroje związane z pieriestrojką Gorbaczowa/ wobec ZSRR. Do tego dochodzi szczerze przywiązanie do wartości demokratycznych /choć coraz bardziej ujmają się tendencje konserwatywne/, a także do religii i Kościoła. Ostatnio, zwłaszcza wśród młodzieży, intelektualistów, części inteligencji i robotników wykwalifikowanych, pojawiają się nastroje odrzucania w ogóle tak zwanych wartości socjalistycznych czy tradycji lewicowych.

Świadomość narodowa Polaków pozostaje oczywiście pod wpływem wspólnoty losów, staru kraju, tradycji - stwierdza się jednak istnienie coraz większych różnic. Różnic w ujmowaniu tradycji, w stosunku do teraźniejszości i przyszłości, w napięciu rozczarowań i lęków. Różnice w sferze świadomości - zwłaszcza podziały wynikające ze związków lub braku powiązań z władzą - są coraz głębsze. Niektórzy socjologowie skłonni są nawet uznać, iż *Polska jest dziś krajem, w którym formują się jakby dwa odrębne narody, a w każdym razie dwie odrębne i przeciwstawne sobie kultury wsparcie odmiennymi językami*. Być może jest to przesada, niemniej głębokość podziałów zdaje się być coraz bardziej wyrazista.

*Tekst zamieszczony w Aneksie nr 49. Drukujemy w formie skróconej o fragment, w którym Autor omawia zagadnienia demograficzne, zdrowotne i antropologiczne /red./.

5. NATURA KONFLIKTU

W społeczeństwie polskim drugiej połowy lat osiemdziesiątych istnieją dwa zasadnicze, nakładające się konflikty. Pierwszy, występujący stale od dziesiątków lat, dzisiaj osiągnął apogeum. Jest to *konflikt pomiędzy społecznymi pragnieniami, aspiracjami, oczekiwaniami, dążeniami - a kształtem i efektywnością systemu gospodarstwa politycznego*, czyli istniejącą w Polsce rzeczywistością.

Drugi konflikt, ściślej już polityczny, był najostrejszy w latach 1980-1981. Jest to *konflikt pomiędzy władzą a aktywną opozycją*. Napięcia wynikające z drugiego konfliktu można, jak sądzę, zmniejszyć przez uznanie w praktyce legalności opozycji i umożliwienie jej działania, czyli przez demokratyzację systemu. Pierwszego konfliktu nie uda się wyeliminować bez konsekwentnej i całkowitej przebudowy anachronicznej gospodarki i bez wyzwolenia inicjatywy, energii i zdolności ludzkich - a także bez prób rozwiązania konfliktu drugiego. Obie te sprawy wymagałyby historycznych decyzji, a ponieważ decyzji takich dotąd brak, pozostaje powolna droga wynaszania ewolucji. Droga ta może okazać się jednak za długa i za powolna.

Badania nad polskim społeczeństwem wykazują, że konflikt pierwszy /społeczne aspiracje - rzeczywistość/ odczuwa zdecydowana większość społeczeństwa, w tym także wielu zwolenników systemu. W konflikcie drugim /władza - opozycja/ zaangażowanych jest - jako przeciwnicy - około 30 procent Polaków /taki był stan w roku 1987 - procenty ulegają znacznym wahaniom/.

Natomiast ci, którzy pozostają na uboczu aktywnego konfliktu władza - opozycja /w roku 1987 było ich około 70 procent, czyli większość społeczeństwa/, znajdują się "w strefie cienia", albo jak się to także czasem określa "w strefie szarości". Nie oznacza to, iż sympatyzują oni z systemem czy wspierają władzę, lub są obojętni wobec opozycji - przeciwnie, można z wielu dodatkowych wskaźników wnosić, że są to potencjalni przeciwnicy systemu. Jednakże dzisiaj czują, iż nie mają żadnego wpływu na funkcjonowanie państwa i gospodarki i mają coś w rodzaju "kompleksu Solidarności": żywią przekonanie, że protest jest w tym systemie nieskuteczny, a może być bardzo kosztowny. *Boją się zatem konfrontacji, ale też nie wierzą w porozumienie i kompromisy* /"bo ta władza zawsze wykoługuje"/. Nie wierzą także w realną poprawę swego losu. Jest to postawa rezygnacji i zniechęcenia, przekonanie, iż jest wprawdzie bardzo źle, ale może być jeszcze gorzej.

Od opozycji ludzie ze strefy cienia oczekują działań na rzecz usensownienia systemu: z drugiej jednak strony - jak wspomniałem - nie chcą kompromisów. Zatem opozycja, idąca na kompromis, może stracić autorytet i zaufanie, władza zaś próbująca kompromisów będzie /na podstawie długiego doświadczenia/ podejrzewana o oszustwo.

Siedemdziesiąt procent Polaków ze strefy cienia /może najtrafniejsze jest określenie "centrum ponuro milczące"/ boi się więc zarówno konfrontacji, jak i kompromisu, obawia się zmian, ale uważa, że tak dalej być nie może. Jest to sytuacja, w której na krótką metę kryzys działa stabilizująco, ale jest to równowaga bardzo nietrwała. Tego rodzaju sprzeczności mogą łatwo doprowadzić do wybuchu. Ludzie "poranego centrum" żyją zatem w cieniu, ale jest to cień rzucony przez wulkan, który może wybuchnąć w sposób niekontrolowany.

6. PODZIAŁY

Czynniki dzielące dziś Polaków są nietypowe, jak zresztą wszystko, co dotyczy Polski lat osiemdziesiątych. Z licznych badań wynika, że czynnikiem głównym, coraz wyraźniej dzielącym polskie społeczeństwo, jest *wzrostek z władzą i wynikające z charakteru tego związku poczucie dobrej lub złej jakości życia*. Innymi słowy, nie są w Polsce tak istotne podziały /dominujące w innych krajach/ na biednych i bogatych, wierzących i niewierzących, wyznających zasady socjalizmu czy też potępiających je, partyjnych i bezpartyjnych, konserwatyście i "postępców" czy wreszcie na dółców, robotników i "nieszczan", miasto i wieś. *Najważniejszy, najprawdziwszy i najgłębszy jest podział na tych, którym jest dobrze w tym systemie i na tych, którym jest źle i coraz gorzej*.

Zdumiewającym paradoksem /czy też kolejną nietypowością/ jest fakt, że podziałów - na ludzi związanych z tym systemem i ludzi nie chcących go - przebiega jakby w poprzek wszystkich innych, wymienionych tu podziałów!

Wszyscy czerpiący korzyści z systemu i zatem wspierający go, są w PRL mniejszością, ale stanowią grupę wciąż niemałą; cenia się ich wraz z rodzinami na około 3-4 miliony ludzi. Dysponują oni jednak tym, czym nie dysponuje reszta: władzą, siłą i organizacją.

Wśród akceptujących system znajduje się oczywiście zawodowy aparat partyjny, administracja wyższego szczebla, część kadr gospodarczych, aparat władzy i ucisku, formacje policyjne, część kadry wojskowej /raczej wyższej/, spora rzesza różnego rodzaju funkcjonariuszy terenowych, wreszcie niektórzy służalczy intelektualisci i artyści.

Przedstawiciele władzy w tak zwanym terenie przy zmianie ustroju mogliby utracić swoje przywileje /przywileje te były na ogół nawet tepione przez komisarzy wojskowych w początkach stanu wojennego, później wszystko wrócić do normy/. Dlatego "kadra prowincjonalna" wspiera system - jest to jednak wsparcie bardzo marne i nietrawne. Trzeba jeszcze dodać, iż część rolników, choć jak wszyscy chłopci, dławiona przez biurokrację, woli już *status quo* od jakichś zmian czy "ruchawek". W tym sensie owa część rolników, którym wiedzie się stosunkowo nieźle, nie stanowi zagrożenia dla systemu, choć też nie jest jego podpora.

Wśród najbardziej zdecydowanych przeciwników systemu znajdują się przede wszystkim robotnicy wielkoprzemysłowi /awangarda proletariatu!/, większość inteligencji, urzędnicy niższych szczebli, większość intelektualistów, większość chłopów i ogromna większość młodzieży. Niektórzy socjologowie są gotowi bronić tezy, iż właśnie robotnicy z wielkiego przemysłu, inteligencja i młodzież stanowią coś w rodzaju nowoczesnej, rewolucyjnej "klasy średniej" - dziś zablokowanej całkowicie przez system, jutro przejmującej inicjatywę.

Nierówności w Polsce wynikają zatem z omówionego wyżej podziału. Ale także z innych podziałów. Przeciwnie niż w bardziej normalnych krajach, nierówności społeczne w Polsce szczególnie mało zależą od kwalifikacji, wykształcenia, talentu, pracowitości, cech charakteru; wpływa na nie przede wszystkim ulokowanie w systemie gospodarki i zarządzania. Inaczej mówiąc, *ten sam zawód, poparty tym samym wykształceniem i tymi samymi zdolnościami, prowadzi do zupełnie innej sytuacji życiowej, zależnie od tego, gdzie się pracuje*. Czy w górnictwie, czy w służbie zdrowia, czy w PGR, czy we własnym gospodarstwie wiejskim, w prywatnym przedsiębiorstwie, czy w państwowym, w aparacie partyjnym czy, w urzędzie miejskim, itd.

W pierwszej dziesiątce najlepiej zarabiających jest sześć zawodów górniczych, ale nie ma ordynatorów szpitali, uczonych, rektorów, sędziów, nauczycieli. Wśród najgorzej zarabiających znajdują się lekarze-stażysty, młodzi nauczyciele, bibliotekarze, młodzi naukowcy, pielęgniarci, salowe, telefonistki, drobni urzędnicy. W dziesiątce najgorzej płatnych zawodów nierobotniczych aż cztery wymagają studiów wyższych, pozostałe sześć - średnich szkół specjalnych. Ogółem więc najgorzej mają ludzie pracujący w służbie zdrowia, oświaty, nauce...

W sektorze prywatnym oczywiście sytuacja jest inna /nawiasem mówiąc 4 procent zatrudnionych poza rolnictwem w gospodarce prywatnej wytwarza aż 8 procent dochodu narodowego!/. Z tego sektora oraz z wyższych szczebli władz i spośród "usługowych" intelektualistów wywodzi się niezbyt liczna, ale bardzo rzuciająca się w oczy grupa ludzi bogatych i bardzo bogatych.

Większość Polaków /bliżko 2/3/ żyje dziś "na styk". Oznacza to, iż każda zwykła cen lub zmniejszenie dochodów, względnie jakiś losowy wypadek może spowodować załamanie się budżetu. Ludzie ci z wielkim lękiem patrzą w przyszłość i z trudem "wiążą koniec z końcem".

Co trzeci Polak /grupa ta stale się powiększa/ żyje w stanie ubóstwa, nawet na skrajny nędzy - to znaczy nie osiąga nawet oficjalnie ustalonego tak zwanego minimum socjalnego. Do tej grupy "poniżej" zalicza się aż połowa rencistów i emerytów, są tu liczne osoby niesprawne, rodziny wielodzietne, część robotników niewykwalifikowanych, drobni urzędnicy, spora część zaczynających pracę młodych lekarzy, nauczycieli, naukowców i innych.

O ile dla większości pracujących i emerytów główny problem stanowi brak pieniędzy, coraz gorszy stan służby zdrowia i wszelkich usług, o tyle młodzież większą wagę przykłada do innych problemów. Otóż młodzież polska drugiej połowy lat osiemdziesiątych ma pełną świadomość /potwierdzają to wyniki badań/, iż normalną pracą nie zdobędzie ani mieszkania, ani dóbr trwałego użytku, ani nie zaspokoi ambicji zawodowych. Młodzi ludzie wiedzą /i widzą/, że ani wykształcenie, ani pracowitość, ani zdolności nie zapewnią im godziwego poziomu życia i samorealizacji. Kwestia mieszkaniowa jest autentyczną tragedią - na mieszkanie w Warszawie przeciętnie czeka się... 56 lat, w innych miastach 50, 28, 25 i 14 lat. Jeśli w 1970 r. pełnoletnich młodych ludzi, czekających na mieszkanie było 370 tys., to w 1982 r. było ich już 1.635 tys.! Stan budownictwa jest ogólnie zmyślny, żadnych nadziei nie ma.

W tej sytuacji rodzą się ostre frustracje, agresje, część młodzieży bardzo się ra-

dykalizuje /sięszy się już nawet pochwaia terroryzmu.../,większość zaś przejawia chęć *wzięcia poza system*.To znaczy - do sektora prywatnego,a najczęściej - za granicę.

7. POGŁĄDY I POSTAWY

O ile w latach 1980-1981 przeważały postawy ZA I PRZECIWIW /z ogromną większością "przeciw"/,o tyle pod wpływem wydarzeń późniejszych niewielka część "za" i ogromna większość "przeciw" przeszła do "strefy cienia".Powiada się,że o ile umocniły się postawy skrajne,o tyle uległy erozji postawy słabe,zaś dawny dychotomiczny podział społeczeństwa ustąpił miejsca podziałowi trójdziałelnemu.

Zatem w latach 1984-1986 *około 1/4 badanych wyraża /w różnym stopniu/ poparcie dla obecnej ekipy rządzącej*, co nie oznacza, iż w pełni aprobuje system.Wśród "zwolenników" przeważa pogląd, iż każda inna ekipa może być gorsza,zaś system da się usprawnić.Ludzie ci wyrażają często osobiste zaufanie do gen. Jaruzelskiego /który,ich zdaniem,często "nie wie" o poczynaniach biurokracji i aparatu/,a także do wojska jako instytucji "ponad" swarami partyjnymi.Większość "zwolenników" deklaruje zarazem uznanie dla autorytetu Kościółca,choć wielu z nich uważa, iż "Kościół nie powinien mieszać się do polityki".

Prawie wszyscy zwolennicy uważają, że system jest niesprawny i marnotrawny i że "coś trzeba zmienić",ale sporo z nich za korzystną zmianę uznaje "wzięcie ludzi w garść,żeby pracowali".Wielu zwolenników chciałoby "umocnienia władzy" - boją się decentralizacji,wolnego rynku,repywatyzacji,demokratyzacji.Pewna część aparatu władzy w żadnym wypadku nie chce swą władzy uszczuplić - nie chce zrezygnować nawet z części swych "mocy decyzyjnych" /choć bez tego - jest już oczywiste - żadna reforma gospodarcza nie ma szans/.Pewna część kadry gospodarczej i administracyjnej nie chce z kolei uzyskać "mocy decyzyjnych": boją się zapewne odpowiedzialności,zwiększenia obowiązków,wolą działać w sferach promitowanym ostatecznie systemie nakazowym.Pewna nie-duża,światła część wyższych kadr gospodarczych i elity władzy uznaje potrzebę decentralizacji, pewnej demokratyzacji,uruchomienia mechanizmów rynkowych.Ich "sila przeciwna" jest jednak nikła.

Około 1/4 badanych deklaruje się jako zdecydowanie przeciwnicy rządzącej ekipy i systemu.Sądzą oni, iż tylko zasadnicze, radykalne zmiany /właściwie odrzucenie systemu/ mogą uratować Polskę.

Wreszcie pozostali, czyli połowa badanych przyznaje pewne racje władzy /czy też może ściślej - przyznaje pewne dobre intencje obecnej ekipie i uznaje pewne zasady teoretycznego socjalizmu za godne realizacji/ i zarazem pewne racje opozycji /m.in., iż bez istnienia legalnej opozycji wyuszenie niezbędnych reform nie będzie możliwe/.Duża część tej 50-procentowej grupy woli nie wypowiadać się wyraźnie,deklarując jednocześnie znaczenie,chęć izolacji,wycofanie się ze spraw publicznych.

W sumie,uważalnijące ludzi ze wszystkich trzech grup,można stwierdzić, iż co najmniej około 70 procent badanych /powtórzę - wśród nich są i zwolennicy, i przeciwnicy, i ludzie ze strefy cienia/ uważa za niezbędne radykalne reformy gospodarcze, jest za demokratyzacją, repywatyzacją, uściśleniem zakresu władzy i odpowiedzialności "sily kierowniczej" /czyli PZPR/, utworzeniem autonomicznych stowarzyszeń, umocnieniem prywatnego rolnictwa, ograniczeniem tak zwanej nomenklatury i za istnieniem legalnej opozycji.Ludzie ci są zarazem zdecydowanie przeciw używaniu sily w stosunkach ze społeczeństwem.

Na marginesie deklarowanych poglądów można wskazać na dwie cechy charakterystyczne dla polskiej sytuacji:

- po pierwsze, potencjalne sojusze sil zainteresowanych reformami przebiegają niejako w poprzek podziałów politycznych i innych;

- po drugie, wytworzyła się sytuacja, którą można nazwać "paradoksem sojusznika": ci, którzy są za radykalnymi reformami i powinni być potencjalnymi sojusznikami ekipy głoszącej te reformy - są przeciw władzy i systemowi.Ci, którzy są najwierniejszymi janczarami władzy, czepią korzyści z systemu - są w większości przeciw reformom i zatem przeciw temu, co ekipa oficjalnie głosi.

Jeżozce dane najnowsze, zebrane przez Państwowe Centrum Badania Opinii Publicznej, kierowane przez płk. Kwiatkowskiego /cytuje za pismem *The Washington Post* z 7 I 1988r. dane są z listopada 1987 r./:

80 proc. badanych uznaje obecny stan za "wybuchowy";

60 proc uważa, iż istnieją realne podstawy konfliktu społecznego;

- 80 proc. jednoznacznie krytykuje politykę władz;
- 70 proc. uznaje sytuację gospodarczą za "raczej złą" i "bardzo złą";
- 50 proc. uważa, iż sytuacja ta będzie wkrótce jeszcze gorsza;
- 7 proc. uznaje propozycje reform za trafne;
- 63 proc. całkowicie nie ufa władzom;
- 1 proc. całkowicie ufa władzy /1/.

Od sierpnia 1987 r. do listopada 1987 r. liczba ludzi oceniających społeczne nastroje jako wybuchowe podwoiła się. Liczba oceniających nastroje jako "spokojne" spadła z 42 procent na 13 procent.

Naturalnie, przy ocenie tych danych trzeba brać pod uwagę fakt, iż pochodzą one sprzed samego referendum - dzisiaj opinie mogą już być inne.

8. PRZEŚWIADCZENIA

Oto wyniki badań nad tym, jakie przeświadczenia dominują ostatnio w polskim społeczeństwie. Są to opinie deklarowane przez co najmniej 50 procent badanych z różnych środowisk zawodowych i społecznych i różnych przedziałów wieku; znaczenie na kolejnych wymienionych punktów - im bliżej początku, tym przeświadczenie powszechniejsze i wyraźniejsze.

Zatem:

1. Kwalifikacje i rzetelna praca nie są przydatne do awansu w zawodzie i nie mają związku z zarobkami;
2. Nieprzekraczalną barierą awansu jest w Polsce *nomenklatura* /nawiasem mówiąc, *nomenklatura*se podlega 250 tys. stanowisk kierowniczych. W gestii Biura Politycznego i KC znajduje się 4,5 tys. stanowisk, komitetów wojewódzkich - 40 tys., komitetów niższych szczebli ponad 205 tys./;
3. Reformy gospodarcze nie są możliwe bez politycznych /t.j. bez demokratyzacji i umożliwienia samorządności/;
4. Rośnie przeświadczenie, iż szanse dziecka zależą od uwytytuowania w aparacie władzy jego rodziców albo od możliwości rodzicielskich "chodów" i łapówek;
5. Maleje przeświadczenie, iż Polska jest krajem równych szans dla młodzieży różnych warstw społecznych;
6. Maleje przeświadczenie o atrakcyjności wyższego wykształcenia;
7. Rośnie przekonanie, iż godziwie można żyć tylko "na swoim" albo dzięki pobyto- wi za granicą;
8. Rośnie przeświadczenie o stałym ograniczaniu praw obywatelskich;
9. Rośnie przeświadczenie o całkowitym zbiurokratyzowaniu i skorumpowaniu admi- nistracji i o nieprzyjazności wszelkich urzędów, o ich nastawieniu "przeciw ludziom";
10. Rośnie przeświadczenie, iż prawo nie jest niezawisłe, a wyroki zależą od tego, przeciw komu są stosowane /nawiasem mówiąc, maleje autorytet sądów, prokuratury i tak zwanych organów ścigania/;
11. Rośnie przeświadczenie, iż organa ścigania /zwłaszcza SB i ZOMO/ stoją poza prawem.

Zarazem coraz silniej utrwalane są tak zwane przeświadczenia pozytywne /jest to, wydaje się, rzeczywistość zdobyta z czasów "Solidarności"/:

1. przeświadczenie o doniosłości poszerzania wolności jednostki i praw obywa- telskich;
2. o konieczności kontroli władzy;
3. o potrzebie istnienia legalnej opozycji;
4. rośnie dezaprobała wobec stosowania metod policyjnych.

9. BLOKADY

Oto, co wynika z analiz na temat niematerialnych potrzeb, które nie są zaspokajane. Kolejność wedle znaczenia, jakie blokada danej potrzeby zajęła w społecznej świadomości:

1. Potrzeba efektywnej pracy, dzięki której można realizować swoje możliwości.
2. Potrzeba swobodnego zrzeszania się.
3. Potrzeba wolności słowa, możliwości wypowiedzania opinii bez ujemnych skutków dla wypowiadającego się.
4. Potrzeba godności /chodzi tu o stosunek urzędów do obywatela, a także o propa- gandę uprawianą przez Jerzego Urbana, odczuwaną jako brak szacunku dla ludzi i narodu/.

5. Potrzeba sensu życia /szczególnie jaszkrawa w otaczającym bezsensie/. Społeczeństwo zablokowane w ten sposób nie jest oczywiście w stanie się rozwijać ani tym bardziej wydajnie pracować. Nie jest też zdolne do wspierania reform, ponieważ boi się, iż wszelkie reformy usprawnią tylko system blokujący.

10. FRUSTRACJE I LEJKI. NOWE CECHY POLARÓW

Z badań nastrojów społecznych wynika nasilenie się następujących zjawisk:

1. W coraz większym zakresie występuje tak zwana "męczliwość" społeczeństwa /okropny ten termin używany jest przez socjologów na określenie zarzem stopnia znużenia ludzi i ich podatności na znużenie/. Owa "męczliwość", mierzona różnymi wskaźnikami psycho-fizjologicznymi, rośnie z roku na rok - rośnie także związana z nią apatia i nieodporność na schorzenia różnej natury.

2. Rośnie w społeczeństwie polskim skłonność do agresji w codziennym życiu. Daje się wyraźnie odczuć wzrost wzajemnej niezyczliwości.

3. Rośnie skłonność do nietolerancji wobec cudzych przekonań, opinii, postępów. Mnóżą się postawy autorytarne.

4. Rośnie milcząca izolacja, odsuwanie się od spraw publicznych /nawiasem mówiąc, rośnie w związku z tym znaczenie więzi rodzinnych, przyjacielskich, towarzyskich, ale rozluźniają się inne więzi społeczne/.

5. Pojawia się coś, co socjologowie nazywają *anomią*, co oznacza spadek autorytetu wszelkich norm regulujących zachowania i stosunki w sferze zawodowej i społecznej. Poszerza się w związku z tym pogląd, że "wszystko" jest dozwolone, zaś cwanieństwo i cynizm stają się dowodem zaradności. Jako pozytywne zaczyna być oceniane "dawanie sobie rady" za pomocą kręctwa, korzystania z tak zwanych pleców, łapówek, z własności społecznej, która coraz powszechniej uważana jest za niczyją.

Poszerzaniu się owej anomii sprzyja inflacja i zmierność przepisów, nietrwałość zarządzeń, ustaw, poczucie tymczasowości porządku prawnego i zwiastcza jego nadmierna surowość /za drobne wykroczenia można dostać grzywny, niszczące cały dorobek życiowy/.

6. Upadał pośzednie etos pracy i etos zawodowy całych grup /np. słymy już upadek tak wysoko przed wojną cenionego etosu lekarzy czy rzemieślników. Zaczyna - co gorsza - upadać etyka zawodowa lekarzy, nauczycieli, młodych naukowców/.

7. Pojawia się postawa "wyuczonej bezradności". Oznacza to uznanie za normalne, iż nie ma sensu to, co się robi /poza rodziną/, że wszelkie działania publiczne mają charakter pozorny, pęta biurokracji są naturalne, a przepisy w Polsce muszą być absurdalne. Prowadzi to do wniosku, iż system wymusza niesprawność ludzi i instytucji i nie ma na to rady.

8. Pojawia się wyraźna "schizoidalność" społeczna, to jest rozdzielenie ról prywatnych i publicznych. Ludzie jakby grają inne role w sferze zawodowej, publicznej, inna - w sferze rodzinnej i towarzyskiej. Tam zachowują się "ochronnie", oportunistycznie, przystosowawczo i działają pozornie - tu działają twórczo i wedle innych norm. Mamy zatem do czynienia z wyraźnym innym funkcjonowaniem wartości, norm i postaw w życiu publicznym i prywatnym.

9. Notuje się dostrzegalny - jak to określają socjologowie - rozpad myślenia o przyszłości. Pojawia się orientacja na "teraz i dziś", myślenie kategoriami tymczasowości /"byle do jutra"/. Rośnie przekonanie, iż nie nie można budować na regulach, ustaleniach i gwarancjach systemu, bo wszystko jest tymczasowe i nie zapewni ciągłości. Ma to oczywiście zgubne skutki, ponieważ ludzie uznali, iż nie warto niczego w nie inwestować: ani zdolności, ani pracy, ani czasu, ani pieniędzy. Trzeba - jeśli można - szybko zarobić najmniejszym kosztem i wycofać się. W sferze publicznej rodzi to czasem zachowania, które już teraz można nazwać gangsterskimi.

10. Ludzie młodzi udzielają sobie "wewnętrznej zgody" na marnowanie własnych zdolności i możliwości.

Wymienione wyżej zjawiska dowodzą strasznej erozji moralnej, która niszczy polskie społeczeństwo. Zagrożenie nazwać by można już katastrofalnym, gdyby nie przedziwny objaw, widoczny w czasie przyjazdu do Polski Jana Pawła II. Otóż w czasie takiej wizyty ujemne zjawiska "cofają się", ludzie - choć na krótko - wyzbywają się agresji i nietolerancji, zaczynają dostrzegać wartość starych norm. Wydaje się, iż z tym właśnie można wiązać "wielkie" nadzieje.

11. WNIOSKI

1. W odczuciach społecznych i w rzeczywistości pogłębiają się podziały i nierówności w polskim społeczeństwie drugiej połowy lat osiemdziesiątych.

2. Rosnie ogólny poziom zniechęcenia, zniechęcenia, apatii i lęku.

3. Wspomniane blokady oraz wzrost "męczliwości", lęku i frustracji wywołują stan długotrwałego stresu w skali powszechnej.

4. Taki stres jest dla społeczeństwa bardzo groźny, ponieważ wywołuje ujemne skutki biologiczne - zmniejsza odporność, zatem powoduje wzrost zachorowań i przedwczesnych zgonów. Jednocześnie w stanie stresu uruchamiają się patologiczne mechanizmy obronne /np. alkoholizm, przestępstwa itd./.

5. *Spółczesność, w którym efekty stresu występują w takiej skali jak w Polsce, nie jest zdolne do mobilizacji, do walki o przyszłość - i to nawet wtedy, kiedy nie kwestionuje sensu i skuteczności naprawy, zmiany stanu rzeczy. W Polsce dodatkowo mamy do czynienia z "syndromem nieskuteczności" i z przekonaniem, iż "nie warto się wysilać, bo i tak nic się nie zmieni".*

6. Rosnie niebezpieczeństwo dezintegracji więzi społecznych między poziomem wspólnoty narodowej a poziomem małych grup rodzinno-przyjacielskich.

7. Polacy ze "strefy cienia" stanowią dziś większość społeczeństwa - z powodu poziomu stresów i blokady potrzeb są swoistym materiałem wybuchowym, jakby chwilowo "drzemającym wulkanem". Wulkan ten - jeśli wolno snuć takie metafory - stanowi w pewnym sensie zagrożenie i dla samego siebie, i dla opozycji /która nie chce dopuścić do niekontrolowanych wybuchów i różnych prowokacji/, i dla ekipy władzy /bo ekipa zmienia się po każdym wybuchu gniewu społecznego/.

Polacy, być może, przestali już interesować się rozróżnianiem tego co możliwe, od tego, co niemożliwe i jakie nadzieje są uprawnione, jakie zaś idą zbyt daleko. Z niepewności, zniechęcenia i chaosu wyłania się przecież jeden pewnik: tak dalej być nie może!

MACIEJ ŁOWIECKI

Podstawowe źródła

1. "Społeczeństwo polskie drugiej połowy lat 80-ych", raport Polskiego Towarzystwa Socjologicznego.
2. "Socjologowie o Polakach", Więź, nr 1, 1987.
3. "Niższy prestiż - niższa płaca?", rozmowa z Doc. Michałem Pochoskim, Życie Warszawy z 3 IX 1987.
4. Janina Stankiewicz, Jerzy Wachowiak, "Przemiany zachowań i postaw społeczno-politycznych robotników w latach 1980-1984", Studia Socjologiczne, 1/104/, 1987.
5. Jacek Wasilewski, "Społeczeństwo polskie - społeczeństwo chłopskie", Stud. Socj. 3 /102/, 1986.
6. Jadwiga Koralewicz, Edmund Wnuk-Lipiński, "Wizje społeczeństwa, zróżnicowania i nierówności w świadomości zbiorowej", Stud. Socj. 2/105/, 1987.
7. Mirosława Marody, "Antynomie zbiorowej podświadomości", Stud. Socj. 2/105/1987.
8. Michał Pochoski, Bogdan Mach, "Rozmiary i kierunki ruchliwości społecznej w latach 1972-1982", Kultura i społeczeństwo, 4, 1986.
9. Jacek Kurczewski, "Co to jest klasa średnia w Polsce?", maszynopis referatu z dn. 22 V 1987 w Oddziale Warszawskim Pol. Tow. Socj.
10. Trzecie Posiedzenie Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa, Rada Narodowa, Wyd. Spec. nr 3, 3 VII 1987.
11. "Many Poles Have Poor Opinion About Rulers", The Washington Post, 7 I 1988.
12. Maria Jarosz, "Frustracje młodych Polaków", Stud. Socj. nr 3-4, 1985.
13. Jacek Kurczewski, "Wiara, moralność, prawo", Przegląd Katolicki 41, 11 X 1987.
14. Jacek Szymanderski, "Polacy '84 i '85 - próba interpretacji", 21, nr 5, jesień 1987.

JAN ANDRZEJ KŁOCZOWSKI OP

Kożakowski - marksista

Aby zdać sobie sprawę z ogromu przemian ideowych, jakie przeszła polska inteligencja - a Leszek Kożakowski jest od lat bez mała czterdziestu jednym z czynnych uczestników tych przemian - trzeba choć w paru słowach zastanowić się nad historycznymi uwarunkowaniami, w jakich przyszcic żyć pokoleniu powojennej inteligencji* Kożakowski, choć jego kariera naukowa związana jest od początku ze środowiskiem uniwersyteckim, nie należy do myślicieli wyłącznie akademickich. Akces do partii komunistycznej określił kształt jego aktywności na polu politycznym, a zaangażowanie to - zgodnie z marksistowskim dogmatem - nadawało kierunek myśli czysto teoretycznej. Miało to istotne znaczenie dla stylu refleksji Kożakowskiego nad religią - przynajmniej w pierwszym okresie jego rozwoju.

Sprawa niewątpliwiej fascynacji marksizmem - co stało się udziałem sporej grupy polskiej inteligencji w początkach panowania władzy, która określała siebie mianem ludowej - jest od dawna przedmiotem ożywionej debaty.^{1/} Tutaj mogę tylko dotknąć tego wielkiego zagadnienia, wykraczającego poza obszar naszych obecnych zainteresowań. Aby jednak ukazać tło, środowisko, w jakim zdobywał samoświadomość polityczną i filozoficzną młody Kożakowski, musimy wspomnieć choć kilka słów o różnych wyjaśnieniach tego pasjonującego skądinąd zagadnienia.

Klasyczne wyjaśnienie jest autorstwa Miłosza, wyłożył je na kartach "Zniewolonego umysłu": jest to teoria "ketmana". "Ketman" to nazwa taktyki stosowanej przez perskich szczytów po podbiciu ich przez arabskich sunnitów. Gobineau, od którego Miłozz dowiedział się o tej taktyce, i którego przytacza, tak opisuje ten mechanizm: *"posiadacz prawdy nie powinien wystawiać swojej osoby, swojego majątku i swego poważania na zastąpienie, szalenstwo i nieśmiałość tych, których Bogu spodobało się wprowadzić w błąd i utrzymywać w błędzie"*. Teorię tę zdawał się wyznawać przyjaciel Miłosza, Tadeusz Kroński, opisany w "Rodzinnej Europie" jako Tygrys. Postawa Tygrysa była pokrętna: z jednej strony jak starożytny poganin był przerażony inwazją Nowej Wiary chrześcijańskiej, wiary niosącej barbarzyzację kultury, z drugiej zaś uważał jednak, że ta inwazja jest

* Fragment rozprawy habilitacyjnej Autora, dotąd nigdzie nie publikowany.

Historyczną koniecznością, i że trzeba się po tej stronie opowiedzieć, aby w ten sposób przechytrzyć chytróść heglowskiego Ducha dziejów.^{2/} Taktyka ketmana była połączeniem tych dku - zdawałoby się - sprzecznych zupełnie postaw: braku zgody na władzę tych, "których Bogu spodobało się wprowadzić w błąd" i przekonania, że władza ta jest nieuchronna, bo taka jest konieczność dziejowa.

Miłosz odwoływał się także do "Nienasyceńca" Witkacego, powieści odczytywanej jako prorocтво, urzeczywistnione po II wojnie światowej. Witkacy opowiedział w niej o sytuacji w Polsce, w bliżej nieokreślonej wówczas przyszłości, gdy u wrót kraju stanie potężna armia mongolsko-chińska, stanowiąca zbrojne ramię potężnego Imperium. Sytuacja duchowa kraju wykazuje wszelkie cechy osiągnięcia wysokiego stopnia duchowego rozkładu: bezdonna myśl poszukuje na próżno oparcia w modnych i coraz to zmieniających się kierunkach filozoficznych; sztuka ulega perwersyjnemu rozkładowi tracąc wszelką zdolność przekazywania "uczuc metafizycznych", inteligenci zapadają masowo na skomplikowane schorzenia psychiczne, zagubieni ludzie oddają się z dojmującym poczuciem nudy seksualnym orgiom, daje się zaobserwować objawy fałszywego odrodzenia religijnego. Wśród takich ludzi pojawiają się nagle masowo sprzedawcy pigulek Murti-Binga, mongolskiego filozofa, któremu udało się opracować technologię przekazywania "światopoglądu" drogą organiczną. Kto dał się skusić i przyjął taką tabletkę, odnajdywał upragniony spokój; stawał się absolutnie niewrażliwy na problemy metafizyczne, oczekiwał w głębokim spokoju na bieg wydarzeń, które miały nastąpić, na moc historycznej konieczności; nadchodząca inwazja nie budziła jego niepokoju.

W przekonaniu Miłosza taką pigułką Murti-Binga stał się dla polskiej inteligencji marksizm. Był on, bynajmniej nie dla jednostki jedynie, nadzieją, odnalezieniem, czy też wprost już dokonany odkryciem, szansą spełnienia nadziei. Odpowiedzią na pustkę, jaka powstała po zmarciu wierze, szansą na ponowne odnalezienie miejsca dla siebie we wspólnocie społecznej i narodowej, we wspólnocie spójnej mocnym tworzywem pojęć i wartości. Podobne przeżycie było udziałem Aleksandra Wata w końcu lat 20., kiedy znużony futurystycznymi zabawami w sztuce awangardową stanął wobec kompletnej pustki nihilizmu - i zaprzagnął katechizmu, jasnego systemu pojęć i wartości, które by oddaliły smacę poczucie absurdalności życia i ludzkiej historii.^{3/}

Jest to chyba tylko po części prawdą - bowiem pustka, w jakiej znalazła się duża część polskiej inteligencji nie była wynikiem przerafinowanego spleuru znużonej sobą awangardy: był to wynik pustki wyrosłej z poczucia klęski, jaką Polska poniosła w wojnie, choć znalazła się w obozie zwycięzców. Wielki zryw walki o wolność został zdławiony militarnie przez Niemców i przez Sowjety, a dyplomatycznie przez mocarstwa zachodnie na konferencji jaltńskiej.

Bliższy prawdy był Jan Gombrowicz, gdy pisał: "W rzeczywistości ukończenie wojny zastało ich praeurocznymi, ogubiałymi, wypróbnionymi. Byli jeszcze zdolni do romantycznych akcji zbiorowych, brali udział w organizacjach, ale to dlatego, że chcieli się czegośkolwiek, żeby się utrzymać, aby się ruszać, miotał nimi instynkt walki i życia - ale byli ogłuszeni. I na tę pustkę na nich spadł marksizm. Marksizem, wyobrażam sobie, spadł na nich zanim zdążyli całkowicie przyjść do siebie, to jest do siebie z czasów przedwojennych. Toteż myślę, że oni nie przeżyli rewolucji, ponieważ nie mieli czym jej przeżywać. Gdyby marksizem osiedlił się w Polsce samorzutnie, stopniowo, przetrzymując opory... ale on został na kraj nałożony, jak się nakłada klatkę na odurzone ptaki..."^{4/}

Zbigniew Herbert w rozmowie z Jackiem Trzmadłem wyróżnia dwa gatunki tych odurzonych ptaków: "stare konie" i "młodzi ludzie"^{5/}. "Stare konie" to przedstawiciele przedwojennej elity, którzy wiedzieli czym jest komunizm, którzy znali prawdę o procesach moskiewskich, o łagrach, a przecież opowiedzieli się za Nową Wiarą. "Młodzi ludzie" wyszli z lasu, mieli dość wojny i chcieli wreszcie żyć "normalnie". Władza potrzebowała jednego i drugiego. Jak mówił Herbert: "ekipa agentów potrzebowała na gwiazd inteligencji, elity, czegoś co było w tej sferze odpowiednikiem obecnej nomenklatury". Ci, którzy opowiadali się za, znajdowali się w sytuacji ludzi uprzywilejowanych, zdobywali jakis udział w władzy, mieli być "inżynierami dusz". To kusilo. Ale kusilo także coś jeszcze innego. Młody wówczas przedstawiciel inteligencji krewkowskiej, Andrzej Kijowski, tak wspominał swą młodzieńczą fascynację marksizmem: "Markotam objawił mi się jako siła porządkująca historię, życie społeczne i biografie ludzkie. Potrzeba uporządkowania urodziła się w mnie w wieku kryzysowym... Miałem silne poczucie własnej anomalii, absolutnie różniące mnie od reszty. Czułem, że między mną a życiem powstaje jakaś próżnia, hiatus. Aby nawiązać kontakt ze zbiorowością potrzebowanym pomostu, dyscypliny. Marksizem poddawał mi się sam z prostymi formułami dotyczący-

mi wolności, historii, pracy, społeczności^{16/}.

Czy marksizm został nałożony na Kołakowskiego jak na "ogłuszonego ptaka"? Sam powiada, że wychowanie w tradycji lewicowej powodowało, że można było odczytać komunizm jako kontynuację tego etosu, w jakim wzrastał od dzieciństwa. Wychowany był w tradycji lewicowej, nie był nawet ochrzczony /co jednak w Polsce było wyjątkiem/, a jako dziecko oświadczył, że nie będzie chodził na religię, bo wiem jest "bezwyznaniowcem"^{17/}. Zapytany o przyczyny opowiedzenia się po stronie "nowej wiary" Kołakowski wymienia dwa rodzaje przyczyn: negatywne i pozytywne. Negatywne - to odciepienie od pewnego typu polskiej tradycji kulturalnej, którą określał takimi terminami: kołtuństwo, bigoteria, klerykałizm^{18/}. Komunizm odcyptał młody Kołakowski jako wyzwanie z racjonalnej całej tradycji, z którą od najmłodszych lat był w konflikcie. Wśród pozytywnych przyczyn opcji za komunizmem /co oznaczało jednoczesną opcję filozoficzną na rzecz marksizmu/ wymienia Kołakowski dwa elementy: efektywność w walce z faszyzmem oraz podatność na milenarystyczne iluzje. Trzeba dobrze zrozumieć te intencje. Przejście Kołakowskiego z lat studiów na uniwersytecie Łódzkim, Ryszard Herczyński, tak pisał: "Dla naszego wojennego pokolenia wosobieniem absurdu i okrucieństwa był faszyzm odsyty i przeżyty, nie pozostawiający wątpliwości, że nie ma ceny dostatecznie wysokiej, którą warto zapłacić, by stworzyć świat, w którym powstanie i przetrwa nie będzie możliwe. Subtelna polityka, delikatna filozofia, elegancka demokracja, jak pokazała nam historia, okazały się bezbronne wobec hitleryzmu, bo, torowały mu czasem drogę. Skuteczną przeciwwagę, jak sądziliśmy, w taki sposób przehaniano wielu inteligentów wschodniej Europy/, może być ideologia równie prosta i równie nobna, lecz głosząca tezy diametralnie odmiennie. Czy mieliśmy możliwość wyboru? Niemątpliwie tak, jeśli się uważy, że inni wybrali cenniejsze opcje. Kie, jeśli wybór oznaczał zarzucenie aktywnego zaangażowanie"^{19/}. Znamie to na pewno zdaje sprawę ze stanu świadomości młodych ludzi, rozmawiających gorączkowo w określonych łódzkich mieszkaniach i na ulicach, wiemy jednak dzisiaj, że taki wybór był alternatywą, fałszywą, że gdzieś poza obszarem przez nią werbalizowanym zarysował się kształt przyszłości tego społeczeństwa.

Wśród pozytywnych elementów przemawiających na rzecz akcesu do partii komunistycznej i do marksizmu wymienia jeszcze Kołakowski wiarę w milenarystyczną iluzję, przekonanie o konieczności powstania zupełnie nowych fundamentów dla kultury, których nie da się stworzyć w oparciu o dawną, reformistyczną tradycję. Jak pisze Herczyński: "Humanista znajdował w marksowskiej profesji *szepnięcie wolności człowieka od władzy wyliczniczych, bezosobowych sił, zdobycie przez niego wolności prawdziwej, nie zaś formalnej, nie gwarantującej przecież możliwości wykorzystania wszystkich talentów, w które obdarzają go natura*". Charakterystyczne, że Kołakowski odnosi i jednocześnie kontynuuje tradycję "reformistyczną", w jakiej został wychowany - przecież ona także żywiła się nadzieją "szklanych domów", wydawało ma się jednak, że komunizm prowadzi do tej krajiny drogą krótszą i skuteczniejszą. Marksizm miał rzecze, bo był zwycięski, bo po jego stronie było życie, bo sprzeciwianie się oznaczało zejście na margines, poza obszar dziającej się historii. Tylko uczestnicząc w niej można na nią oddziaływać.

Mówiąc po latach o tych, którzy jak on wybrali komunizm, Kołakowski powiedział: "Wiedzieliśmy, że staniemy jedynie znikomą mniejszością. Uwierzyliśmy, że komunizm odwróci *widziane w my klucze, rozdzigające par excellence konflikty emocjonalnych, spójne wyjaśnienie życia społecznego, że okazał się on także najskuteczniejszy w walce z faszyzmem. Wykorzystując, jak wszyscy, slogany demokratyczne, nie zrobiliśmy sobie złudzeń: nie wahał się się za demokracją, myśleliśmy, że społeczeństwo powinno być rządzone przez oświeconą elitę. Grał rolę również panien rodzaję odpychania klerykałnej tradycji polskiej. Dla nas wieloletni komunizm był kontynuacją ducha i cnót Oświecenia, co jest całkowicie fałszywe. Ale nie było szalenstwem w to wierzyć, ponieważ niedługo istniał w komunizmie także i taki duch, lecz został on pochłonięty przez obskurantym leninowski*"^{10/}.

Warto zresztą zapoznać się z obecnymi poglądami Kołakowskiego na temat atrakcyjnych wartości, jakie marksizm przedstawiał dla inteligencji przed laty^{11/}. Komunizm od początku był zarówno ideaem jak i taktycznie pasyżytem - pasyżytował skutecznie na sprawach społecznych, które musiały być rozwiązane, gdyż tego domagała się elementarna wrażliwość moralna. Pasyżytował także na nadziejach nowego ładu społecznego, jakim była wykarmliona część inteligencji, wychowana na Oświeceniu i humanizmie. Przed pierwszą wojną światową bolszewizm obiecywał rozwiązanie nie tylko sprawy robotniczej, ale także ujmował się za chłopem, domagał się wolności druku i ograniczenia cenzury; postawił także sprawę rewindykacji krzywd narodowych.

Dla części inteligencji niósł nadzieję utopii, zrealizowania Nowego Świata i nowego czasu, w którym wszystkie rany na ludzkości zostaną zaleczone, a ludzie będą szczęśliwi. Dodad należy do tego jeszcze fascynującą tą nowością, często powiązaną z fascynacją barbarzyńcy, który niszczy wszystko za sobą, Kołakowski nazywa to "etosem bezgłębła" czyli zupełnego wyzwolenia /iluzorycznego zresztą/ od dziedzictwa historycznego.

Jak to wyglądało w Polsce? Kołakowski powiada, że duża była grupa ludzi, szczególnie wśród inteligencji, która nie identyfikowała się z Polską 20-lecia: "Ci, którzy mieli w pamięci proces orzeski, Beresę, obrzydliwą falę jadłowitą antysemityzmu, natrętny klerykalizm, widzieli w komunizmie kontynuację oświecenia, zwróconego przeciw temu nurtowi narodowej tradycji - sarmackiemu, szowinistycznemu, klerykalnemu - który walczył za zgubny i trujący, i z którym co najmniej od XVII wieku, długo nim inteligencja w nowoczesnym znaczeniu się uformowała, toczyły bój krytyczne i bardziej komopolitycznie sorientowane odłamy wykształconej szlachty. Również anonsowane od początku reformy społeczne odpowiadały wielu tradycyjnym prądom nie komunistycznej elity".

Kołakowski widzi obecnie komunizm jako olbrzymią fasadę - ze względu na pasożytniczy charakter - ale twierdzi, iż ta fasada nie była tylko zwykłą dekoracją. Była ona systemem oddechowym komunizmu, nie mógł się on bez niej obejść, także i dlatego że był częścią dziedzictwa ideowego Oświecenia i XIX-wiecznego socjalizmu. Kołakowski w tekście z 1985 r. wypowiada pogląd, że wiele niepokojących elementów, które możemy obserwować w komunizmie, narodziło się w naszej kulturze wraz z Oświeceniem: "Z Oświecenia wyrosły racjonalizm, pogarda dla tradycji i nienawiść do całej mitologicznej warstwy kultury, owocowały w komunizmie nie tylko w postaci brutalnych prześladowań religii; wyrażały się także jako zasada - praktykowana raczej niż wprost wyśławiana - wedle której jednostki ludzkie są całkowicie wymienne, a życie jednostek liczy się tylko o tyle, o ile są one narzędziami s p r a w y o g ó l n e j, czyli państwa, jako że nie ma racjonalnych podstaw, by przypisywać osobowości ludzkiej jakiś szczególny, nie-instrumentalny status".

Ale "młody Kołakowski" wierzył, że właśnie jako komunista uczestniczy w budowaniu cywilizacji racjonalnej, zgodnej z rytmem historii. Podkreślić by jeszcze trzeba elitaryzm, w komunizmie przybierający postać "wtajemniczenia", co dla Kołakowskiego oznaczało uświadomienie sobie historycznej roli inteligencji w procesie budownictwa komunistycznego. Z tej perspektywy będzie toczył boje jako rewizjonista, jako białeń sprzeciwiający się partyjnemu kapitanowi /którego Szpotkański bardziej dosadnie nazwał "Gnomem" 12/.

W roku 1954 redakcja "Myśli filozoficznej" otrzymała list od studentów I roku Wydziału Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego, w którym zwracają się oni do redakcji z prośbą o pomoc "w opanowaniu przedmiotów ideologicznych i światopoglądowych przez koleżanki i kolegów, którzy mają trudności w tym zakresie ze względu na swe poglądy obciążone naleciałościami fideizmu". Odpowiadający im A.N. /Andrzej Nowicki?/ przytacza wiele pozycji do czytania, wskazując na to, że "wiele artykułów Leszka Kołakowskiego demaskuje współczesną filozofię katolicką" 13/.

Kołakowski rzeczywiście poświęcił się przede wszystkim krytyce religii. Pierwszy z publikowanych artykułów, jaki znajdujemy w bibliografii Kołakowskiego miał tytuł "Tomasz Morus - wielkość w rękach szalbierzy" 14/. Szalbierzami są oczywiście katolicy, którzy bezprawnie przywłaszczają sobie postać wielkiego humanisty i reformatora społecznego. Kołakowski daje wyraz uczuciu pewnej zabawności, z jaką obserwuje wysiłki "niezdarne" zaznaczał/ pisarzy katolickich, aby przesłonić prawdziwie rewolucyjną treść życia i działalności autora "Utopii". Nie mam zamiaru znęcać się nad Kołakowskim i jego tekstami z okresu stalinowskiej ortodoksji, nie są warte zachodu ani trudu. Przytoczę tylko mały, iście wyborny, fragment z omawianego artykułu, daje on bowiem smak stylu. Prace Kołakowskiego z lat 1949-55 omawiam na innych miejscach, w rozdziałach poświęconych alienacji religijnej oraz racjonalizmowi. Natomiast teraz - tytułem ilustracji jedynie - chciałbym zwrócić uwagę na pracę napisaną przez Kołakowskiego wspólnie z Bronisławem Bączko i wygłoszoną w Berlinie w 1954 r. na konferencji poświęconej "problemom metodologii historii filozofii" 15/.

Zwracam na to uwagę, bowiem jeszcze znacznie później Kołakowski wskazywał, że marksizm dał świadomość historyczną, nauczył myśleć kategorią historycznymi: "Materializm historyczny zawierał ważne intuicje: one zmodyfikowały naszą wizję historii, przyzwyczaiły nas do myślenia o historii kultury w związku z konfliktami definiowa-

myśli w terminach interesów materialnych"^{16/}. Można się domyślać, że właśnie w tym względzie wpływ wywarł na Kołakowskiego Tadeusz Kroński, bardzo heglizujący /pokrewnie" - jak wspomina Kołakowski/ marksista. Jak więc przedstawia się ta metodologia między marksistów z połowy lat 50-tych? Historia filozofii ma dwa przede wszystkim zadania: na uzasadniać i wa demaskować. Co ma "uzasadniać"? : "jest ona także naukowym uzasadnieniem bezspornego prawa, jakie ma dzisiaj socjalizm naukowy do stowarczenia autentycznej reprezentacji rzeczywistych interesów każdego poszczególnego narodu i całej ludzkości"^{17/}. Co ma demaskować? Oczywiście różne pokrewnie wybiegi myśli burżuazyjnej, która zaciemnia prawdziwy - czyli zgodny z materializmem historycznym - sens dziejów, zaciemnia zasadniczy podział kierunków filozoficznych na materializm i idealizm. To wszystko trzeba odsłonić - zdemaskować - aby odsłonić prawdziwe oblicze, klasowe właśnie, sensu myśli filozoficznej. Wszystko to ma służyć uzasadnianiu naukowego światopoglądu. Jednym słowem, cała ta metodologia jest zgodna z zasadą partyjności filozofii, sformułowanej przez Lenina w "Materializmie i empiriokrytycyzmie"^{18/}.

Jak napisze później w trzecim tomie "Głównych nurtów marksizmu" ideologia ta w kształcie stalinowskim jawi się badaczowi, patrzącemu na nią z boku jako mieszanina zdrowoczesadkowych banałów, niedowodliwych wyznań wiary, oczywistych nonsensów oraz tez, które można bardzo dowolnie interpretować.

Czy zawsze w tym okresie był Kołakowski ortodoksyjnym marksistą? Powiada o sobie, że był bardzo ortodoksyjny politycznie, natomiast nie zawsze w sferze doktrynalnej. Nie odpowiadała mu partyjność frazeologia, w jaką partia ubrała swoją propagandę, starając się przedstawić jako rzecznik interesów narodowych Polaków, bardziej odpowiadał mu język bardziej pryncypjalnie internacjonalistyczny. Wiedział, jak wielki wpływ na jego towarzysze partyjni, że ten partyjny język jest tylko zasłoną dymną dla prawdziwych interesów partii komunistycznej, jakimi było utrzymanie się przy władzy. Drugim polem wewnętrznych sporów była sfera kultury. Już wcześniej, bo w 1947 r. miał kłopoty za wysławianie referatów Andrzeja Żdanowa, człowieka dyktatora do spraw kultury w okresie powojennego stalinizmu.

Wreszcie warto wspomnieć o ważnej dla dalszego losu myśli Kołakowskiego przygodzie, jaką był pobyt w Moskwie w 1950 r. Wraz z innymi czołowymi myślicielami, stawałymi nadzieję intelektualną partii polskiej, został oddelegowany na kilkamiesięczny kurs do Moskwy. Mistrzającą było spotkanie z czołowymi luminarzami myśli filozoficznej sowieckiej. "To byli dosłownie troglodyci", jak wspomina po latach. Nie potrafili poprawnie wypowiedzieć żadnego obcego nazwiska. Kołakowski był wrażliwy na wartości kulturalne, dlatego "kapuśni" poziom kulturalny luminarzy ideologicznych stanowił niewątpliwie czynnik zasiewający ziarno zważenia w umyśle. Jednakże teksty Kołakowskiego do 1954 r. nie świadczyły jeszcze o żadnych poważniejszych wahaniach.

JAN ANDRZEJ KŁOCZOWSKI OP

Przypisy:

- 1/ Nie sposób wymienić tutaj całej literatury przedmiotu. Ze względów filozoficznych ważne wydać się takie pozycje: Czesław Miłosz: Zniewolony umysł, Paryż 1953, IW Kultura. 2. Z życia filozofa chrześcijańskiego podjął temat Józef Tischner w pracy Polski kształt dialogu, Paryż 1981, Ed. Spotkania; wymienić trzeba ważną książkę Andrzeja Walickiego - Spotkania z Miłoszem, Londyn 1985, Aneks; wreszcie Jacek Trznadel, Harba domowa. Rozmowy z pisarzami, Warszawa 1986, Nowa.
- 2/ Czesław Miłosz, Rodzima Europa, Paryż 1980, s. 214-246
- 3/ Aleksander Wat, Mój wiek. Wspomnienia mówione, t. 1-2, Londyn 1978, Polonia Found Book, s. 71-90
- 4/ Witold Gombrowicz - Dziennik 1953-1956, w: Dzieła t. 7, Kraków 1986, WL, s. 327
- 5/ Jacek Trznadel, Harba domowa, wyd. cyt. s. 132, 138
- 6/ Andrzej Kijowski, W środku życia, w połowie drogi /rozmowa z ks. Januszem St. Pasierbem/ w: Przegląd katolicki 29/57 z 21 VII 1985
- 7/ Ojciec Leszka, Jerzy Kołakowski /pseudonim publicystyczny "Karon"/ urodził się w St. Petersburgu jako wrak powstańca zesłanego po 1863r. Był związany z tradycją "abramowszczyków" - anarchokoooperatystów, czyli głoszących konieczność udziału społeczeństwa i przetrwania przez nie wszystkich prerogatyw państwa /spisek społeczeństwa przeciw państwu/. Była to tradycja "niepokornych" opisana przez Bohdana Cywińskiego w "Rodowodach niepokornych". W latach międzywojennych Jerzy Koła-

- kowski był działaczem oświatowym, lewicowym publicystą. Wychowywał syna w klimacie "wolnomyślicielskim", Leszek nie był nawet ochrzczony, ku rozpaczy babki /matki matki Leszka, która zmarła, gdy ten miał 3 lata/ - informacje wg kasety nagranej w Paryżu przez "Kontakt", tam rozmowa Wojciecha Karpińskiego z Kołakowskim; oraz Jan Józef Lipski - Spotkania w: Obecność, Londyn 1987, s. 341-346
- 8/ Ta tradycja kulturalna jest dla młodego Kołakowskiego reprezentowana przede wszystkim przez Sienkiewicza. Zwrócić uwagę na to, że w kulturze polskiej istniał bardzo silny nurt sprzeciwu wobec tradycji sienkiewiczowskiej. Weźmy choćby St. Brzozowskiego: "I tak powstała ta psychologia Polaka, który swoją przymusową niedojrzałość przekuł we własnych oczach w pewien gatunek wyższości, który z niewoli swej i bezwładu uczynił olimpijski spokój i naprawdę wstężył, że w jego wyjątkowej głowie wszystko jest tak powietrzne i białe nie dlatego, że świat rzeczy poważnych pozostał poza granicami jego woli i działania, lecz dlatego, że w ogóle nie trudnego i głębokiego nie istnieje... Stąd nastrój pemości siebie, jasności, spokoju, nastrój pokrzepionych: serc, wiara, że choćby tam nie wtem co, Marynia do Kozłomienia wróci" Legenda Młodej Polski, Lwów 1910, s. 69, 70. Z pozycji zupełnie odmiennych Gombrowicz podobnie ocenił rolę Sienkiewicza w duchowej edukacji Polaków: "...nie imnego Polakowi nie mogło naprawdę się podobać, nie antysienkiewiczowskiego, nie astenkiewiczowskiego. To zaspawanie naszej wyobraźni sprawiło, że wiek nasz przeżywalismy jak na imnej planecie i niewiele z myśli współczesnej przenikato do nas" Dziennik 1953-1956, Kraków 1986, s. 352
- 9/ Ryszard Helczyński - Notatki o inteligencji, w: Obecność, Londyn 1987, Aneks, s. 225-226
- 10/ Wywiad dla L'Express z 18 VIII 1980 "Królestwo kłamstwa"
- 11/ Leszek Kołakowski: Komunizm jako formacja kulturalna, Kontakt 1985, nr 11, s. 3-10
- 12/ Doskonale ten elitarny charakter myślenia działaczy komunistycznych oddaje rozmowa Teresy Torzańskiej z Jakubem Bermanem, por. Cni, Londyn 1985
- 13/ "W sprawie prec o istocie religii" w: Myśl filozoficzna nr 4/14/ 1954, s. 374 i 380
- 14/ Leszek Kołakowski - "Tomasz Morus - wielkość w rękach szalibierzy" w: Nowe Drogi 1949, nr 4, s. 119-128
- 15/ Bronisław Baczko i Leszek Kołakowski - Tradycje naukowego socjalizmu i zadania marksistowskiej historiografii filozoficznej w: Myśl filozoficzna, 4/14/ 1954, s. 78-103
- 16/ "Królestwo kłamstwa", op. cit.
- 17/ Baczko, Kołakowski, art. cyt., s. 79
- 18/ Leszek Kołakowski - Główne nurty marksizmu, Paryż 1978, t. 2

Między nami (ex) partyjnymi

ROZMOWA z MICHAŁEM JAGIEŁŁĄ i MACIEJEM SZUMOWSKIM

Lesław Maleszka: Chciałbym zacząć od przedstawienia Panów naszym czytelnikom. To znaczy - z jakim багаżem wkroczyliście w okres postępnioy?

Maciej Szumowski: 1 listopada zostałem zatwierdzony na stanowisku redaktora naczelnego "Gazety Krakowskiej", a 13 listopada praktycznie tę funkcję przejąłem. W przeddzień mojej nominacji zakończył się Nadzwyczajny Zjazd Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich /29-31 X 1980/ - byłem na nim obecny jako delegat środowiska krakowskiego i zostałem wybrany na przewodniczącą obrad, co sobie poczytuję za prawdziwy zaszczyt.

W środowisku krakowskim znany był fakt ustawicznego szykanowania mnie przez Macieja Szczepańskiego, który to człowiek stał się wręcz symbolem władzy w późnym okresie gierkowskim. W początkach lat siedemdziesiątych zrealizowałem cykl reportaży telewizyjnych. Od chwili, gdy Szczepański został przewodniczącym Radiokomitetu, moje reportaże przestały się pojawiać na antenie, uniemożliwiono mi realizację następnych, w końcu Szczepański postanowił przenieść mnie do radia. Ow aparatczyk zdobył sobie opinię brutalnego g wstera - wszelako jest to osąd dość powierzchowny. Potrafił w sposób cichy i subtelny eliminować niewygodnych dlań ludzi, spychać na margines, odbierać możliwość publicznego zaistnienia. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych wegetowałem na etacie w telewizji, ale umarłem śmiercią cywilną jako dziennikarz i reporter. Paradoksalnie - ta sytuacja przyczyniła się do mojej popularności po wydarzeniach sierpniowych.

W "Gazecie Krakowskiej" zdarzało mi się w latach siedemdziesiątych umieszczać czasami felietony. Kiedy więc naczelny "Gazety" Zbyszek Regucki awansował na stanowisko szefa kancelarii Biura Politycznego KC, postanowił poszukać następcy na dotychczasowe stanowisko. Nawiasem mówiąc, także zachowanie nie jest w partii typowe - z reguły osobę idącą do góry przestaje obchodzić los instytucji, którą dotychczas kierowała. Regucki postanowił jednak znaleźć następcę w kręgu osób mogących zdobyć akceptację zespołu, a także zdolnych do sprostania procesowi przemian społecznych i politycznych w naszym kraju. Poza tymi motywami działań czynnik natury ogólniejszej: partia szukała ludzi nie skompromitowanych w okresie gierkowskim, cieszących się pewną aprobatą społeczeństwa. Mówiło się wówczas o "banowie", potrzebie krytycznego myślenia, wyciągnięciu wniosków z Sierpnia...

Po nominacji na stanowisko redaktora naczelnego wojewódzkiego organu partii powinienem być zostać wybrany do egzekutywy KW. Było bowiem regułą, że ludzie na tym stanowisku wchodzi z klucza do egzekutywy. Otóż, gdy padł wniosek o wybranie mnie do egzekutywy /połowa listopada/, ówczesny szef krakowskiej SB pik Golebiowski przypuścił brutalny atak na moją osobę. Nie zostałem wybrany, co już było precedensem. Podziękowałem wówczas plenium Komitetu Krakowskiego za niewybranie mnie, mówiąc, że "ten wybór byłby sytuacją fałszywą". Co więcej, opublikowałem w "Gazecie" drobiazgową analizę z obrad, przytaczając wszystkie wypowiedzi, jakie tam padły. Było to fundamentalne złamanie zasady, zgodnie z którą treść obrad w Komitecie nie może być podawana do publicznej wiadomości, nie można też ujawniać sporów i podziałów w aparacie.

Tym samym moje kontakty z egzekutywą do 13 grudnia 1981 ograniczały się do sytuacji, kiedy wzywano mnie celem "przywołania do porządku".

Michał Jagiełło: Ja również zaczęłam od Macieja Szczepańskiego. W latach siedemdziesiątych pracowałem w telewizji. Z Januszem Rolickim, kierownikiem artystycznym RTV wymyśliłmy taki cykl pod nazwą "Teatr Faktu". Szczepański zareagował we właściwy sobie sposób: dobrze, ale "na drugą nogę". Będziecie też robić sensację. Powstała więc dziwna hybryda: Teatr Faktu i Sensacji. Rozmawiałem w tym czasie z Maciejem Szumowskiem, nakłaniając go do napisania scenariusza do cyklicznego programu dokumentalnego. Szczepański miał o tym wiedzieć, Rolicki z pewnością go informował.

M.S.: I chyba nawet gotów był wyrazić zgodę. To była precyzyjna zagrywka - niech się Szumowski odcedzi od dziennikarstwa społecznego i zajmie się robieniem seriali. Może z początku będzie forsował rzeczy zbyt trudne i zbyt krytyczne. Po krótkim czasie ma to minąć, szczególnie jak poczuję duże pieniądze stojące za owym pomysłem. Szczepański był przede wszystkim cwany i zręczny potrafił ludzi kupować. To było w nim najgroźniejsze, nie despotyczne cechy jego osobowości.

M.J.: Kiedy mu powiedziałem, że chcę stworzyć możliwość debiutu dla młodych reżyserów, dostałem wolną rękę w sprawach finansowych.

Tuż po sierpniu rozpoczęliśmy realizację "Cesarza" według R. Kopuszczyńskiego i "Zdażyć przed Panem Bogiem" na podstawie reportażu H. Krall. Równocześnie próbowałem powołać w Radiokomitecie klub dyskusyjny pod auspicjami partii, lecz otwarty dla wszystkich. Wystosowałem w tej sprawie pismo do Komitetu Zakładowego PZPR i Wydziału Prasy KW. Pewne znaczenie miał fakt, że byłem członkiem organizacji partyjnej nie przy Radiokomitecie, lecz przy Związku Literatów Polskich. To mi dawało dość korzystny status "eksterytorialności". W ZLP odbywały się w tym czasie burzliwe zebrania. Raz czy dwa wystąpiłem na nich z tekstami tonującymi najbardziej radykalne wypowiedzi. Nie bardzo zgadzałem się, iżby dekada gierkowska oznaczała państwo superpolityczne, oparte na terrorze, a także, by skompromitowany był z kretesem każdy człowiek, który w jakimkolwiek momencie otarł się o władzę.

Z drugiej strony doskonale wiedziałem, co dzieje się w Stoczni i w rodzącym się wówczas ruchu związkowym "Solidarność", a to za sprawą Jerzego Milewskiego, przyjaciela i partnera z czasów wspinaczek alpinistycznych. Moja żona Hania była absolutnie przeciwna wszelkim moim zaangażowaniom w partii. Przyrzekłem jej wówczas, że jeśli ze strony rządzących padnie choćby jeden strzał w stronę społeczeństwa, będzie ono dla mnie barierą oznaczającą, ostateczne zerwanie z partią.

W październiku 1980 kierownikiem Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC został Józef Klasa, szefem zaś kancelarii Biura Politycznego Zbyszek Regucki. Funkcję szefa kancelarii trudno przecenić - Regucki znalazł się bardzo blisko ówczesnego pierwszego sekretarza Stanisława Kania, a ponadto przez jego ręce przechodziły wszystkie dokumenty przygotowywane na posiedzenia Biura Politycznego.

Zupełnie nieoczekiwanie zostałem w końcu października wezwany do KC, gdzie przedstawiono mi propozycję objęcia w możliwie najbliższym czasie funkcji zastępcy kierownika Wydziału Kultury. Partia gwałtownie poszukiwała ludzi nowych, spoza dotychczasowego aparatu, mających kontakty i oparcie w środowisku wybitniejsze niż z ich pozycji w nomenklaturze. W trakcie rozmowy wysunąłem szereg obiekcji. Nie zgadzałem się na zajmowanie się sprawami Związku Literatów Polskich, jako że sam byłem członkiem ZLP i obowiązywała mnie lojalność wobec kolegów. Byłem natomiast zainteresowany problemami kinematografii. 13 grudnia 1980 rozpocząłem pracę w Wydziale Kultury KC.

Kierownikiem wydziału został Mieczysław Wojtczak - ta nominacja też jest charakterystyczna: Kania doбираł ludzi spoza dotychczasowych układow w aparacie, przy tym osoby cieszące się opinią niezależnych. Tak ściągnął Klasę z ambasady w Meksyku, Reguckiego z Krakowa, a więc spoza warszawskich koterii... Wojtczak pościelił z funkcji wiceministra kultury i szefa kinematografii za to, że z Tajemną puścili "Człowieka z

marmuru" i "Barwy ochronne". Spadł najniżej, jak to było możliwe - na zastępce redaktora naczelnego "Życia partii". Kania postanowił go wydobyc z politycznego zesłania.

M.S.: Choć właściwie motywacji, jakie stały za tymi decyzjami, sam do końca nie potrafimy ustalić. Być może było też tak, że ludzie nowi spoza aparatu zdawali się bardziej podatni na różnego rodzaju manipulacje, właśnie za sprawą nieznaności obowiązków układów, powłazów, reguł gry.

M.J.: To prawda. Do dziś nie wiem, kto lansował moją kandydaturę w Komitecie Centralnym. W trakcie rozmowy, podczas której złożono mi ofertę pracy w KC, godożono się na wszystkie moje warunki, przyjeżdżał nawet do wiadomości stwierdzenie, że nie zamierzam się zmienić. Później wielokrotnie miałem wrażenie, że zostałem ściągnięty do aparatu po to, by świecić twarzą za zapadające tam decyzje.

M.S.: Odczł właśnie. Wojtczakowi pamięta się, że polecał za "Cziowieka z marmuru". Warto by przypomnieć początek jego kariery. Wajda miał wówczas koncepcję zespołu filmowego "X" opartego nie na samych absolwentach łódzkiej szkoły filmowej, lecz również ludziach spoza branży. Na świecie znane są przypadki wybitnych reżyserów, którzy zawdzięczają swe sukcesy bynajmniej nie instytucjom edukacji adeptów sztuki filmowej. Do zespołu "X" trafiłem więc jako dziennikarz telewizyjny, obok na przykład reżysera teatralnego Konrada Swinarskiego. Napisałem scenariusz filmu oparty na kanwie mych reportaży, po czym został on skierowany do produkcji. Była zgoda ustępującego wiceministra Wiśniewskiego, przygotowano hale zdjęciowe - słowem, w każdej chwili mogłem się zabrać za reżyserowanie.

I oto Wojtczak zostaje wiceministrem. Wzywa Wajdę, kierownika literackiego Michałką, mnie - obok przy stole zasiada jego komisja w osobach takich luminary filmu, jak ówczesny redaktor naczelny "Ekranu" przysięgły moczarowiec. I oto się zaczyna - panowie eksperci z komisji klarują, że scenariusz jest wyrazem "rewizjonizmu Otta Sika", "kontrrewolucji" i tak dalej. Po czym Wojtczak wstaje, dziękując ekspertom i stwierdza, że w tej sytuacji scenariusza nie można dopuścić do produkcji.

Dlaczego to opowiadam? W opinii środowisk twórczych Wojtczak mógł się pojawić jako człowiek nowy, wcześniej odsunięty ze stanowiska, ba, "liberał"... Mało kto mu wówczas pamiętał, że jest to zgrany aparatczyk, mający osobiste osiągnięcia w dziele tępienia kultury. Ilu takich "pokrzywdzonych" mogło wówczas awansować?

M.J.: Bardzo wielu. Dla Kania ważne było kilka kryteriów, przy podejmowaniu decyzji o obsadzie stanowisk w aparacie. Za przykład ważny kulturę. Po pierwsze - nie wchodziłi w grę ludzie bezpośrednio współpracujący z Łukaszkiewiczem. Po drugie - dobrze było mieć w biografii epizod konfliktu z kierownictwem ekipy gierkowskiej. Po trzecie - chodziło o to, by z nowo mianowanymi kierownikami skłorni byli, rozumiał sami twórcy. Wiadomo było, że z Wojtczakiem będą rozmawiać Wajda, Żarusski czy Kawalerowicz. Na dodatek konstruowanie nowego aparatu przebiegało w sposób szalenie nerwowy i zarazem oportunistyczny: pozostała przecież ogromna kadra działaczy etatowych z wieloletnim stażem, do której kooptowano teraz paru ludzi nowych w nieco innych krawatach.

L.M.: W historii "Solidarności" awykło się wyodróżniać trzy okresy. Pierwszy - od Sierpnia do konfliktu Bydgoskiego. Drugi - od Bydgoszczy (marzec 1981) do sierpnia tegoż roku, to jest do nerwania, negocjacji, wstrząsów, marazmów głodowych, demonstracji na sbiegu Warszawskiej i Al. Jerozolimskich. Ten drugi okres owocował największą ilością zmian i porozumień między władzą a nowym związkami. Okres trzeci - od sierpnia do 1o grudnia charakteryzuje narastająca konfrontacja między stronami konfliktu i przesładowanie, iż rozstrzygnięcia przytłoczyć mogą tylko kroki radykalne. Czy periodyzacja losów PZPR w tym przedziale czasu pokrywa się w jakimiś stopniu z chronologią konfliktów między władzą a "Solidarnością"?

M.S.: Z grubsza biorąc - pokrywa się. Może tylko inaczej wyglądał kalendarz tendencji pojawiających się w partii i w "Solidarności".

L.M.: W "Solidarności" okres pierwszy charakteryzuje tendencja "chudego", związku zawodowego, nastawionego na działalność czysto rewindykacyjną w sferze socjalnej. Po Bydgoszczy górę bierze myślenie o konieczności wtączenia się w reformowanie gospodarki. Dominującą tendencją wyznacza w tym czasie ruch samorządowy, animowany przez Stęś Władycych Zakładów Pracy. Wreszcie, w trzecim okresie zaczyna się: mówić o otwarciu o potrzebie przebudowy systemu politycznego, pojawiają się pomysły uawiania komórek partii z zakładów pracy, równocześnie następuje polaryzacja ideowa w samej "Solidarności" wyłaniania się klubów politycznych.

M.J.: Jak to wyglądało z punktu widzenia aparatu centralnego? Okres pierwszy - od Sierpnia 1980 do rejestracji "Solidarności Wiejskiej" - jest przede wszystkim okresem rozpicia i oszokowania konserwy z KC. W tym czasie w KC dwukrotnie pakowano

maratki. Po raz pierwszy pod koniec sierpnia 1980; krążyła wówczas i zdawała się wiarogodna pogłoska o przygotowaniach do puczu ze strony ekipy Łukaszewicza i Żandarowskiego, niekiedy wymieniano też nazwisko ówczesnego sekretarza warszawskiego Karłoszki. Ponoć gmach KC został otoczony, niektóre wydziały zaczęły się już pakować. Po raz drugi pakowano się pod koniec września w obawie przed mającą nastąpić interwencją Układu Warszawskiego. W każdym razie w "Białym Domu" stale utrzymywał się stan niepewności i tymczasowości.

W chwili, gdy postanowiono zarejestrować "Solidarność Wiejską", co najmniej połowa pracowników KC przebywała w terenie, gdzie gardłowała do upadłego, że partia nigdy nie dopuści do rejestracji związku zawodowego rolników. Po decyzji Kani znaczna część aparatu poczuła się oszukana i od tej pory z nienawiścią odnosiła do osoby pierwszego sekretarza. Była to niezwykle ważna cezura dla postaw biurokracji. Z początku większość zaczęła spoglądać wyczekując na dalsze decyzje KC, równocześnie ze zobojętnieniem odbierając wszystkie apele i instrukcje stamtąd płynące.

Okres drugi - od rejestracji "Solidarności Wiejskiej" /16 kwietnia, kiedy to ogłoszono decyzję rządu o zarejestrowaniu NSZZ "Solidarność" Rolników Indywidualnych/ do konferencji partyjnych w Katowicach /25 czerwca/ i Warszawie /27 czerwca/. Wśród ludzi aparatu utrzymuje się niepewność, dominują postawy "liberalizujące", lecz bez gotowości ponoszenia jakiegokolwiek osobistego ryzyka. Nierozdumno kokietuje się wtedy nas, ludzi nowych. Jeden z moich współpracowników komplementował: "Stary, ajnie się chodzi z tobą na spotkania do filmowców, bo traktują cię jak człowieka, nawet brawa biją".

Kampania wyborcza na IX Zjazd PZPR przebiegała z początku w sposób bardzo demokratyczny. Znamienny był już fakt, że Kania nie zdecydował się kandydować w Warszawie czy Katowicach, lecz mandat uzyskał właśnie w Krakowie.

M.S.: Dla zrozumienia mechanizmów tamtego okresu warto ów epizod nieco przybliżyć, tym bardziej, że obserwowałem go z bliska, niejako "od kuchni". Sytuacja Kani była w tym momencie dramatyczna - otóż nie miał on najmniejszych szans na wybranie go w Warszawie czy w Katowicach. Nie mógł też startować na konferencji, na której ryzykowałby wybranie go większością, ledwie kilku głosów. Wbrew pozorom partia dysponuje bardzo precyzyjnymi mechanizmami analizy popularności różnych osób z kręgu aparatu i jest w stanie dość dokładnie przewidzieć wyniki wyborów. Te sondaże wskazywały jednoznacznie, że sytuacja pierwszego sekretarza partii rysuje się na wszystkich konferencjach wojewódzkich raczej fatalnie.

Nie inaczej było w Krakowie. Kania nie posiadał w tym mieście większej popularności. Nie był w stanie zjednać jej dla pierwszego sekretarza nawet Komitet Krakowski. Aktyw partii miał do Kani mnóstwo pretensji - jego polityka jawiła się jako niejasna, kunktatorska, mówiło się, że zbyt wiele pola oddaje przeciwnikom. To więc, że Kania został w Krakowie wybrany, było zasługą kilku ludzi, a przede wszystkim ówczesnej ekipy "Gazety Krakowskiej". W kampanię na rzecz Kani włączyłem się ja, Helena Lazar - dziennikarka "Gazety" i członek egzekutywy, również redaktor Urbańczyk z "Kuźnicy"... Ale przede wszystkim Hieronim Kubiak, nie związany wówczas z aparatem profesor Uniwersytetu. Ten ostatni działał w sposób szalenie nieudolny, co wzbudzało podejrzenia, że zaangażował się w tę kampanię dla własnej kariery politycznej. Wyglądało to tak, że chodziliśmy na wszystkie zebrania dzielnicowych konferencji partyjnych i posiedzenia aktywów w dużych zakładach pracy, by z uporem tłumaczyć i przekonywać, że upadek Kani oznaczał będzie zwycięstwo grupy Grabskiego i Olszowskiego.

M.J.: W KC wiadomo było, że Kania mógł być wybrany z Gdańska - tak w każdym razie zapewniał go Tadeusz Fiszbach. W grę wchodził też Elbląg. - Jechałem tam w czerwcu, przecierając drogę Jagielskiemu. Każde z tych miejsc było dla Kani niedobre. Kandydowanie z Gdańska było otwartym wyzwaniem dla "twardych" i musiało w efekcie spowodować ich pełną konsolidację przeciw pierwszemu sekretarzowi. To, że w końcu zdecydował się na Kraków, zostało odebrane w gronie aparatu jako kolejny dowód mięczactwa, wiązania się z - jak się wówczas mówiło - "krakowską plasteliną".

M.S.: Nawet Gdańsk był dla Kani loterią. Tam z kolei mógł spotkać się z zarzutem ze strony grupy Łabęckiego, że nie chce się zadeklarować po stronie reformatorów. Najważniejsze, jak powiedziałem, wydaje się to, że żaden aparat szczebla wojewódzkiego nie był w stanie sterować wyborami poprzez wskazanie odpowiedniego kandydata. Kania, jak każdy delegat, musiał walczyć o poparcie aktywów. Fenomen demokratycznych wyborów w partii w r. 1981 był czymś niesłychanym.

M.J.: Wracam do wątku periodyczacji tego okresu. Otóż w ostatnich dniach czerwca na kolejnych konferencjach wojewódzkich w Koninie, Katowicach i Warszawie Kania zu-

pełnie nieoczekiwanie udziela swego poparcia Grabskiemu, Żabińskiemu i Kociołkowi. Kania nie wybierał się do Katowic, miał tam jechać Jaruzelski. W ciągu dość wolnie Kilku godzin zmienił decyzję - postanowił udać się do Katowic i wesprzeć Żabińskiego. To kolejna cezura, od tego bowiem momentu aparat KC znówu podnosi głowę. Kania zajął się, zmuszony został do poparcia swych antagonistów, co zarazem kompromitowało go w oczach nie tylko struktur pozycyjnych, lecz nawet lekko liberalizującego aktyw partii.

Rzecz można, że o ile początkowy okres kampanii przedzjazdowej przebiegał w atmosferze demokracji i otwartej dyskusji, o tyle późniejsze wystąpienia Kani były znaczącym sygnałem dla szeregowych działaczy: dość anarchii, zwieramy szeregi. Sam IX Zjazd nie był już faktem na tyle historycznym, co poprzedzająca go kampania. Praktycznie toczył się pod dyktando "twardych". Kania został, i owszem, wybrany na pierwszego sekretarza głosami całej sali. W sześć dni później odbyło się pierwsze spotkanie nowego Biura Politycznego z aparatem KC. Wówczas to, rzecz niespotykana w tak scentralizowanym systemie, nowo wybrany pierwszy sekretarz został otwarcie zesatkowany. Aparat czuł się pewnie. Czuli się pewnie już w trakcie Zjazdu, pozwalając sobie na kolportowanie paszkwilów wymierzonych w Fiszbacha, Klasę, "Gazetę Krakowską". Teraz mogli tę na nowo odzyskaną pewność otwarcie manifestować.

Ostatni etap zaczyna się 18 października, z chwilą usunięcia Kani i wybrania W. Jaruzelskiego na funkcję pierwszego sekretarza.

M.S.: Aparat partyjny czerpie swą siłę nie z demokracji, lecz z istnienia zorganizowanej grupy, dążącej do zdobycia pozycji dominującej. Kto w KC montował ataki na Kanię już w tydzień po zakończeniu Zjazdu? Czy nie policja i wojsko?

M.J.: Mogę powiedzieć tyle: w dniach 10-11 czerwca odbywa się XI Plenum KC. Kania był wówczas bardzo zagrożony, wiele wskazywało, że list KC KPZR krytycznie oceniający sytuację w Polsce oznaczać musi jego koniec. Pamiętam taką anegdotyczną historię: 8 czerwca byłem na spotkaniu ze środowiskami teatralnymi, wśród z dwoma współpracownikami - od pewnego czasu na moje spotkania zaczęli też chodzić pracownicy z innych wydziałów KC, co było dla mnie jednoznacznym sygnałem, że jestem pod szczególną kontrolą. Po spotkaniu, zresztą całkiem udanym, jeden z "opiekunów" zagađnął mnie: "Szefie, wszystko dobrze, tylko po co o tym Kani mówisz? Jego już jutro nie będzie." W gmachu KC rozpuszczano plotki, że gdy Grabski zostanie pierwszym sekretarzem, Związek Radziecki udzieli nam wysokiej pożyczki dolarowej na spłacenie odsetek od zadłużenia w drugim obszarze.

Otóż Kania wykonał na tym plenum znakomity manewr - podzielił sekretarzy wojewódzkich zgromadzonych na sali na dwie grupy, między którymi prowadzono konsultacje, swoisty plebiscyt popularności dla pierwszego sekretarza. Wydaje się, że Kanię uratowali wtedy przede wszystkim wojskowi, choć także Rakowski i Barcikowski dobrymi przemówieniami. Generałowie podkreślali w trakcie wystąpień zbieżność linii działania Kani i Jaruzelskiego; był to nader cenny gest poparcia.

M.S.: Nie zapominajmy o roli, jaką w tym momencie odegrała prasa. Klasa wśród ówczesnym szefem PAP pojęli niezwykłą i ryzykowną decyzję przekazywania na bieżąco głosów z plenum.

M.J.: Najbardziej swanturnicze wystąpienie Grabskiego puszczono w całości w programie III Polskiego Radia, czym tylko osmieszono mówcę żądającego ustąpienia Kani.

M.S.: Prasa oficjalna po raz pierwszy w tym systemie odegrała rolę, jaką spełnia w społeczeństwie demokratycznym. W "Gazecie Krakowskiej" konstruowaliśmy w nocy relację z plenum, dzieląc pierwszą kolumnę na dwie części - po jednej stronie Grabski, po drugiej Barcikowski. Tym sposobem walka polityczna na plenum została wyeksponowana w czołówce dziennika.

L.M.: *Cofnijmy się nieco. W październiku 1980 w Toruniu rozpoczyna się ruch struktur pozycyjnych. Później organizuje się on w różnych ośrodkach - w Poznaniu, Lublinie... W Krakowie wyglądało to nieco inaczej, nieprawdaż? Generalne pytanie: czy ten ruch miał w ogóle jakies szanse?*

M.S.: Moja prywatna odpowiedź, która miała praktyczne konsekwencje w działalności "Gazety Krakowskiej", była taka: uważałem, że w samej partii jest dość swobody, by próbować organizować nacisk na dogmatyczny aparat.

W Krakowie istotnie ruch ten realizował się inaczej niż w Toruniu. Struktury toruńskie polegały bowiem na tym, że nowo wybrane komitety zakładowe powoływały własny organ przedstawicielski, odrębny od statutowych instancji partii i w praktyce - a nawet w publicznych deklaracjach - odmawiały uznania dotychczasowych instancji. Była to więc próba tworzenia drugiej władzy, drugiej partii w obrębie pierwszej.

Co nie znaczy, byśmy w tym czasie w Krakowie mieli ochotę biernie podporządkowywać się dyrektorom instancji. "Gazeta Krakowska" raz po raz atakowała stary aparat. Istota

sprawy polega jednak na tym, że wszystkie toruńskie pomysły reformatorskie i demokratyzacyjne udaje się na naszym terenie włączyć, wkomponować w nurt oficjalnej dyskusji partyjnej. Komitet Krakowski nie odcina się od zgłaszanych projektów, które gdzie indziej kwalifikowane są jako "odsześciopięćcie".

Powstaje zatem w Krakowie przedzjazdowa Komisja Wniosków pod przewodnictwem H. Kubiaka. Komisja działa przy Komitecie Wojewódzkim, lecz faktycznie jest ciałem społecznym, złożonym z ludzi spoza etatowego aparatu partii. Zajmuje się rejestrowaniem wniosków i postulatów płynących szeroką falą z różnych zakładów pracy, środowisk inteligencji naukowej i technicznej. Rejestrowana jest znaczna większość wniosków, również te, które napiwiają że "struktur poziomych" - były bowiem także próby tworzenia owych struktur, między innymi w jednym z biur projektowych w dzielnicy Krowodrza. Co więcej, rzecz nie sprowadza się do rejestrowania postulatów - są one uwzględniane przy opracowywaniu projektów nowego statutu partii, nowej ordynacji wyborczej, wniosków merytorycznych na Zjazd.

Kubiak chwiliami stara się "obcinać" najbardziej radykalne wnioski - wówczas publicjujemy je w "Gazecie". Powstaje rubryka "Na łączach", gdzie prezentowany jest stan dyskusji przedzjazdowej nie tylko w Krakowie, ale też w Gdańsku, Poznaniu... Można powiedzieć, że sama "Gazeta Krakowska" staje się "strukturą poziomą".

Trzeba przy tym pamiętać o jednym jeszcze, bardzo istotnym czynniku. Otóż cały czas toczy się walka o Zjazd PZPR "Beton" obawiając się demokratycznego nurtu odnowy ujawnionego w trakcie dyskusji, stara się termin zjazdu odłożyć na okres możliwie najpóźniejszy, nawet na rok 1982. Reformatorzy muszą więc walczyć o przyspieszenie zjazdu. Z drugiej strony mają świadomość, że istnieją granice przemian w partii, poza którymi zaczyna się Praska Wiosna ze wszystkimi tego konsekwencjami, aż po interwencję ZSFR. Zwykle się mówi, że "Solidarność" była rewolucją, która się "samoorganizowała". Otóż ten sam sąd trzeba zastosować do procesu przemian wewnętrznych w tonie PZPR. Reformatorzy mieli świadomość, że jeśli nastroje w trakcie zjazdu przypominają będą tę atmosferę fermentu i pozyskiwania, jaka charakteryzowała okres przedzjazdowy, to zjazd zostanie otoczony wojskiem i uznany za nielegalny, a w Katowicach czy Bydgoszczy odbędzie się drugi, "prawdziwy" zjazd partii. Nieustannie wisią nad naszymi głowami to niebezpieczeństwo.

M.J.: Toruńskie struktury poziome traktowane są od samego początku przez aparat centralny jako działalność rozbijąca i zdecydowanie wykraczająca poza dopuszczalne granice. Tak sądzili nie tylko "twardzi", również ludzie o poglądach umiarkowanych. Sytuacja przybiera charakter dramatyczny po konflikcie bydgoskim. Pod koniec marca prowadzikiem w Moskwie rozmowy w Wydziale Kultury KC KPZR. Po powrocie rejaclonowałem Reguckiemu opinie towarzyszy radzieckich - ich zdaniem punktem granicznym, poza którym kończy się wszelka tolerancja dla polskiego eksperymentu były z jednej strony struktury poziome, z drugiej tworzenie kół "Solidarności" w resortach MON i MSW.

Uważałem, że sprawą najważniejszą jest zwolnienie zjazdu partii. Z tego powodu musiałem oceniać krytycznie toruńskie struktury poziome. Ich aktywność na równi ze stanowiskiem "betonu" blokowała zwolnienie zjazdu. Jedno zdanie Zbigniewa Iwanowa dla szcześcińskiego tygodnika "Jedność": "Czuję się socjaldemokrata..." spowodowało setki nastawliwych komentarzy w prasie radzieckiej. Powiem więcej - w tym czasie wspólnie z Reguckim uważaliśmy, że "Gazeta Krakowska" idzie za daleko. Te nasze obawy nie miały żadnych konsekwencji praktycznych, ale zastanawialiśmy się nie raz nad niebezpieczeństwami gry prowadzonej przez Macka Szumowskiego.

L.M.: *Wikt w aparacie nie uważał za stosowne prowadzić rozmów ze strukturami poziomymi?*

M.J.: Kubiak, Werblan, Regucki... Każda z tych osób kontaktowała się z Toruniem nieformalnie, na zasadzie koleżeńskej. Próbowano przy tym perswadować działaczom struktur, iż ich działalność stanowi poważne zagrożenie swoistej pół-stabilności, jaka wytworzyła się w naszym kraju w tym okresie. Ja sam w trakcie prywatnych spotkań z przedstawicielami struktur powtarzałem: panowie, zrozumcie, są pewne konieczności...

M.S.: Nie ty jeden, Jacek Kuroń twierdził w tym czasie, że partia, będąc języczkiem u wagi w toczącym się konflikcie, ma siedzieć cicho i nie włączać się do rewolucji. Jego zdaniem partia winna pełnić rolę "czerwonej czapeczki", potrzebnej nam w utrzymaniu stosunków z blokiem wschodnim. Może nawet zostało to wymyślone logicznie, szkopił w tym, że był to koncept najzupełniej życzeniowy. Nie sposób było przekonać całego ogromnego ruchu oddolnej odnowy w partii, by zaniechał wszelkiej aktywności, zachowywał się biernie.

L.M.: *22 marca, na pięć dni przed zapowiadzianym czterogodzinnym strajkiem ostrze-*

L.M.: Co zatem wynika z dokumentów komisji Grabkiego w trakcie zjazdu partii?
M.J.: Nic, bo i co miało wynikać? Oskarżeni byli Szydłak, Pyka, Żandarowski, Wrzasczyk, Kowalczyk... bankruci polityczni w tamtym okresie.

L.M.: Także Jagielski.

M.S.: Owszem. Publicznie odpowiadał na zjeździe na stawiane mu zarzuty.

L.M.: Chciałbym przypomnieć, że "Gazeta Krakowska" również uczestniczyła w tym powszechnym praniu brudów. Afera z daczami w Myślenicach...

M.S.: I nie tylko, także afery z brylantami... Na kampanię rozliczeniową trzeba spojrzeć z szerszej perspektywy. Istotnie, ekipę lat siedemdziesiątych cechowała niezwykła wprost pazerność i arogancja. Mówi się, że po 13 grudnia umarła w Polsce ideologia. W rzeczywistości umarła ona dużo wcześniej. Ekipę gierkowską charakteryzują powierchowna, acz kraciowo dogmatyczna frazeologia, pod którą jednak nic się już nie kryje. Żaden materializm historyczny, lecz tylko cyniczny materializm podług zasady: zagarnąć, ile się da. Sam pierwszy sekretarz stanowi najlepszy przykład, osobicie do tego zachęca i namawia. Rozpanoszenie się aparatu, niczym nie miarkowana zachcianność, wszechwładza przywilejów musiały budzić w społeczeństwie rozdrażnienie i oburzenie. Niezależnie od tego, kto wówczas w aparacie i jakie kartoteki staru posiadania prowadzi i aktualizuje, zwyyczajni obywatele nie mogą pogodzić się z wyrastającym na ich oczach luksusem wiliam i basenami, z obyczajowością polowań i rajdów samochodowych, tak charakterystyczną dla ówczesnej ekipy. Było oczywiste, że pierwsza okazja wywoła ostre reakcje społeczne przeciw tym praktykom. Tym bardziej, że były one powszechne również wśród małego, głupiego aparatu terenowego, który pozostaje na widoku publicznym.

Przejmując dogmatyczny aparat gomulkowski, Gierak miał prostą nań receptę - postanowił mianowicie kupić go za pieniądze. Bardzo mało doprakdy ludzi w Radiokomitecie oparło się władzy Macieja Szczepańskiego. Ten zaś nie ukrywał, że jego władzy obejmęte są wszelkie frazesy marksistowskie i socjalistyczne. Bezcennie kupował milczenie jednych, współpracę i hołdy drugich. Korumpował ludzi, którzy skądinąd trwale zasłużyli się w naszej narodowej kulturze. Pieniądże, talony, przywileje... tak to szło.

W "Gazecie Krakowskiej" publikowaliśmy w r. 1981 dwadzieścioronnicowe eseje i rozprawy naukowe. Poza tym jednak znajdowaliśmy się w sytuacji bez wyjścia. Cóż bowiem mogliśmy zrobić w sytuacji gwałtownej eksplozji demokracji, gdy nacisk społeczny na rozliczanie "ziodziei" z nomenklatury powoduje lawinę protestów? Gdy do "Gazety" zgłaszają się spontanicznie tworzone delegacje z materiałami obciążającymi kolejnych dygnitarzy? Jasne, wiedziałem, że tego rodzaju publikacje tworzą tylko pretekst do wewnętrznych frakcyjnych porachunków w partii, lecz gdybym materiały owe wyrzucił do kosza, naraziłbym "Gazetę" na zarzut tendencyjności, na oskarżenie, że świadomie osłaniamy malwersantów. Myślenicka "Solidarność" informowała nas o kolonij dacz letniskowych tow. Durbacza. Niech ktoś wyobrazi sobie w atmosferze tamtego czasu, że zignorowalibyśmy takie zarzuty. Z punktu tracimy wiarygodność.

Choć wreszcie powiedzied, że niezależnie od dwuznacznych porachunków wewnętrznych towarzyszących demaskowaniu afer, uważałem, że sam mechanizm korupcji i partyjnych przywilejów winien zostać ujawniony i opisany. Trudno, w chwili gdy społeczeństwo starca się na dno kryzysu gospodarczego, przykryć oczy na to, że odpowiedzialność za ów stan spoczywa na tych właśnie, którzy sami dorobili się niezłych fortun.

L.M.: Sprawa następna. Wiosną 1981 następuje aktywizacja środowisk partyjnych stojących na pozycjach skrajnie, wrogich wobec "Solidarności" i wszelkich ruchów reformatorskich. Będą pierwszy w forpocztach redakcji wystąpił Klub "Warszawa-80". Wkrótce dołączą doń tygodnik "Rzeczywistość", Zjednoczenie Patriotyczne "Grunwald", Katowickia Forum Partyjne...

M.J.: Klub "Warszawa-80" powstał jako dość nerwicowa próba przeciwstawienia się różnego typu klubom i ośrodkom dyskusyjnym wyrastającym wówczas w całym kraju. Za przykład inicjatywy, w opozycji do której tworzono ów klub może służyć krakowska "Kuchnia" w tamtym czasie miejsce spotkań liberalnej inteligencji partyjnej. W "Warszawie-80" jedynym człowiekiem z kręgu aparatu władzy był Władysław Lorańc, ówczesny wiceminister kultury. Poza tym prym wiodli ludzie tacy jak Józef Lenart - sekretarz organizacji partyjnej przy warszawskim oddziale ZLP czy Lech Wieluński - kierownik działu kulturalnego tygodnika "Perspektywy", później redaktor naczelny "Ekranu". Swą obecność w klubie traktowali w sposób manifestacyjny, na spotkania ze mną przychodzili z pięty w kłapę marynarki znacznikiem "Warszawa-80". Ostentacyjnie oddawali się nie tylko od "Solidarności", lecz także od nurtu reform w partii - kursowało w ich szeregach powiedzenie "wolę być warszawskim betonem niż krakowska plastelina".

Wydaje mi się jednak, że "Warszawa-80" i "Grunwald" nie miały żadnej bazy społecznej. Tu dostrzegam istotną różnicę między moczarystwem r. 1968, a konserwą partyjną roku 1981. Poza tym hasła były te same: nacjonalizm, antysemityzm, populizm.

L.M.: "Warszawa-80" i Forum Katowickie były z pewnością inicjatywami całkowicie izolowanymi. "Grunwald" basę społeczną minimalną, ale miał z pewnością kilka osób barzdzo zastraszonych w latach drugiej wojny światowej dosto się nabrzdac na hasło "demaskacji zbrodniarzy z UB", które to hasło w ustach "patriotów" z "Grunwaldu" nabierało sensu jednoznacznie antysemitckiego.

M.J.: Generalnie rzecz biorąc ani w "Grunwaldzie", ani w "Warszawie-80" nie było osobistości na tyle poważnych, by zdolne były skupić wokół siebie szersze gremia. Już nie wspominając o ich obsesyjnym antysemityzmie i otwarciu totalistycznym programie. Z drugiej strony grupki te miały zwolenników w aparacie centralnym, choć przyzwawanie się do nich nie było dobrze widziane. Szczególnie "Grunwald" miał złe notowania.

Tym niemniej Olszowski gótbó był bronić zarządca tygodnika "Rzeczywistość". Kiedy w jednym z felietonów zaatakowano w tym piśmie Hieronima Kubiaka, oskarżając go wręcz o współpracę z obcymi mocarstwami, Kubiak jako członek Biura Politycznego zgłosił oficjalny protest. Nie pociągnął to za sobą jakichkolwiek następstw; po raz pierwszy zdarzyło się, że gazeta znieważała członka Biura zupełnie bezkarnie. Olszowski argumentował w obronie "Rzeczywistości": skro towarzysze chcecie pluralizmu, nie powinniście mieć żadnych pretensji.

Brak bazy społecznej nie przeszkadzał owym inicjatywom w wywieraniu bardzo skutecznej presji politycznej. Na biurku pierwszego sekretarza pojawiały się teleksy w rodzaju: Komitet Zakładowy PZPR Huty Warszawa protestuje przeciwko pomdżaniu i lekceważeniu prawdziwego Polaka i komunisty Bohdana Poręby, a forowaniu różnych "wajdelotów", Hoilandów, Palaków, Kieślowskiich. W pierwszym odruchu, nie znając mechanizmów gry w aparacie, chciałoby się rzec: no chyba nie będziemy dyskutować nad treścią tego typu emuncjacji. Otóż nie podobnego. Kilka takich teleksów stanowił fakt polityczny, mimo iż nikt nie ma wątpliwości, że całą sprawę montowały zaledwie dwie - trzy osoby. Pojawia się natychmiast ze strony części aparatu argument, iż trzeba szanować głos członków partii. I cóż można na to odpowiedzieć?

W aparacie istnieję powszechny lęk, sięgający szczebla sekretarzy KC, by nie został posądzonym o liberalizm. Wszystkie bowiem doświadczenia pracy w aparacie wskazują, że na otwartym myśleniu zawsze się przegrywa. "Warszawa-80" czy "Grunwald" mogły ten lęk znakomicie wygrać. W r. 1981 powstał niebywale sprzyjający układ personalny: członkiem Biura i sekretarzem KC do spraw kultury został Hieronim Kubiak, ja byłem zastępcą szefa Wydziału Kultury, ministrem kultury był Józef Tejcma. Można powiedzieć, że wszyscy trzej bardzo podobnie myśleliśmy o sprawach, w których mieliśmy głos decydujący. Czy to znaczy, że mogliśmy się nie liczyć z innymi teleksami? W żadnym razie. Teleksy tworzą tę sytuację, że bardzo wiele oczu zaczyna patrzeć ci na ręce. I to paraliżuje twoje, zdawałoby się szerokie, możliwości. Znajdujesz się w sytuacji przymusowej - od czasu do czasu musisz zrobić ukłon w drugą stronę, a przynajmniej jej nie krytykować. Co oczywiście zostanie - i słusznie - źle odebrane przez grupy, na których ci zależy. Taka jest logika gry.

Nie ma możliwości zreformowania trzysobowej instytucji przez wprowadzenie doń dziesięć u nowych ludzi. Ci ostatni zostaną szybko wesseni, a przynajmniej zastraszeni. Owszem, możesz zawsze złożyć rezygnację. Tylko że wtedy kończy się dla ciebie gra. Owe teleksy przekonały mnie ostatecznie, że moje możliwości przeprowadzenia sensownych reform są mniej niż znikome. Musiałby wcześniej nastąpić zasadnicze zmiany ilościowe w składzie aparatu, które wyzwołityby zmiany jakościowe. Bez tego zaś ja i ludzie podobnie myślący byliśmy po prostu bezsilni.

L.M.: Podczas IX Zjazdu PZPR nie doszło do żadnego zasadniczego przełomu.

M.J.: Delegaci wybrani na IX Zjazd dzielili się na dwie, z grubsza biorąc, grupy. Pierwsza - ludzie wybrani w sposób demokratyczny w początkowej fazie kampanii przedzjazdowej, druga - ludzie wyłonieni w końcowym okresie kampanii, zatem w chwili, gdy Kania poparł "twardych". To było sygnałem do wybierania nieco innego garnituru delegatów.

W trakcie zjazdu zatriumfował dość szczególny mechanizm wyboru do władz centralnych partii. Generalnie można stwierdzić, iż przepadło bardzo wiele osób wartościowych, z doświadczeniem w pracy partyjnej tylko dlatego, że posiadały uznane nazwiska i znane były z działalności w epoce poprzedniej. Także dlatego, że organizowano przeciwko nim antyreklamę.

I oto IX Zjazd wybiera Komitet Centralny w składzie wyjątkowo reakcyjnym, rzecz

można najbardziej konserwatywny KC spośród tych, jakie wyłoniono w ciągu ostatnich dwudziestu lat. To jest sprawa dość tajemnicza. Moja interpretacja jest taka, że ponieważ "wycięto" niemal wszystkie indywidualności - przepadł Fiszbach, przepadł Klasa - nowo wybrane plenum KC składało się z osób przeważnie anonimowych, bez doświadczenia w pracy aparatu. Ludzie ci mogli więc w ciągu pierwszych dwu - trzech miesięcy zostać całkowicie przejęci przez zawodowy aparat o proweniencji stalinowskiej.

M.S.: Istotną część zjazdu rozegrała się jeszcze przed jego rozpoczęciem. Mapa rozbudowania politycznego partii w różnych województwach była bardzo złożona. Można by na ten temat napisać osobne studium. Mówiąc w przybliżeniu - w województwach słabo uprzemysłowionych, z przewagą sektora rolniczego nie doszło do żadnych zmian w aparacie partyjnym, żadnych też krystalizacji grup reformatorskich.

M.J.: Po jednej stronie był Kraków, Gdańsk, Poznań, do pewnego stopnia Toruń i Lublin. To wszystko. Po drugiej stronie - Warszawa, Katowice, Konin, Bydgoszcz. Reszta była milcząca, a to znaczyło, że pójdzie tam, gdzie jest siła. Siła była wyraźnie po stronie "twardych". Dodatkową rolę odgrywał oportunizm Kani - skoro w Biurze Politycznym jest Hieronim Kubiak, niech będzie też Albin Siwak.

L.M.: *W Komitecie Centralnym uważano, że oba skrzydła powinny się równoważyć?*

M.J.: Nie. Większa część KC uważała, że wejście Kubiaka do Biura Politycznego jest policzkiem, objawem degrengolacji partii, rozregulowania jej mechanizmów.

M.S.: W trakcie zjazdu cały czas trwały dyskusje nad wyłonieniem kandydatów na członków Biura Politycznego. Otóż jeszcze w nocy poprzedzającej wybór Biura ani ja, ani nikt z delegatów krakowskich nie wiedział, że kandydował będzie Kubiak. Sprawę tę trzymano w najgłębszej tajemnicy, wiedziało o niej zaledwie parę osób. Gdyby doszło do jej ujawnienia, Kubiak miałby przeciwko sobie potężną maszynę, łącznie z ulotkami, plakataki... Nigdy by w tych warunkach nie został członkiem Biura. Kiedy Kania zgłosił jego kandydaturę, wstał jeden z delegatów i powtórzył prowokacyjny zarzut, iż Kubiak jest agentem CIA. Kania spurpurowiał; ten zarzut godził również w niego samego.

L.M.: *"Beton" produkował na zjeździe swoją gazetkę "Marginesy", ulotki... A druga strona?*

M.J.: Miała swój organ - "Gazetę Krakowską". Tłum delegatów gromadził się każdego dnia wokół stoiska z "Gazetą", przywożoną rannym ekspresem. W tym samym czasie do hoteli, w których zakwaterowano delegatów, docierali sobie tylko widocznymi drogami osobnicy rozrzucający ulotki typu: "Chcesz mieć żyda w Biurze Politycznym - głosuj na Fiszbacha". O Klasie - że gwałciciel, że ukradł jakieś srebra... Czysta paranoja. Dodajmy zajadłą kampanię personalną na łamach "Rzeczywistości". Beton czuł się bardzo pewnie. Regucki skarżył się w pewnym momencie, że nie panuje nad tym, kto wchodzi na salę obrad zjazdu.

M.S.: Ale nie Regucki miał tego pilnować, tylko pion Barcikowski. Tymczasem na powielaczach Wydziału Organizacyjnego, podległego Barcikowskiemu, drukowano teksty wspomnianych paszkwilów.

L.M.: *za wiedzą Barcikowskiego?*

M.S.: Tego nie wiem. Jeśli bez jego wiedzy, to by znaczyło, że już nie panował nad swoim aparatem. Może też świadomie udawał "nie poinformowanego", a kampania paszkwilów toczyła się za jego milczącym przyzwoleniem.

L.M.: *Członkiem Biura Politycznego zostaje Albin Siwak, postać bezsprzecznie barwana za sprawą nieopowiadającego pryncypjalnemu, chamskiego, lumpenfaszystowskiej umysłowości.*

M.S.: Już o tym mówiliśmy. W sytuacji, gdy partia rozpada się od dołu, od góry żyje w niepewności, czy Moskwa nie zechce jednym telefonem zdjąć całej ekipy kierowniczej, otóż w tej sytuacji pierwszy sekretarz musi zdobyć się na mniemw zdolny zaspokoić interesy różnych ścierających się grup i frakcji, a zarazem musi sam ustawić się w najkorzystniejszej sytuacji. Mały tu do czynienia z czymś, co nazwałbym demokracją w obrębie klanu. Po lewej stronie, dla uspokojenia nacisków jednej koterii, lokuje się pryncypiala, z którym łatwo można sobie poradzić. Po stronie prawej, dla zażegnania nacisków reformatorskich, stawia się z lekką nawiedzonym profesora, którego pozycja jest słaba i którego łatwo w razie czego obalić. Odgraniżony rytuał demokracji w klanie, przywódcą partii znajduje się w dogodnej sytuacji "człowieka środka". Nie można go atakować ani za liberalizm, ani za dogmatyzm. Nadto istnieje pole manewru - zawsze można "ciągnąć po skrzydłach".

L.M.: *Po zjeździe beton przechodzi do ofensywy, łącznie się mechanizm negocjacji z "Solidarnością", swan chwalebnej równowagi szanowania się w "siłną wojnę". Partia podejmuje zmasowaną kampanię propagandową przeciw Żwiżkowi. Równocześnie wyrastają nowe struktury partyjnych samorządów - foran w Koninie, w Krośnie, Żwiżek Kłodzkiej Kom-*

ogłoszono pogotowie strajkowe - między innymi do elbląskiego "Zamechu", ponieważ umiałem dogadywać się z ludźmi.

L.M.: *W tym samym czasie Siwak na konferencji partyjnej w Krośnie zapowiada wprowadzenie w Polsce "stanu wyjątkowego".*

M.J.: Mechanizm pracy w KC jest taki, że na wszystko brakuje czasu, w pewnym więc momencie przestajesz się zastanawiać nad całością, myślisz wąsko w obrębie swoich zadań i tematów. Jesteś ustawicznie zagoniony przy załatwianiu spraw bieżących. Wiesz, oczywiście, że króci się coś niedobrego, ale co możesz poradzić?

W tym samym czasie ustalamy z Józefem Tejchmą kształt Narodowej Rady Kultury: 2/3 ze społecznego wyboru, 1/3 przedstawicielei władzy, przewodniczący najprawdopodobniej Andrzej Wajda. A równocześnie dochodzą do mnie głosy o możliwości innego rozwoju sytuacji. Staram się przekazać te opinie "Solidarności", na co Jerzy Milewski odpowiada: "Misiek, jesteś przestraszony i zsołwetyzowany. Władza leży na ulicy."

M.S.: Ostrzeganie "Solidarności, iż władze mogą w pewnym momencie wykorzystać aparat policyjno-wojskowy odbierane było jako próba wywarcia psychologicznej presji ze strony partii. Jaruzelski ma akurat rację, twierdząc że możliwość wprowadzenia stanu wojennego prezentowana była przed 13 grudnia na pierwszych stronach gazet. Ja sam miałem nadzieję, że te pogroźki są tylko psychologiczną zagrywką obliczoną na powstrzymanie nacisków społecznych. Tak czy inaczej jednak, nie miało to większego znaczenia. Każdy z nas - tak ludzie "Solidarności", jak i ja z zespołem "Gazety Krakowskiej" - musiał robić do końca to, czego się podjął. Niczego nie mogliśmy zmienić."

L.M.: *Sytuacja "Gazety Krakowskiej" i twoja stała się w tym momencie płynna.*

M.S.: Konflikt "Gazety" z instancjami wojewódzkimi trwa w zasadzie bez przerwy od r. 1980. Do KC stale docierają informacje, że członkowie partii regionów Polski południowej nie mogą dłużej uznawać "Gazety Krakowskiej" za swój organ. Gen. Baryła, szef zarządu politycznego Wojska Polskiego protestował intencjami armii przeciwko "Gazecie". Dąbrowa, nie chcąc tracić atutów politycznych, musiał nas tolerować świadom, iż "Solidarność" w Nowej Hucie groziła strajkiem w momencie, gdyby zespół redagujący "Gazetę" został rozwiązany. Robił, ile mógł - co pewien czas wzywał mnie na egzekutywę i stawiał bardzo ostre zarzuty polityczne do protokołu. Rozumiem go - potrzebował dla siebie alibi.

KC parokrotnie sondował opinie, jakie następstwa mogłaby przynieść decyzja zdjęcia mnie z funkcji redaktora naczelnego. W październiku 1981 znów wzywają mnie na egzekutywę. Po fakcie dowiedziałem się, że Dąbrowa rozmawiał wcześniej w cztery oczy ze wszystkimi członkami egzekutywy, obliczając głosy. Wyszło mi, że jeśli postawi wniosek o zdjęcie Szumowskiego, egzekutywa zatwierdzi to większością głosów. Ma zatem pierwsze zabezpieczenie.

Jest i drugie - grupka dyspozycyjnych dziennikarzy: Hariderek, Ordyk, Machnicki, Rajca, Cyganik - instruowana najprawdopodobniej przez SB, z chwilą rozpoczęcia posiadzenia egzekutywy wkracza do akcji. Zjawiają się w "Gazecie" z tekstem głoścącym, iż Szumowski realizuje linię KOR, nie PZPR. Starają się zbierać wśród zespołu podpisy pod tym listem, nie zyskują jednak ani jednego nazwiska. Chodziło o to, by w wieczornym dzienniku telewizyjnym przedstawić moją dymisję jako rezultat woli zespołu redakcyjnego "Gazety".

Aliści przebieg egzekutywy jest dość nieoczekiwany. Dąbrowa pewnie stawia wniosek o zdjęcie mnie z funkcji naczelnego, po czym w jawnym głosowaniu wniosek ów nie zyskuje większości. Zdaje sobie sprawę, że to końcówka - następnym razem egzekutywa głosować będzie pod dyktando. W tym jednak momencie Dąbrowa, który złożył już poinformować Olszowskiego o zdjęciu mnie, jest zupełnie zaskoczony. Po mojej - przynajmniej dość demagogicznej wypowiedzi na egzekutywie, sekretarz KW stwierdza: "To my jeszcze damy Szumowskiemu szansę."

Wracam do redakcji. - Robimy następny numer - mówię. - Co, nie zdjęli cię? - Nie, nie zdjęli. Ci faceci od listu patrzą ogólniaki. List zniknął, odnalazł się dopiero po 13 grudnia na komisji weryfikacyjnej dla dziennikarzy.

L.M.: *Ostatnie dni przed 13 grudnia.*

M.S.: 10 grudnia "Gazeta Krakowska" drukuje sprawozdanie z dyskusji, jaka odbyła się w klubie "Kuznica". Wystąpił wówczas prof. Jerzy Wiatr, który zaprezentował cztery scenariusze dalszego rozwoju wydarzeń. Pierwszy - powrót do sytuacji sprzed Sierpnia, do rządów dogmatycznej części aparatu partyjnego. Trzeci - stan wojenny i dyktatura wojskowa w Polsce. Byliśmy jedyną gazetą, która opublikowała taką prognozę.

M.J.: W sobotę 12 grudnia byłem w KC. Zastanowiło mnie, że Olszowski wysłał z każdego wydziału, również z Wydziału Kultury, nie uzgadniając tego z nikim, swoich zaufa-

nych ludzi do województw. Okazało się, że byli to przyszli komisarze do spraw prasy. Podstawiono samochody i o godzinie na godzinę wydano polecenie: "Macie się spakować, jedziecie, na jak długo - nie wiadomo".

Z soboty na niedzielę miałem mieć dyżur w KC. Nie pasowało mi to ze względu o sobo-
sobitych. Poszedłem w piątek do Kubiaka prosić, czy nie mógłby mnie ktoś zastąpić. Kubiak powiedział wówczas: "Sytuacja jest podbramkowa, lecz chyba się dogadamy." Zwołał mnie z tego dyżuru zgadzając się, by zastąpił mnie jeden z podległych pracowników.

14 grudniajechałem miałem do Cetniewa na posiedzenie zwołanego przez Fliszbacha gremium, gdzie miałem przedstawić główne punkty nowej polityki kulturalnej. W zależności od przebiegu dyskusji podjęlibyśmy dalsze kroki. Gdyby udało mi się dogadać z tymi środowiskami, na wtorek planowane było oficjalne wystąpienie Kubiaka przed kamerami telewizji na konferencji w Cetniewie. Chodziło o określenie kompromisowego, zarazem pluralistycznego modelu przyszłej polityki kulturalnej.

L.M.: *Jaka zatem grupa w KC znała datę i scenariusz stanu wojennego?*

M.J.: Bardzo wąska. Kubiak nie wiedział - jestem o tym przekonany. Sądzę, że byli też inni członkowie Biura Politycznego nie wtajemniczeni w sprawę. Natomiast mam szereg podstaw, by podejrzewać, że plany techniczne i przybliżoną datę znał jeden z moich pracowników, zwykły instruktor Wydziału Kultury, bardzo blisko jednak związany z Głównym Zarządem Politycznym LWP i "Żołnierzem Wolności".

L.M.: *Pytanie ostatnie. Pierwsze dni po ogłoszeniu stanu wojennego.*

M.S.: 13 grudnia rano zwołano do Komitetu Wojewódzkiego zebranie dziennikarzy. Na liście osób wezwanych nie było mojego nazwiska. Regulki jednak uznał, że powinienem pójść do KW. Poszedłem więc i zacząłem ostro pyskować, że to skandal, oburzające... Na co Dąbrowa jowialnie: "Słuchaj, jeżeli ci się nie podoba, to jak chcesz, możesz być internowany." Odparłem, że to by było uczciwsze wyjście z sytuacji. Po czym się okazało, że rzeczywiście byłem na liście osób do internowania i ktoś w ostatniej chwili wykreślił moje nazwisko.

Do redakcji mnie nie wpuszczono, nie mogłem nawet odebrać swoich papierów. Z góry oświadczyłem, że nie stawie się przed komisją weryfikacyjną. Parę dni później zostałem wezwany na egzekutywę. Potraktowałem to jako prywatną rozmowę przy kawie. Powtórzyłem Dąbrowie raz jeszcze, co mówiłem 13 grudnia i wyszedłem.

W końcu jednak trafiliem na obrady komisji weryfikacyjnej. Taktyka prac komisji była następująca: poprzerosić jak największą ilość dziennikarzy do innych gazet: z "Krakowskiej" do "Echa" albo "Dziennika", zostawić pismo pracowników fizycznie przygotowujących "Gazetę" - sekretariat, dezeszowców, bez czego niedobna było ruszyć z pracą, pozbawić zaś prawa wykonywania zawodu najmłodszych dziennikarzy, tych najbardziej bezbronych. Takich jak Tadek Pilkulicki czy Janek Piekło, członków koła "Solidarności" w "Gazecie", osób, z którymi świetnie mi się współpracowało.

Poszedłem zatem na komisję, z góry oświadczyłem, że nie będę udzielał odpowiedzi w swojej sprawie, chcę natomiast złożyć oświadczenie. Nastąpiła konsternacja. Powiedziałem, że za koncepcję "Gazety" i teksty w niej publikowane całkowicie odpowiedzialność ponoszę ja sam, komisja więc nie ma prawa stosować sankcji wobec młodych dziennikarzy. Uważałem, że mam moralny obowiązek złożyć takie oświadczenie. Nie poskutkowało - najbliżej i tak zostali wyrzuceni na bruk.

M.J.: O członstwie stanu wojennego dowiedziałem się z przemówienia generała w telewizorze. Usiadłem natychmiast do maszyny i napisałem krótkie oświadczenie - że angażowałem się do dialogu, nie do stanu wojennego, w obecnej zaś sytuacji nie widzę dla siebie miejsca ani w partii, ani tym bardziej w żadnym stanowisku. Pojechałem do KC. Omach wydłużony, zewsząd obstawiony wojskiem. Złożyłem swoje pismo w Wydziale Kultury. Jeden z kolegów zaczął mi tłumaczyć: "Stary, widzisz, trzeba teraz wyciągać ludzi kultury z obozów dla internowanych, pałkarze dorwali się do władzy, tym bardziej są potrzebni tacy, jak ty." Powiedziałem, że mnie to nie interesuje i wyszedłem.

Wieczorem przyjechali po mnie samochodem, żona spytała, czy na mnie spakować. "Nie, raczej nie" - odpowiedzieli. Zawieziono mnie do Kubiaka. Ten, załamany i roztrzęsiony, zaczął mnie usilnie namawiać, bym został na stanowisku. "Siadaj przy telefonie, dzwoni do ministerstwa spraw wewnętrznych, trzeba wyciągać ludzi kultury." Odparłem: "Nie ja ich wsadzałem, żeby im miał wyciągać." Przez dwie godziny przekonywaliśmy się wzajemnie. Proponowałem mi, by rzucił to wszystko. Odpowiedział, że ufa generałowi i że nie było imogo wyjścia.

Ściągnięto mnie ponownie na drugi dzień i na trzeci. W tym czasie zachodnie radiostacje podały już wiadomość o moim wystąpieniu z partii. Ponieważ nie miałem zamiaru zmieniać zdania, Kubiak zaczął tłumaczyć: "Słuchaj, wiadomo, że zbierają się u ciebie

różni ludzie, pisarze, filmowcy..." Od 19 grudnia miałem mieć na Kasprowym Wierchu w Tatrach dyżur w GOPR. Dostałem glejst podpisany przez M. Milewskiego na wyjazd z rodziną do Zakopanego. Kubiak ze swej strony uznał, że nie zwróciłem legitymacji partyjnej, lecz oddałem ją do depozytu. Powiedziałem, że to mi nie odpowiada i że nie czuję się członkiem partii. "No, pojeździsz na nartach, przemyślisz to... zadzwoń linią partyjną do 31 grudnia, w przeciwnym razie uznam, że podtrzymujesz decyzję o wystąpieniu z partii."

Cozywiście nie zadzwoniłem. 4 stycznia ściągnięto mnie na kolejną rundę rozmów do KC. tłumaczono, że jestem jedynym pracownikiem KC, który złożył legitymację, że dotychczas nie było takiego precedensu w PZPR. Jakos brałem pod uwagę więzy łączące mnie z Kubiakiem, nie chciałem mu szkodzić. Zaproponowałem więc wyjście kompromisowe: przenięcie mnie do organizacji partyjnej przy ZLF, a ja odeślę swą legitymację pocztą do Komitetu Dzielnicowego. Nie zgodzono się; wyraźnie chcieli mnie wziąć na przeczekanie.

Szeliga zaproponował mi przejście do reaktywującej się "Polityki". Odmówiłem, jednocześnie zażądałem ostatecznego wyjaśnienia mojej sprawy. Zebrano się kolejne posiedzenie w KC. Zaczęto mnie atakować, że byłem agentem "Solidarności" w aparacie centralnym PZPR - w tym czasie Jerzy Milewski prowadził już ożywną działalność na Zachodzie. W pewnym momencie na kolejne pytanie o motywy mego postępowania odpowiedziałem: "Nie odpowiada mi sowiecka dominacja." To przesądziło. Nigdy nie otrzymałem decyzji pisemnej, dowiedziałem się tylko nieoficjalnie, że koniec końców wyrzucono mnie z PZPR za niepartyjny sposób prowadzenia prac w Wydziale Kultury i pro-solidarnościowy punkt widzenia.

M.S.: Bo to jest dla nich kolosalna różnica - nie ty wystąpiłeś, tylko oni cię wyrzucili.

L.M.: *W partii, jak w całym kraju, zaczęła się "normalizacja". Ale to już inna historia. Dziękuję Panom za rozmowę.*

Rozmawiał: LESTAW MALESZKA

Kożakowski o diable i polityce

Jubileuszowy, czterechsetny numer brytyjskiego miesięcznika ENCOUNTER /grudzień 1987/ zawiera esej Leszka Kożakowskiego pt. *Politics and the Devil* /Polityka i diabeł/. Centralnym wątkiem tego szkicu jest kwestia konsekwencji emancypacji polityki, sztuki, nauki i filozofii spod wpływu Kościoła i w ogóle religii, w szczególności zaś kwestia moralności w polityce. Swoje wnikliwe rozważania rzuca autor na cło refleksji o istocie nowożytności, naturze człowieka, zagadnieniu dobra i zła. Tak więc - zgodnie z tradycyjną nauką chrześcijańską - Szatan jest niezdolny do stwarzania czegośkolwiek; wszystko, co zostało stworzone, jest dziełem Boga-Stwórcy i jest z definicji dobre. Diabeł odgrywa rolę niszczyciela, który musi pasożytować na wspaniałym dziele Stworzenia. Dziedziną szczególnie podatną na działanie diabła jest polityka pojmowana wyłącznie jako walka o władzę. Diabeł dąży do wyodrębnienia sfery polityki, do jej autonomiczacji, albowiem stanowi to podstawowy warunek podporządkowania jej sobie. Załamanie się systemu pojęciowego porządkującego całą rzeczywistość ludzką - totalizmu - u schyłku średniowiecza otworzyło nową epokę w dziejach świata zachodniego, trwającą właściwie do dziś. Jej istotą - istotą nowożytności - jest naturalnie stopniowe osiągnięcie pełnej autonomii we wszystkich dziedzinach ludzkiego życia, czyli uwolnienie ich od pojęć i kryteriów religijno-kościelnych, które stanowiły przedtem zasadniczy punkt odniesienia, a także nadawały obowiązującemu wówczas porządkowi sankcję metafizyczną. Procesowi owej emancypacji towarzyszyło formułowanie systemu pozareligijnych kategorii pojęciowych oraz kryteriów mających zapewnić spójność i zasadność nowego porządku rzeczy. Można naturalnie dojrzeć w tym procesie - to znaczy w całej nowożytności - coś, co w języku chrześcijańskim nazwano "szczęśliwą winą" /felix culpa/, wszystkie bowiem jej zwycięstwa mają swe źródło właśnie w owej samodzielnosci, jaką w toku dziejów uzyskała polityka, nauka, sztuka, filozofia i technika. Bez wyrwania się spod kurateli religii dalszy rozwój możliwości tkwiących w człowieku byłby niemożliwy. Nic innego nie twierdzi zresztą teologia, która nieustannie przypomina, że Bóg wolął pozostawić człowiekowi wolność, choć przecież mógł uczynić go istotą bezgrzeszną. Człowiek grzeszny, lecz wolny /bo przecież wolność jest przyczyną i możliwością czynienia zła/ droższy jest Stwórcy niż doskonały acz bezwolny automat. Wolna i rozumna istota ludzka może bowiem wybrać zło, lecz może także odpowiedzieć się i działać na rzecz dobra. Dzieło Stworzenia, z którego usunięte byłoby zło, nie miałyby sensu - dobre uczynki spełniane z musu nie mogą mieć żadnej wartości moralnej.

Chrześcijaństwo musiało odnosić swą wizję absolutnej dominacji prawa boskiego we wszystkich dziedzinach życia ludzkiego również i do polityki. Nie istnieje żaden porządek polityczny, który byłby uprawniony bez sankcji metafizycznej, gdyż z chwilą utraty tejże sankcji musi się dostać w władzę Szatana. Kożakowski nie cofa się

przed intelektualną prowokacją, zapytując w związku z tym, czy nie ma jakiegos osobliwego paradoksu w tym, że Kościół - zwłaszcza od Soboru Watykańskiego Drugiego - wyrzekł się swych teokratycznych aspiracji i zgodził się na przykład na autonomię nauki /która, według tradycji chrześcijańskiej, nie może - jak i wszystkie inne dziedziny życia duchowego - być celem samym w sobie, lecz winna być rodzajem kontemplacji doskonałości dzieła Stworzenia/.

Opisując zawiłe i dramatyczne dzieje zmagañ Boga i diabła, Kołakowski podkreśla, że Stwórca bynajmniej nie próżnuje - Szatan zdołał co prawda wyrwać istotne dziedziny ludzkiej aktywności spod bezpośredniego wpływu tradycji i instytucji religijnych, lecz Bóg nie stracił kontroli nad rozczłonkowanym wskutek tego światem. Tok dziejów ujmaje Kołakowski jako proces ciągłego zmagania się dobra ze złem, Boga z Szatanem; jako grę, w której obie strony usiłują się nawzajem przechytrzyć. O ile demony panoszące się w sferze polityki mogą być prostakami bądź nowicjuszami, o tyle diabły działające na terenie sztuki, filozofii i nauki muszą być mądrczej, bardziej wyrafinowane i dalekowszyczne. Zło będące produktem tyranów i najeźdźców łatwo rozpoznać, a nawet przewidzieć, jest ono złem zamierzonym, któż jednak potrafiłby z tą samą łatwością rozpoznać i przewidzieć zło będące /nie zamierzonym/ wytworem umysłów wielkich filozofów i artystów, takich jak Platon, Kopernik, Kartezjusz, Rousseau czy Wagner?

Kołakowski podkreśla, że chrześcijaństwo oparło się wszelkim próbom diabła zmierzającym do przekształcenia Królestwa Bożego w ziemską potęgę Kościoła triumfującego, czyli teokrację, aczkolwiek subtelne zabiegi Szatana zdołały zaszczerpić w Kościele podobne dążenia, nigdy jednak nie odniosły one pełnego zwycięstwa. Kościół nie próbował nigdy zastąpić władzy królów, książąt czy sądów bezpośrednimi rządami duchowieństwa, nigdy też nie dążył do zatarcia różnicy pomiędzy tymi dwoma rodzajami władzy. W nauce moralnej Jezusa nie ma podstaw pozwalających uzasadnić użycie siły lub przemocy w celu wprowadzenia w życie jej zasad. Zadanie uczniów Jezusa polegało na tym, by osądzić, co jest złe, a co dobre we wszystkich dziedzinach życia.

Diabeł rozpętał prześladowania chrześcijan, ale krew pierwszych męczenników Kościoła użylnia tylko głębię i przyczyniła się do jego rozkwitu. Wówczas diabeł spróbował przekonać Kościół, że to z niego muszą czerpać w swym działaniu natchnienie politycy i jemu też winni oni swe całkowite posuszeństwo. To posunięcie Szatana zakończyło się sporym sukcesem. Bariery ochronne wbudowane w chrześcijaństwo - m.in. silna wiara chrześcijan w diabła, istnienie zła i grzech pierworodny - ocaliły je jednak przed zgubnym skutkiem akceptacji pseudochrześcijańskiej utopii, czyli teokracji. Chrześcijanom nie udało się wmówić, że stworzenie raju na ziemi jest możliwe, nim jeszcze powróci na nią Chrystus.

Trzecia faza zmagañ polegała na otwarciu nowych możliwości rozwoju gatunku ludzkiego, w szczególności zaś na coraz większym usamodzielnianiu się sfery polityki. Bóg postanowił wówczas wykorzystać do swoich celów własnych wrogów, czyli Oświecenie. Diabeł usiłował przekonać ludzi, że nie wystarczy uwolnić się z kajdan religii, ale że niezbędnym warunkiem dalszego postępu i emancypacji ludzkości jest całkowite odrzucenie tradycji religijnej, jeśli trzeba - także przemocą. Szatan nadał Oświeceniu charakter prądu antychrześcijańskiego i spowodował, że oświeceniowy humanizm utósamniczo z ateizmem. Tym samym zaś otwarł drzwi przed polityką pojmowaną wyłącznie jako walka o władzę, która zaczęła być najwyższą wartością. Bardziej subtelne były działania diabła po drugiej stronie barykady: trzeba było mianowicie spróbować zniszczyć i skompromitować ideał chrześcijański, używając w tym celu tegoż ideału. Próba spełnienia tego zamysłu była Reformacja. Konsekwentne wcielenie w życie myśli Lutera musiałooby prowadzić do likwidacji ziemskiego Kościoła, gdyż wskutek zakwestionowania przez Reformację władzy kapłana, papieża i Kościoła dotyczącej odpuszczenia grzechów, Kościół przestał być do czegokolwiek potrzebny. Luter zatrzymał się jednak w połowie drogi: uznał potrzebę Kościoła widzialnego, podważył jednak sakrament kapłaństwa i sukcesję apostołską, co doprowadziło ostatecznie do podporządkowania Kościoła władzom świeckim. Tak więc diabeł dopiął swego: Reformacja nie tylko doprowadziła do sekularyzacji instytucjonalnego chrześcijaństwa, lecz także do sekularyzacji samej doktryny chrześcijańskiej, co było nie laża wyczynem. Diabeł dokonał tego poprzez sklonienie ludzi Reformacji do odrzucenia nauki papieża i soborów. Kanonem wiary miało być odtąd wyłącznie Pismo Święte. Powstało jednak wówczas pytanie, kto może interpretować jego treść. Ostatecznym rezultatem umarionego w ten sposób procesu myślowego była idea religii racjonalnej, która gała początek deizmowi i nowożytnemu racjonalizmowi. W obliczu triumfów Szatana, który przechylił Reformację w Oświecenie,

Bóg musiał rozluźnić związki łączące religię z polityką, przyznając polityce pewną autonomię /co nie oznaczało wyjęcia jej spod osądu etyki/. W odpowiedzi na to Bóg. kontroposunięcie diabeł nasilił proces sekularyzacji religii oraz - radawszy Oświeceniowi charakter antyreligijny - zredukował politykę do rywalizacji o władzę. Tymczasem w celu przeciwytrzenia Boga diabeł musiał, jak się okazało, poszerzyć zakres owego wspaniałego daru Bożego, jakim jest ludzka wolność. Pozostawiona samej sobie, polityka zrezygnowała z prawdy na rzecz konsensu, owego kamienia węgielnego demokracji. Większość ma rządzić nie dlatego, iżby miała rację, lecz dlatego tylko, że jest większością. Polityka stała się mniej, a nie bardziej, jak to zamierzeli Szatan, okrutna; wolność zaś nie traciła, lecz zyskiwała nowe tereny ekspansji.

Diabeł wymyślił wówczas rzecz iscie diabelską: postanowili powrócić do dawnej koncepcji polityki opartej na prawdzie, a nie umowie społecznej bądź konsensie. Rozpoczęła się czwarta faza zmagania: diabeł wymyślił państwo ideologiczne, to znaczy takie, którego właściciele są posiadaczami prawdy. Przeciwnicy takiego państwa stają się wrogami prawdy. Ojciec kłamstwa użył więc jako oręża w walce z Bogiem idei prawdy. Wynalazek państwa ideologicznego był karykaturalną imitacją teokracji. Powstanie tego tworu wplynęło również na zmianę charakteru wojen. Od zakończenia II wojny światowej większość wojen ma charakter walki o prawdę uniwersalną, czyli wojny domowej, a w tej nie obowiązują tradycyjne reguły prowadzenia działań wojennych. Zmieniło się również pojmowanie zdrady - zdrąjcami są wyłącznie ci, którzy odmawiają przyłączenia się do rzeszowników prawdy.

Wydaje się jednak, że okres triumfów Szatana dobiega końca. Ilekroć państwa ideologiczne pragną przekonać do czegoś swych obywateli, nie odwołują się bynajmniej do prawdy uniwersalnej, lecz do uczuć narodowych, chwały imperium, racji stanu, nienawiści rasowej.

Diabeł nie rezygnuje; usiłuje np. wkraść się do instytucji demokratycznych, przeciwstawiając pojęcie prawdy konsensowi i umowie społecznej. Podsuwa atrakcyjnie brzmiącą formułkę, że większość ma rację, a zatem prawo do wszystkiego, włącznie z likwidacją samej zasady większości. Powstają tu - jak wiadomo - prawdziwe problemy: czy np. większość może spowodować uchylenie demokratycznej konstytucji?

Kołakowski daje jednak wyraz ostrożnemu optymizmowi: diabłu nie uda się zniweczyć daru wolności, tego rdzenia ludzkiej egzystencji. Ludzie z pewnością odczuwają potrzebę bezpieczeństwa psychicznego, toteż są narażeni na diabelską pokusę ładu ideokratycznego. Ale istnieje w nich również potrzeba tego, by być ludźmi, a to oznacza pragnienie wolności wyrażającej się w kwestionowaniu różnych porządków, podejrliwości wobec wszelkich prawd, wyprawianiu się w niezbadane rejony ducha. Wojna między dobrem a złem będzie trwała nadal, a diabeł z pewnością znajdzie nowe ujścia dla swej energii. Zmagania, jakie na przestrzeni dziejów toczą z sobą Bóg i Szatan, nie są wesołym widowiskiem. Jeśli istnieje jakaś potęcha, to ta, że nie jesteśmy wyłącznie biernymi obserwatorami bądź ofiarami toczącej się walki, lecz także jej uczestnikami mającymi wpływ na kształt własnego losu. To oczywiście banalna konkluzja - kończy Kołakowski - ale banałne prawdy mają to do siebie, że warto je powtarzać.

A.S.

Kolegia do spraw wykroczeń

Kolegia do spraw wykroczeń istnieją w PRL od 35 lat*. Ich działalność oraz miejsce w systemie prawa wzbudzają cały szereg wątpliwości. Przepisy prawa o wykroczeniach nie dotyczą, jak mogłoby się wydawać, spraw mniej istotnych, drugorzędnych, czysto porządkowych. Przeciwnie - rozbudowany kodeks wykroczeń obejmuje cały szereg najróżniejszych czynów: od naruszeń przepisów porządkowych, poprzez wykroczenia o charakterze kryminalnym, aż do czynów o wymiarze politycznym, które zwykle są klasyfikowane jako wykroczenia przeciw porządkowi i spokojowi publicznemu.

Przed kolegiami każdego roku stają setki tysięcy osób. Według "Rocznika Statystycznego GUS" /1986/ rekordowy był rok 1982, kiedy to do kolegiów skierowano aż 732 tys. wniosków o ukaranie. W późniejszych latach było ich zresztą także niewiele mniej. W zdecydowanej większości przypadków orzekano kary, zaś uniewinnienia przed kolegiami zdarzały się tylko sporadycznie. Kolegia są władne orzekać następujące kary: areszt, ograniczenie wolności, grzywnę i nagane. Areszt jest karą najdotkliwszą, a kolegia mogą wydawać postanowienia o areszcie w rozmiarze od 1 tygodnia do 3 miesięcy. Oczywiście jest to bardzo dużo, jak na wykroczenie. Po nowelizacji z maja 1985 roku kara aresztu jest przez widziana aż w 47 artykułach kodeksu wykroczeń, obejmując w ten sposób blisko połowę wszystkich rozpatrywanych przez kolegia spraw. Tym samym nie można mówić o wyjątkowości kary aresztu.

Formułowany przez art. 9 Paktu Praw Politycznych i Obywatelskich wymóg nakazujący, by każdorazowo sąd badał zasadność pozbawienia wolności - jest w warunkach polskich spełniony tylko teoretycznie. Wprawdzie osoba skazana przez kolegium I instancji na karę aresztu ma prawo żądać skierowania sprawy do sądu, ale może zaistnieć sytuacja, kiedy osoba ta znajduje się w więzieniu w wyniku kary aresztu zastępczego za niewiszczoną grzywnę, co pozostaje całkowicie poza kontrolą sądu, a także może być skazana w trybie przyspieszonym, w którym orzeczenie o ukaraniu bywa wykonywane z chwilą jego ogłoszenia, mimo że jest ono jeszcze nieprawomocne. W takich przypadkach skazany zostaje pozbawiony wolności, zanim sąd może ocenić zasadność tej decyzji. Co więcej, w trybie przyspieszonym doprowadzony przed kolegium obwiniony praktycznie nie ma żadnej możliwości wybrania sobie obrońcy i nie ma też możliwości zgromadzenia dowodów przemawiających na jego korzyść. Nieznany jest także przypadek, aby w sprawie o charakterze politycznym przed kolegium I instancji dopuszczono świadka obrony. Powszechna jest również praktyka łamania jawności rozprawy w postępowaniu przed kolegiami. W ten sposób wyeliminowane zostaje prawo obwinionego do obrony, co gwarantuje art. 14 pkt. 3 Paktu Praw Politycznych i Obywatelskich.

Ponadto i inne kary, poza aresztem, orzekane przez kolegia są bardzo dotkliwe. Podwyższone wielokrotnie w ostatnim czasie grzywny można wymierzać w wysokości od 1 tys. do 50 tys. zł, a aż 76 artykułów kodeksu wykroczeń przewiduje maksymalną grzywnę. Trzeba zaznaczyć jeszcze, iż grzywnę może zapłacić tylko sam ukarany bądź osoba dla niego najbliższa. W razie skazania w trybie przyspieszonym i wymierzenia grzywny z zamianą na areszt, prowadzi to w gruncie rzeczy do automatycznego pozbawienia wolności na pewien czas, zanim oskarżonego odnajdzie rodzina i wykupi z więzienia. Oprócz grzywny obwiniony może zostać zobowiązany do zapłacenia tzw. nawiązeki w wysokości do 30 tys. zł, co istotnie podwyższa grzywnę. Kolegia orzekają nawiązkę zupełnie arbitralnie, ostatnio często w sprawach politycznych m.in. w sprawach przeciwko uczestnikom WIP-u.

Kolegia dysponują również rozmaitymi karami dodatkowymi, a do najczęściej stosowanych należy kara przepadku rzeczy. Zdarzały się już nawet przypadki samochodów czy komputerów. Zasady bezstronności i obiektywizmu przeczy ulokowanie kolegiów nie w strukturze wymiaru sprawiedliwości, lecz w resorcie ministra spraw wewnętrznych, którego organy są najczęściej jednocześnie oskarżycielami przed kolegiami.

Kolegia są poważnym instrumentem w walce z opozycją polityczną. Na mocy ustawy z 26 października 1986 roku zmieniającej kodeks wykroczeń można skazywać przed kolegiami na 3 miesiące aresztu lub 50 tys. zł grzywny za sam fakt posiadania książki lub kasety z piosenkami, które pochodzą z "drugiego obiegu". Nowe regulacje kodeksu wykroczeń zaciera ją granicę między przestępstwem a wykroczeniem, która staje się płynna, uzależniona od dowolnej i doraźnej oceny. Oznacza to złamanie utrwalonej zasady prawnej honorowanej przez kodeksy karne wszystkich państw cywilizowanych.

D. L.

* Kolegia ds. wykroczeń w PRL, wyd.: Komisja Interwencji i Praworządności NSZZ "Solidarność" i Małopolski Komitet Walki o Praworządność.

Majówka

Towarzysze: S.Taborski - komunista, działacz i weteran - oraz jego syn, trzydziestoletni J.Taborski - komunista, działacz i przyszły weteran - spoczywali rozebrani w leżakach na tarasie swego jednorodzinnego domu przy Alei Westchnień. Była majowa niedziela, dzień wolny od pracy i trosk wywalczony przez klasę robotniczą jeszcze w czasach biblijnych. Niezbyt silne o tej porze roku słońce robiło jednak swoje, więc kiedy po pewnym czasie towarzysz S.Taborski zmienił pozycję, okazało się, że jego obfity zad piono po jednej stronie, jak ta najbardziej krwista z róz: Super Staar.

- *Kurwa mać!* - powiedział J.Taborski, jego syn i komunista. - *Wasza dupa...*

- *Co, nasza dupa?* - zapytał niespokojnie towarzysz S.Taborski. Pomimo starszego wieku nie mógł wyzbyć się rozmaitych kompleksów. Pochodził z ludu.

- *Zaraz krew z niej tryśnie. Musicie posmarować ją olejkami.*

Drzwi prowadzące z tarasu do pokoju jadalnego były otwarte. Dobięgał stamtąd monotony jazgot jakiejś publicystycznej audycji telewizyjnej oraz, gdzieś z dalsza - pobrzękiwanie naczyń kuchennych.

- *Towarzyszeko!* - krzyknął towarzysz S.Taborski w stronę drzwi. Towarzyszka A.Taborska

- wierna, oddana i czuła na dźwięk głosu męża, jak kamerton - wytarła ręce i pośpieszyła natychmiast. Była w samym tylko kostiumie kąpielowym, a poruszała się wciąż jeszcze wdzięcznie, z ową - znaną na całym świecie - komunistyczną gracją. Znacznie młodsza od męża poświęciła swe ciało dla Sprawy oraz dla Idei, z której wziął swój początek towarzysz J.Taborski - syn, komunista, działacz i przyszły weteran.

- *Do usług, towarzyszu?* - W jej głosie nie było nic ze służalczości, lecz raczej jakas nadzwyczajna, sama przez się zrozumiała, gotowość uczestniczenia we wszystkim, co dotyczyło męża - komunisty, działacza i weterana.

- *Stuchajcie, no!* - rzekł towarzysz S.Taborski. - *Gdzieś tam w łazience powinien być olejek przeciwstoleczny. Przynieście mi go przedziutko, bo nasza dupa spali się od tego cholernego słońca.*

Uwinęła się rychło. Już była z powrotem, już smarowała dupę towarzysza S.Taborskiego. I mówiła:

- *Powinności specjalnie chronić tę część ciała, towarzyszu. Jutro udajecie się przecież na Zjazd Weteranów, a weteran bez dupy, to invalida, to...*

- *Za dużo gadacie!* - przerwał jej towarzysz S.Taborski. - *Licz się nie słowa, lecz czyny!*

Czyniła więc namiętnie. A kiedy skończyła, zwróciła się do towarzysza J.Taborskiego:

- *A co z waszą dupą? Czy ją także posmarować?*

- *Nie trzeba* - odrzekł towarzysz J.Taborski. - *Nasza dupa jest odporna, zahartowana w bojach.*

- *Ale, może...*

- *Ani słowa więcej w tym temacie. Zajmijcie się lepiej obiadem, towarzyszeko. Jesteśmy głodni.*

Liczba mnoga w kontaktach osobistych bywała czasem myląca. Zapytała więc głośno:

- *Czy towarzysz S.Taborski jest także głodny?*

- *A jakże!* - odparli zapytani. - *Jesteśmy. A póki co, podajcie nam butelczynę tej czystej wódki, która od uczoraj chłodzi się w lodówce.*

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawił się między leżakami turystyczny, rozkładany stolik, a na nim perliła się w słońcu butelka czystej oraz dwie szklanki.

- *Polejcie, towarzyszu* - przyzwolił raczej, niż rozkazał towarzysz S.Taborski.

Towarzysz J.Taborski polał ochoczo i do pełna.

- *Za zwycięstwo Światowej Rewolucji!* - poddał toast towarzysz S.Taborski.

Obaj, niemal równocześnie sięgnęli po szklanki i wychylili je z tą jakże estetycznie finezyjną precyzją, przejętą wraz z innymi zwoyczajami, od braci z Narodów Zaprzyżnionych. Następny toast był za Proletariat. Wicher Historii zadał im we łbach, uderzyły fanfary. Lecz oto towarzysza J. Taborskiego nieoczekiwanie naszyj rozterki ideologiczne.

- *Ni jak go nie widzę* - powiedział.
- *Kogo nie widzicie?* - zapytał towarzysz S. Taborski.
- *Ano, proletariatu ni jak nie widzę.*
- *Ha! Ha! Ha!* - zarzycał towarzysz S. Taborski - *dobrze sobie, nie widzicie..., a jakże go możecie nie widzieć, skoro to my sami jesteśmy proletariatem...*
- *Jeżeli wy, to was widzę oczywiście.*
- *Nie wy, lecz my, do cholery!* - zdenerwował się nie na żarty towarzysz S. Taborski.
- *Nie jesteście zbyt mocni w dialektyce, towarzyszu.*
- *Już rozumiem* - ucieśli się towarzysz J. Taborski. - *To my jesteśmy proletariatem.*
- *No, właśnie: wy i my!*

Towarzysz S. Taborski wzruszony prostodusznością syna uronił izę, lecz nie chcąc zdradzić miękkości serca odrzucił ją przez od siebie, do ogrodu. Rozlecił się ten charakterystyczny łoskot, toczącej się po ziemi, twardej, proletariackiej izy.

- *Ktoś płacze* - zauważył J. Taborski.
- *To chyba w telewizji* - powiedział towarzysz S. Taborski. - *My nie mamy powodów do płaczu. My przeciwnie: my sobie teraz! zaśpiewamy.*
- *Zaspiewajcie sobie* - zgodził się towarzysz J. Taborski.
- *Wy też zaspiewajcie.*
- *Ano, zaspiewajmy.*

Zaspiewali gromko, pełną piersią starą rewolucyjną pieśń: "Lewą nogę urwało mi, na oczy nie widzę", a potem wypili to, co jeszcze zostało w butelce. Oczy im zaszkliły, jak lazienne kafle, a serca biły równo. I właśnie wówczas towarzysz S. Taborski zaproponował:

- *Wiecie, co? Mówmy sobie przez "ty", tylko dzisiaj oczywiście..., ufam, że to nie szkodzi, a raczej zbliży nas do siebie.*
 - *Jak to: przez "ty"?* - zapytał towarzysz J. Taborski.
 - *Ano, przez "ty". Wy będziecie zwracali się do nas: "tatu", a ja do was: "synku", albo nawet będziemy mówili sobie wprost po imieniu. Stare, dobre hasło powiada: proletariusze łączcie się! No więc łączmy się...*
- Przysunęli się bliżej siebie, podali ręce.

- *Jasiu* - dał przykład towarzysz S. Taborski.
- Towarzysz J. Taborski zaczerwienił się: dusił się i krztusił.
- *Ni jak nie może mi to przeleść przez gardło* - wyznał.
 - *Śmiało, towarzyszu!* - zachęcał towarzysz S. Taborski. - *Walcie! Naturalność i spontaniczność to podstawowe cechy wyróżniające nas komunistów. No, śmiało...*
 - *Stasiu* - jęknął w końcu towarzysz J. Taborski.
 - *Jasiu* - zawołał towarzysz S. Taborski. - *No, jeszcze raz...*
 - *Stasiu!* - śmiejąc już bąknął towarzysz J. Taborski. Pocałowali się. Potem poszło lepiej:

- *Jasiu!*
- *Stasiu!*
- *Jasiu!*
- *Stasiu!*

I przekomarzali się tak. I dokazywali. I ganiłi po tarasie łaskocząc się i pokrzykując: dwa wesole golas! A ludzie, którzy przechodzili w pobliżu rozdziawiali gęby i mówili: "To te dwa komunisty francowate. Jeszcze nieszczęście na nas jakie sprowadzą, albo i wojnę..."

NAŠI ULBIENY

(RUBRYKA NA SPECJALNYCH PRAWACH)

Jedny świętych -
Czy narodził się nowy
foraxi ?

.../ Wydarzenie każdego biskupa Miszyńskiego - w dodatku poprzez wysu-
nięcie na czołowe miejsce w numerze przez krakowski "Tygodnik Powszechny" - wyzna-
czegoś więcej niż moje dotychczasowe uwagi przy okazji, porobione w krytyce jego po-
szczególnych wypowiedzi: Wyraża miłanowicie ogólnego ustosunkowania się do żydów i
ich obecnej religii.

Co to są żydzi?

Są oczywiście narodem. Ale obok tego są odrębna religia.

Jestem ezionwielkim świątkim i nie jestem kompetentny do wypowiedzania, z katolic-
kiego stanowiska, ścisłej oceny tego, czym jest obecna żydowska religia. Powiem tylko
w sposób jak najprostszy to, na co miłe jako laik w rzeczach religii i filozofii

stac. Żydzi dzisiaj wywodzą oczywiście swą religię ze Starego Testamentu. Ale nie

są prawdziwymi dziedzicznymi Starego Testamentu. Są odzyszczeni. Prawowitymi dzie-

dzicznymi Starego Testamentu są chrześcijanie. To święty Piotr, święty Paweł, święty Jan,

święty Marek, święty Mateusz, święty Jakub, święty Juda Tadeusz i wszyscy jego uczni-
wie i wyznawcy stanowia prawdziwy dalszy ciąg narodu wybranego. Nie odzyszczeni

oni od Izraela, ale stanowia jego trzon. Odzyszczeni są ci, którzy Mesjasza nie

uznali. Są to następny faryzeuszy, saduceuszy i innych kierunków w żydostwie wrożeń-

chystowski i jego uczniom. Wszak są oni za właściwych kontynuatorów starobesta-

mentowego żydostwa, ale nimi nie są. Nie wiem, jak się przedstawiał stosunek między

imi, ale nie było to nawiązanie, a tymi, którzy się nimi nie stali, ale

to nawiązanie. Ważne jest, kto był wyznawcą prawdziwym, a kto nim nie był. Potomkowie ta-

ryzeuszy i im podobnych stworzyli sobie nową religię, wywodzącą się ze Starego Testa-

mentu, ale zmiennonowego przez nową interpretację. Ich główną księgą jest Talmud /Jer-
zolimski i babylonski/, którego główną treścią jest nowa interpretacja Starego Tes-

tamentu. Pan Bóg pozwolił na to, że wyznawcy Talmudu nie przejęli głównych instytucji

starego żydostwa. Na to, że zostali wygnani z Ziemi Świętej. /Wrócili do niej teraz po

* Tekst wydrukowany w piśmie Ojca nr 20, Londyn, styczniu 1988. Drukujemy drugą część
artykułu - komentującą, podajemy pierwszą, - omawiającą /red./.

prawie dwóch tysiącach lat/ że zburzona została świątynia, że zniknął sanhedryn, że znikło żydowskie kapłaństwo. Dzisiejsze żydostwo jest czymś całkiem innym od żydów z czasów Starego Testamentu.

Jest w dzisiejszej religii żydowskiej jakaś dziwna nuta, w której zdźwięczy zło. Wcale nie jesteśmy obwołani braci z dzisiejszego żydostwa jakichś pierwiastków, przeciwnie, powinniśmy się oddziaływania żydowskiego strzec jak ognia.

To dziwne, ile pierwiastka czegoś złego przejawia się także w pradach, które od żydostwa odeszły. Nie ma nic naprawdę złego w pradach, które odeszły od prawowiernego chrześcijaństwa, to znaczy od katolicyzmu; ani w koptyjskim czy etiopskim, czy ormiańskim monofizytyzmie, ani w prawosławiu, ani w protestantyzmie. Kościoły heretyckie i schizmatyczne są jakby mniej dobre od katolicyzmu, jakiegoś mniejszego, mniej wymagającego, ale w gruncie rzeczy przeważa w nich pierwiastek dobra. Nawet powstałe na gruncie chrześcijańskim ruchy całkowitego wąpierz: a są wprawdzie smutne, ale nie są do głębi złe. Natomiast ruchy odśrodkowe, które powstały na gruncie żydowskim, są jakby zaostrożeniem złych pierwiastków, dających się dostrzec w Talmudzie. Paruje w nich złość, nienawiść, gniew, bunt, zawiść. Są ludzie /np. Książd Poradowski/, co powiadają, że np. Marx jest w istocie wyznawcą Szatana. A co tu mówić o Trocki!

Gdziekolwiek się wpływ żydowski przejawia, jest on demoralizujący. I stanowi pierwiastek rozkładu. A także nienawiści i buntu. Nie należy robić "pielgrzymki" ku judaizmowi, ani szukać "coraz pełniejszego poznania" judaizmu. To, co książd biskup Muszyński głosi, to jest herezja. I dlatego apeluję do Niego, by to odwołał. Myślę, że jako zwyczajny człowiek świecki mam prawo zwracać się z takim pokornym, ale zarazem śmiałym apelem, jak mieli prawo czynić to świeccy wierni w 1525 roku w Królewcu do królewieckiego biskupa, gdy się żenił i przechodził na religię Lutera. Albo jak święty Tomasz More, przecież też świecki, gdy w latach 1532 i 1533 występował przeciwko Williamowi Tyndalowi, Robertowi Barnesowi i Johnowi Frythowi, skłaniającym się do luteranizmu.

Zadziwia mnie poparcie, jakie księdzu biskupowi Muszyńskiemu udziela "Tygodnik Powszechny". Jest to pismo o bardzo swoistym obliczu: zarazem religijnie katolickie i polityczne, którego sylwetkę polityczną określiłbym w skróceniu jako zaciekłe anty-endeckie. /Tak samo jak paryska "Kultura", jest ono kontynuacją "Buntu Młodzieży" i jego dalszych ciągów o zmienionej nazwie, pism, które istniały przed wojną w Polsce, głównie w Krakowie i w jego zasięgu, i które uważały się za młodą odmianę "stańczyków" krakowskich i za odgałęzienie piłsudczyków. Jego osobliwą pozycję stanowiła tolerancja ze strony reżimu komunistycznego. Przez z górą czterdzieści lat stanowiło ono placówkę tylko minimalnie szyczanowaną, w istocie cieszącą się całkiem sporym zakresem wolności. Nie było takiego pisma ani w Rosji /prawosławnego/, ani na Węgrzech czy w Czechach lub Słowacji /katolickiego/. Tamtejsze pisma chrześcijańskie były o wiele mniejszej skali i pozycji i cieszyły się o wiele mniejszą wolnością.

Ale pismo to miało i na jeszcze jedną cechę: jest prożydowskie. Zadają sobie pytanie, czy nie leżało w interesie światowego obozu żydowskiego, by wyrósł w jakimś katolickim kraju wśród katolików ośrodek nie tyle przyjazny żydom jako narodowości, co przyjazny żydostwu jako religii i w tej postawie z katolickiego punktu widzenia heretycki? Jestem daleki od podejrzenia, że cały "Tygodnik Powszechny" jest prożydowski o zabarwieniu heretyckim. Natomiast stawiam sobie /i innym/ pytanie, czy nie ma w nim heretyckich wtyczek.

Czy powstanie takiego pisma w katolickiej Polsce nie leżało w interesie narodu żydowskiego? Czy olbrzymie wpływy żydowskie w partii komunistycznej nie postarały się o to, by w Polsce właśnie takie pismo założyć? I oddać je w ręce autentycznych katolików, ale ludzi, którzy - zapewne nieświadomie - dopuszczą do zagnieżdżenia się w jego zespole prożydowskich wtyczek. Wtyczek, których istotny wpływ zaznaczyłby się choćby po czterdziestu latach?

Prawdźwi polscy komuniści nie byli dostatecznie przenikliwi i przewrotni, by móc coś takiego zaplanować i przeprowadzić. Nie posiadząm o taki machiawelizm ani ludzi w rodzaju Gomułki, czy Bieruta czy Koszutskiej /Kostrzewy/, ani starych bolszewików w rodzaju Dzierżyńskiego i Marchlewskiego. Ale czy taka myśl i taka orientacja w ludziach i pradach - nie mogła zakieikować wśród wykształconych polskich komunistów-żydów? Nikogo nie posiadząm konkretnie. Wymieniam tylko przykładowo gatunek ludzki.

Na przykład Jakub Berman. Warszawski adwokat. Absolwent warszawskiego uniwersytetu. Syn współzałożyciela i współredaktora warszawskiego czokowego dziennika "Hajnt" /"Dziś" / w języku "jidisz". Brat Adolfa Bermmana, polityka żydowskiej partii Poale-Syjon

w Polsce i jej prezesa, a potem posła do parlamentu w Izraelu. Od 1926 członek Polskiej Partii Komunistycznej. W latach wojny w Rosji, stronnik i bliski współpracownik i zaufany Stalina. Po wojnie w Polsce w latach 1947-1952 podsekretarz stanu w Prezydium Rady Ministrów, w latach 1954-1956 wicepremier, uchodzący w Polsce za "szarą emanację", istotnego, zakulisowego dyktatora. Inteligentny polityk, publicysta i teoretyk myślowy i praktyk. Czy nie mógł być cichym bojownikiem o interesy żydowskie i krzewicielem utajonych żydowskich wpływów? Nie oskarżam go o nic. Daję go tylko jako przykład tego, że ludzie tej miary i tego oblicza w Polsce byli.

*

Jak już wyżej pisałem, rola Żydów w świecie jest podwójna. Są zbiorowością religijną, wywodzącą się ze Starego Testamentu, ale opozycyjną wobec chrześcijaństwa i są osobnym narodem.

Jako naród, mieli swoje interesy i polityczne dążenia. Wchodzili z innymi narodami w konflikty, zupełnie niezależnie od przeciwieństwa religijnego.

Byli w szeregu krajów prześladowani. Polska udzieliła im gościnę i opieki. Polska zrobiła to dlatego, że jej ideologia była tolerancją. Najdobitniej sformułował zasady polskiej tolerancji Paweł Włodkowic /ok. 1370-1435/ - zwłaszcza na sejmie w Konstancji. Jest prawda, że na polską praktykę tolerancji wywarł wpływ także i litewski polityczny indyferentyzm. Ale nie zmienia to faktu podstawowego, że Polska przysłała Żydom z pomocą, ponieważ w innych krajach byli prześladowani, a Polska z zasady dawała prześladowanym schronienie. Polska pozwoliła Żydom stworzyć sobie na ziemi polskiej własne, odrębne życie, oparte na niezależności żydowskich instytucji, na czele z żydowskim sąjmem /waad/ i kahałami /kehillah/ i autonomią podatkową, z zupełną swobodą religijną, etniczno-językową, szkolnictwem i prawem osiedlania się. Przez kilka wieków żyło w Polsce więcej Żydów, niż we wszystkich innych krajach świata, razem wziętych, a Polska była głównym ośrodkiem żydowskiego życia i kultury. Żydzi odpiacili Polskę za tę gościnę niewdzięcznością. Jeszcze przed zniszczeniem niepodległości przez koalicję antypolską Prus, Rosji i Austrii Żydzi w Polsce stali się siłą wyrotową, sprzymierzoną z wrogami Polski, zwłaszcza z Prusami. Już dnia 14 czerwca 1751, na 21 lat przed pierwszym rozbiorem Polski, papież Benedykt XIV ogłosił encyklikę "A quæ primùm", zwróconą do prymasa i całego episkopatu Polski, zwracając uwagę narodu polskiego na to, że uprzedzenia Żydów w Polsce są nadmierne i dla Polski, zarówno jak dla Kościoła katolickiego niebezpieczne. Po rozbiorach Polski Żydzi w Polsce, poza nielicznymi wyjątkami opowiadali się po stronie państw zaborczych, Prus i Austrii przeciwko narodowi polskiemu, a w zaborze rosyjskim po stronie rewolucji rosyjskiej /także i rosyjskiego języka/ przeciwko równocześnie caratowi i Polsce. Przy pparciu państw zaborczych stali się w Polsce potężną siłą, która opanowała dużą część polskiego życia gospodarczego, a w miastach stali się dużym odłamem ludności, różniącym się od reszty ludności nie tylko religią, ale także językiem, a nawet odmiennym ubiorem. Nawet po odbudowaniu niepodległej Polski według spisu ludności z 1931 roku, Żydzi stanowili 30% ludności Warszawy, 35% ludności Łodzi, 26% ludności Krakowa, 32% ludności Lwowa, 28% ludności Wilna, 43% ludności Białegostku.

Jak dokonywał się proces opowywania dużej części polskich miast przez Żydów świadczą licz. y następujące. W Warszawie w Polsce niepodległej, w roku 1781, Żydzi stanowili 4,5 procent /cztery i pół procent/ ogółu ludności. W roku 1897, pod rządami rosyjskimi 33,9 procent. W Łodzi w Polsce niepodległej w roku 1793 - 5,7 procent /pięć i siedem dziesiątych/, w roku 1910 pod rządami rosyjskimi 40,7 procent. /dane z jerozolimskiej "Encyclopaedia Judaica" tom 13, 1971, str. 735-736/

Polacy prowadzili od dłuższego czasu zmaganie o nadanie swoim miastom charakteru czysto polskiego, podobne do walki narodowej walońsko-flamandzkiej w Brukseli, angielsko-francuskiej w Montrealu, fińsko-szwedzkiej w Helsinkach /Helingforsie/. Zmaganie to nie miało nic wspólnego z antysemityzmem czy uciskiem politycznym. Było ono rywalizacją polityczną, jakich jest w świecie wiele.

Do zaostrzenia tej rywalizacji przyczynili się w roku 1912 wybory do rosyjskiego parlamentu /Dumy/. Żydzi w Warszawie solidarnie poparli polskiego komunistę, nazwiskiem Jagiełło, który zdobył więcej głosów niż każdy inny z jego polskich przeciwników i został wybrany; w Łodzi kandydat - Żyd, dr Bomasz zdobył więcej głosów niż jego polscy przeciwnicy i też został wybrany. Obaj ci przedstawiciele nie zostali członkami Koła Polskiego w Dumie, lecz stronnictw rosyjskich, Jagiełło łącznej rosyjskiej

reprezentacji bolszewicko-miejszewickiej. Bomasz rosyjskiego stronnictwa konstytucyjnych demokratów /kadetów/. Tak więc dwa największe polskie miasta zmanifestowały swą łączność z Rosją i polityczne odsunięcie się od polskości.

Spowodowało to gwałtowny sprzeciw polskiego społeczeństwa i proklamowanie gospodarczego bojkotu Żydów po to, by skłonić ich do opuszczenia polskich miast i do emigracji do Ameryki, do Palestyny, czy gdzie indziej. /Hasło bojkotu dał przywódca polskiej Narodowej Demokracji Roman Dmowski/.

Jest faktem, że w okresie pierwszej wojny światowej Polacy i Żydzi znajdowali się w stanie konfliktu. Ale postawa Polaków nie była antysemityzmem w takim rozumieniu, jakie jest dziś temu słowu nadawane. Była przeciwieństwem narodowym, nie innym niż między wielu narodami.

W czasie owej wojny duża część Żydów była przeciwna niepodległości Polski. Na konferencji paryskiej /wersalskiej/ 1919 roku siły naciskowe, reprezentujące światowe interesy żydowskie zwalczały postulaty polskie. W wojnie polsko-bolszewickiej 1919-1920 roku duża część polskich Żydów zwalczała stronę polską, na przykład podpalając mosty na polskich rzekach w interesie armii rosyjskiej. Wszystko to sprawiało, że konflikt polityczny polsko-żydowski w dalszym ciągu trwał.

Mimo to, gdy pod okupacją hitlerowską w latach 1939-1945 Żydzi w Polsce byli przez niemieckich hitlerowców prześladowani i wymordowywani, ogół Polaków, także i dawni tak zwani antysemita, przyszedł Żydom z pomocą, pomagając im ukrywać się między Polakami lub w lasach, albo uciekać za granicę. Znany przed wojną w skali światowej "antysemita" Jan Mosdorf, został przez Niemców rozstrzelany za okazywanie pomocy Żydom. Setki, a być może tysiące Polaków i Polek zostało przez Niemców ukaranych śmiercią za okazywanie Żydom pomocy.

Dzisiaj toczy się w całym świecie propaganda oszczercza, czyniąca Polaków współwinnymi zbrodni popełnionej na Żydach przez niemieckich hitlerowców. Jest to propaganda, oburzająca w swej tendencyjności i nie zawierająca ani śliska prawdy. Nie było w Polsce nawet najmniejszej grupki politycznej, która by pochwalała, już nie mówiąc o popieraniu "holokaustu" popełnianego na Żydach przez niemieckich hitlerowców.

Polski konflikt narodowy z Żydami nie miał nic wspólnego z antyżydowską polityką niemiecką /hitlerowską/.

A tak samo nie wspólnego z religijnym przeciwieństwem katolicko-żydowskim.

*

Nie mogę się oprzeć wypowiedzeniu spostrzeżenia, że wywiad księdza biskupa Muszyńskiego jest napisany złą polszczyzną.

Obfituje on w wyrażenia, zapożyczone z obcych języków, ostatnio często używane na łamach tandetnego dziennikarstwa, ale niedopuszczalne w poprawnej polszczyźnie literackiej: "relacje" zamiast "stosunki", "komponenty" zamiast "składniki", "stymulowanie" zamiast "pobudzanie".

Oraz popełnia rusycyzmy: "znaczący" w sensie "wybitny", albo "a" zamiast "ale".

DOKUMENTY

PROPOZYCJE KATOLIKÓW W SPRAWIE UREGULOWANIA SYTUACJI WIERZĄCYCH OBYWATELI CSRS

1. Naszym podstawowym postulatem jest rozdział Kościoła od państwa, który miałby ten skutek, że państwo nie będzie się mieszać do spraw organizacji i działalności Kościoła.

Z tego podstawowego postulatu wynika większość pozostałych naszych propozycji, przy czym spełnienie zawartych w nich postulatów powinno być rzeczą oczywistą również w przypadku, jeśli rozdział Kościoła od państwa nie nastąpi.

2. Żądamy, aby organy państwowe nie stawiały przeszkód nominacji nowych biskupów. Nominacja nowych biskupów winna się stać wewnętrzną sprawą Kościoła, w którą państwo nie ingeruje.
3. Żądamy, aby organy państwowe nie ingerowały w mianowanie kapłanów na stanowiska duszpasterskie w parafiach. Wszelkie kroki organizacyjne w tym zakresie winny zostać przekazane do sfery wewnętrznych spraw Kościoła.
4. Żądamy, aby organy państwowe nie ingerowały w sprawy doboru i nie określały liczby studentów na wydziałach teologicznych oraz nie ingerowały w sprawy doboru kadry dydaktycznej.
5. Żądamy przywrócenia Cyrylometodiańskiego Wydziału Teologicznego w Ołomuńcu.
6. Żądamy wprowadzenia stałego diakonatu w myśl decyzji papieża Pawła VI z dnia 18 czerwca 1967 r. pod nazwą "ogólne zasady stałego diakonatu", który ma być wprowadzony w Kościele łacińskim.
7. Żądamy, aby została przywrócona działalność wszystkich dotychczasowych męskich i żeńskich wspólnot zakonnych, łącznie z przyjmowaniem nowych członków, jak to się dzieje w sąsiedniej NRD i w Polsce.
8. Żądamy, aby zostało uznane prawo wierzących do tworzenia wolnych świeckich zrzeszeń religijnych, które, jako wspólnoty nieformalne, skupiające ludzi różnego wieku i z różnych warstw społecznych, kierując się wskazaniem kapłana, w myśl soborowego dekretu o apostołstwie świeckich "Apostolicam actuositatem", IV, 18, służyłyby wzrostowi duchowemu ich członków. Zrzeszenia takie są u ewangelików od dawna czymś oczywistym, a obecnie istnieją u katolików zarówno w krajach zachodnich, jak i np. w NRD, w Polsce i na Węgrzech.
9. Żądamy, aby nauka religii odbywała się poza szkołą - czy to w pomieszczeniu pa-

rafialnym na plebanii, czy w kościele, czy też w innych budynkach; aby została przekazana do sfery wewnętrznych spraw Kościoła. Zgłoszenia dzieci na naukę religii winny być kierowane do urzędu parafialnego, a zakres nauki i rozdział dzieci powinien na wniosek rządy parafii określać miejscowy ordynariusz.

10. Żądamy, aby pozwolono kapłanom odwiedzać więzienia i szpitale - na życzenie pacjentów, więźniów lub ich krewnych, ale także na własne życzenie kapłana. Należy umożliwić obrzędy religijne w więzieniach i szpitalach; pozwolić wiernym odbywającym karę na noszenie krzyży i innych symboli religijnych oraz na posiadanie u siebie literatury religijnej; umożliwić im spowiedź i rozmowy duchowe z kapłanami.
11. Żądamy zgody na odbywanie rekolekcji, czyli ćwiczeń duchowych dla świeckich.
12. Żądamy, aby każda wspólnota parafialna u nas mogła mieć - jak to ma miejsce w innych Kościołach i w innych państwach - radę parafialną, w której ludzie świeccy służyliby pomocą kapłanom, aby sobie wspólnie pomagać w rozwiązywaniu problemów parafii i usprawniać duszpasterstwo.
13. Żądamy możliwości wzajemnego kontaktu z organizacjami chrześcijańskimi w całym świecie według własnego uznania.
14. Żądamy, aby wierzącym obywatelom umożliwiono organizowanie pielgrzymek również do sanktuariów za granicą oraz udział w nich - zarówno indywidualny, jak i zbiorowy.
15. Żądamy, aby wierzącym obywatelom zapewniono w pełnym zakresie publikacje religijne stosownie do rzeczywistych potrzeb ludzi wierzących. Należy umożliwić założenie wydawnictw religijnych pod kierownictwem przedstawicieli Kościoła, zezwolić na wydawanie czasopism religijnych o różnym profilu, zezwolić na otwarcie publicznych bibliotek i czytelni z literaturą religijną.
16. Żądamy, aby przepisywanie i rozpowszechnianie tekstów religijnych nie było uważane za niedozwoloną działalność gospodarczą albo inny czyn karalny czy wykroczenie.
17. Żądamy możliwości otrzymywania literatury religijnej z zagranicy stosownie do zainteresowań i potrzeb ludzi wierzących. Dlatego żądamy, aby literatura ta nie była konfiskowana przez organy celne.
18. Żądamy prawa do programu w radiu i telewizji po uzgodnieniu z Kolegium Ordynariuszy Czeskiej Republiki Socjalistycznej lub później z przewodniczącym konferencji episkopatu.
19. Żądamy, aby zabroniono umyślnego zagłuszania radia watykańskiego w języku czeskim i słowackim oraz audycji mszy św. w języku czeskim i słowackim, nadawanej w każdą niedzielę przez rozgłośnie radiową Wolna Europa.
20. Żądamy, aby była dozwolona nie tylko propaganda ateistyczna, lecz aby było dozwolone i umożliwione także publiczne szerzenie nauki chrześcijańskiej - zarówno przez osoby duchowne jak i świeckie. Dlatego też żądamy, aby tak jak marksiści i inni ateści korzystają w prawa krytycznej oceny religii i Kościoła, tak danna była taka sama możliwość chrześcijanom i innym obywatelom, aby i oni mogli w swoich publikacjach i życiu publicznym poddawać krytycznej ocenie naukę marksizmu-leninizmu i aby działanie takie nie było uważane za czyn karalny.
21. Żądamy zwrotu zabranych budynków kościelnych, które wnieśli z własnych środków wierzący obywatele, a które są potrzebne dla działalności Kościoła, włącznie z budynkami w miejscach pielgrzymkowych, domami rekolekcyjnymi, budynkami wydziałów teologicznych, zabranych budynkami wspólnot zakonnych - wraz z urządzeniem.
22. Żądamy umożliwienia budowy nowych kościołów, tam gdzie są one potrzebne.

23. Żądamy, aby zabroniono samowolnego usuwania krzyży, figur i kapliczek oraz innych religijnych i kulturalnych pamiątek po naszych przodkach z wiejskich placów, dróg, miast i innych miejsc.
24. Żądamy ograniczenia kompetencji urzędników do spraw wyznań na podstawie marksistowskiej zasady, że "Kościoły muszą się stać wolnymi, niezależnymi od stanowiska władzy zrzeczeniem obywateli o tym samym sposobie myślenia". Z tej racji winno być wyłączone z kompetencji urzędników do spraw wyznań prawo do ingerencji w mianowanie, przenoszenie i działalność duchownych oraz we wszystkie inne sprawy, które w większości państw demokratycznych są wewnętrzną sprawą Kościoła.
25. Żądamy szybkiej i konsekwentnej rehabilitacji bezprawnie skazanych kapłanów, zakonników i aktywnych religijnie osób świeckich.
26. Żądamy zakazania dyskryminacji wierzących chrześcijan w miejscu pracy - przede wszystkim w szkolnictwie.
27. Żądamy, aby wierzący obywatele mieli w ramach prawa możliwość przedstawiania petycji i wypowiedzenia się na temat wszelkich problemów, co do których są przekonani, że ich obowiązkiem moralnym jest zajęcie co do nich stanowiska. Żądamy również, aby za takie swoje poczynania nie byli obwiniani o działalność niezgodną z prawem i aby im nie konfiskowano materiałów związanych z petycją.
28. Żądamy anulowania wszelkich przepisów prawnych, które niesłusznie kwalifikują jako czyny kryminalne znaczną część działalności duchownych i świeckich.
29. Żądamy uzupełnienia lub zmiany artykułów 16, 20, 24, 28 i 32 naszej konstytucji, tak aby były one w zgodzie z naszymi propozycjami.
30. Żądamy również, aby wszystkie obowiązujące ustawy i przepisy prawne dotyczące bezpośrednio lub pośrednio dziedziny religijnej, zostały uzgodnione z międzynarodowym paktem praw obywatelskich i politycznych.
31. Żądamy utworzenia komisji mieszanej, złożonej z przedstawicieli organów państwowych i Kościoła katolickiego włącznie z osobami świeckimi mianowanymi przez księdza kardynała Tomáška - a także z przedstawicieli Kościoła katolickiego na Słowacji - która by się zajęła tymi postulatami i załatwiła je.

Wyrażamy nadzieję, że znajdziemy u przedstawicieli naszego życia publicznego, do których zwracamy się bezpośrednio i za pośrednictwem naszych przedstawicieli kościelnych z niniejszymi propozycjami i sugestiami, zrozumienie i chęć skutecznego zapewnienia nam zewnętrznych warunków dla rozwoju wewnętrznego życia duchowego, a tym samym zapewnienia lepszej przyszłości nas wszystkich.

Datowano w 1. niedzielę Adwentu r. 1987, kiedy wspólny list pasterski naszych biskupów i administratorów czeskich i morawskich diecezji inauguruje wielkie dzieło odnowy duchowej rozplanowane na dziesięć lat, do którego niniejszym czynnie się przyłączamy i dla którego deklarujemy pełne poparcie.

List kard. Tomáška

Nie jest tajemnicą, że na swoje pisma, niejednokrotnie kierowane do kompetentnych instancji administracji państwowej w sprawie głównych postulatów naszego Kościoła, nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Ponieważ zdecydowaną większością członków Kościoła jesteście Wy, wierzący, przeto

jest bardzo ważnym obowiązkiem Waszego sumienia, aby został wysłuchany w kompetentnych instancjach państwowych Wasz głos:

"Propozycje katolików w sprawie uregulowania sytuacji wierzących obywateli CSRS", które w 31 punktach sugerują, jak należy rozwiązać aktualne problemy istniejące między państwem a Kościołem rzymskokatolickim.

Rozpowszechnianie i podpisywanie tej petycji pozostaje w zgodzie z naszą konstytucją i innymi obowiązującymi przepisami prawnymi. Zostały o niej poinformowane organy państwowe i partyjne.

Z wielkim naciskiem przypominam, że tchórzostwo i lęk są niegodne prawdziwego chrześcijanina.

W tym duchu jestem z Wami i z serca Wam błogosławię.

Wasz

FRANCISEK KARD. TOMÁSEK

arcybiskup praski i metropolita czeski

Praga, 4 stycznia 1988

— 682